

Konferencje biblijne 2006/2007 — Teologia Kościoła

Ks. Waldemar Chrostowski

Parafia Zwiastowania Pańskiego,
ul. Gorlicka 5/7, Warszawa

Nieautoryzowany zapis na podstawie nagrań: J. Paczyński

Spis treści

1 Nauka o Kościele — <i>eklezjologia</i> (9 października 2006)	2006/2007 – 1
2 Szkoła duchowości biblijnej (13 listopada 2006)	2006/2007 – 10
3 Eschatologiczny wymiar Kościoła (4 grudnia 2006)	2006/2007 – 19
4 Sprawa abpa Stanisława Wielgusa (8 stycznia 2007)	2006/2007 – 29
5 Przymioty biskupa wg. św. Pawła (19 lutego 2007)	2006/2007 – 38
6 My i Kościół wobec trudności — wg. Św. Pawła (12 marca 2007)	2006/2007 – 49
7 W drugą rocznicę śmierci Jana Pawła II (2 kwietnia 2007)	2006/2007 – 59
8 Czym jest Kościół w samych swoich początkach? (14 maja 2007)	2006/2007 – 69
9 Za kogo Kościół — i my sami — uważamy Jezusa? (11 czerwca 2007)	2006/2007 – 79

Ostrzeżenie

Ten tekst **nie jest autoryzowany przez Księdza Profesora!** W związku z tym należy go **czytać z rozsądną podejrzliwością**. Tekst był spisywany z nagrań z najlepszą wolą i wielkim nakładem pracy, ale:

- Tekst jest zapisem słowa mówionego. Z pewnością artykuł na ten sam temat Ksiądz Profesor pisał by nieco inaczej. Ale dość szybko doszedłem do wniosku, że nie jestem upoważniony do istotnych interwencji redakcyjnych. Bowiem zauważyłem, że nawet dygresje mówią bardzo wiele o osobowości Księdza Profesora.
- Tytuły poszczególnych wykładów są tylko moim pomysłem.
- Podział na akapity, często nawet podział dłuższych zdań, podkreślenia tekstu itp. są tylko moim pomysłem.
- Dużo trudności sprawia mi „pobożnościowa ortografia”. Z jednej strony nie chciałbym szargać świętości (a może Świętości?). Zaś drugą stronę – jak mi się wydaje – najlepiej obrazuje stary kawał, w którym padają słowa: „Nie maluj Mnie na kolanach, maluj Mnie dobrze!”.
- Sytuacja opisywana w poprzednim punkcie uległa pewnej poprawie. Mianowicie udało mi się nabyć „Zasady pisowni słownictwa religijnego”, Biblos, 2004; Wyd. II, 2005. Ale stało się to dopiero wiosną 2005 r.

W końcu chciałbym ujawnić motywy, które mną kierowały przy podjęciu decyzji o spisywaniu tych konferencji. Dość szybko zauważyłem, że słucham z zapartym tchem ale trwale zapamiętuję tylko kilka procent informacji. Więc najpierw miało to być tylko dla mnie, bo jestem raczej „wzrokowcem”. Ale przecież mam przyjaciół i znajomych, którzy są np. chorzy, albo zajęci ... Wdzięczność kilku osób była dodatkową motywacją.

Jerzy Paczyński

1 Nauka o Kościele — *eklezjologia* (9 października 2006)

Pochwalony Jezus Chrystus! Dobry wieczór państwu. „W imię Ojca . . .”. „Ojcie nasz. . .”. „Stolico Mądrości . . .”. Jeszcze raz od Modlitwy Pańskiej i od wezwania z Litanii Loretańskiej, które zawsze towarzyszy teologicznej refleksji, rozpoczęliśmy już nie tylko kolejną konferencję biblijną, ale kolejny nasz rok biblijnego zamyślenia, biblijnych katechez. Trwają one bardzo długo, teraz kolejny rok przed nami, 2006/2007. I na progu tego roku witam państwa bardzo serdecznie. Proszę mi wierzyć, że każdej i każdemu chciałbym przekazać takie bardzo ciepłe słowa powitania, jednocześnie wdzięczności za tę obecność, która jest świadectwem przywiązania do refleksji, do namysłu, także do życia Słowem Bożym zawartym na kartach Pisma Świętego.

Nie jest łatwo prowadzić te konferencje, podkreślam to państwu zawsze, z dwóch powodów. Jeden powód to są słuchacze, czyli państwo, wymagający, bo mający za sobą już wiele lat wspólnej refleksji, a zatem również duże obycie z problematyką biblijną. Drugi powód to także to, że przez wiele lat naszych wspólnych spotkań udało nam się poruszyć sporo zagadnień. I przygotowując taki ogólny temat tegoroczny zastanawiałem się co by to być mogło, aby nie powtarzać wiele z tego, co było, a z drugiej strony wprowadzić problematykę, która również będzie budziła zainteresowanie i która spotka się ze strony państwa z takim odzewem wewnętrznym, polegającym na tym, że każda kolejna konferencja biblijna będzie jeszcze jedną sposobnością do wspólnego spotkania.

Zastanawiając się nad tematami, z których można byłoby ułożyć całość w tym roku, doszedłem do wniosku, że będzie dobrze, jeżeli w centrum naszego zainteresowania, mówiąc ogólnie, postawimy Kościół. Doskonale wiemy, że półtora roku po śmierci Jana Pawła II Kościół katolicki w Polsce znajduje się na zakręcie. Doskonale wiemy, że pod wieloma względami potrzeba nam światła i mocy Bożej. Że rzeczywiście Kościoła opisywana jest na różne sposoby, na różne sposoby przeżywana. I że nierzadko to, co się dzieje w Kościele, a więc i w nas samych, powoduje, że chcemy jakiegoś rozjaśnienia, jakiegoś światła, jakiejś pomocy po to, żeby móc samodzielnie, tzn. w perspektywie wiary, ale także zgodnie z własnym sumieniem, odnieść się do najrozmaitszych wyzwań, przed którymi na progu XXI wieku Kościół, także w naszej Ojczyźnie, staje. I dlatego wybrałem właśnie Kościół. Oczywiście nie Kościół jako instytucję, aczkolwiek także o tym będziemy mówić i będziemy się nad tym zastanawiać, ale przede wszystkim ten Kościół, który my wspólnie tworzymy. I zastanowimy się nad tym, co to znaczy tożsamość człowieka Kościoła, jakie są nasze zadania, jakie są trudności, jakie jest światło na drodze, która czasami bywa bardzo mroczna. I oczywiście będziemy szukali światła i odpowiedzi na to wszystko, w tekstach Pisma Świętego, przede wszystkim Nowego Testamentu. Państwo doskonale wiedzą, że rzeczywistość Kościoła można opisywać na rozmaite sposoby, i tak się dzisiaj dzieje. Można by powiedzieć, że Kościół dzisiaj jest częściej przedmiotem publicznego zainteresowania, niż kiedykolwiek w przeszłości. Paradoks polega jednak na tym, że te płaszczyzny opisywania, przedstawiania Kościoła, mówienia i myślenia o nim, mają charakter socjologiczny, a więc punktem odniesienia są rozmaite ankiety przeprowadzane na temat Kościoła, mają punkt widzenia psychologiczny, a więc podchodzi się do Kościoła jako do rzeczywistości, która ma nie tyle charakter duchowy, co jakiś psychiczny bardziej. Refleksja nad Kościołem ma również charakter polityczny bardzo często, bardzo często ideologiczny. I w całym tym zamęciu, który dotyczy także najrozmaitszych wydarzeń z życia Kościoła — i tych dobrych, pełnych światła, ale także tych kiepskich, dużo bardziej mrocznych, wobec tego wszystkiego potrzebny jest poziom refleksji dla ludzi dojrzałych, dla wierzących w Jezusa Chrystusa, który nie poprzestaje na płaszczyźnie socjologicznej, psychologicznej, politycznej, ideologicznej, ale posuwa się dalej wгłęb, mianowicie patrzy z perspektywy wiary. A więc podchodzi, czy patrzy na rzeczywistość Kościoła i swojej w nim obecności, swoich w nim działaniach, właśnie z perspektywy teologicznej.

Trzeba nam zatem podjąć wysiłek, który nie jest łatwy, i który można by nazwać na progu *teologia Kościoła*. Ta teologia Kościoła ma swoją łacińską nazwę. Kiedy ją powiem, będzie się wydawało państwu, że konferencje tegoroczne będą trudne — ale zrobię wszystko, żeby było inaczej. Otóż ta teologia Kościoła nosi nazwę *eklezjologia*, a więc *Nauka o Kościele*. Ale nie chcę bynajmniej, żeby nasze rozważania miały charakter teoretyczny czy, powiedzmy sobie, doktrynalny, chociaż to też jest ciekawe, bo tego rodzaju rozważania proponuje się przede wszystkim studentom teologii. Bardzo chciałbym, żeby nasza refleksja miała charakter egzystencjalny, tzn. żebyśmy rozważyli rzeczywistość Kościoła od naszej strony, od naszej w nim obecności, z naszej perspektywy, z rozma-

itych punktów widzenia. Ale nie będziemy mówić i opisywać zjawisk dzisiejszych dlatego, że wtedy bardzo łatwo uwikłać się w rozmaity ten czy inny punkt widzenia, w jakieś konkretne zjawisko, albo powodować konkretne skojarzenia. Bardzo łatwo jest zatem rozpocząć od teologii a skończyć w ideologii, rozpocząć od wiary a skończyć na opisie socjologicznym albo nawet politycznym.

Więc zamiast tego wszystkiego będziemy szukać obrazu Kościoła i obrazu życia Kościoła na kartach Nowego Testamentu. Będziemy starali się pokazać ten Kościół w samych jego początkach, i będziemy starali się uchwycić pewne analogie i pewne wyzwania, jakie stoją przed Kościołem dzisiaj, i nami, którzy Kościół stanowimy, a Kościół wtedy, kiedy on się wyłania, kiedy Jezus Chrystus powołał go do istnienia mocą Ducha Świętego, i przy Zesłaniu Ducha Świętego. Będziemy zatem sięgać do rzeczywistości Kościoła w starożytności ale w przekonaniu, że to, co stawało przed wierzącymi w Jezusa Chrystusa prawie 2000 lat temu, jest pod wieloma względami bardzo, bardzo aktualne. Przewodnikiem po tej refleksji będzie postać, osoba, którą doskonale znamy. Jego pisma czytaliśmy już wielokrotnie, zwracaliśmy uwagę na jego działalność. On jest kluczem do zrozumienia Nowego Testamentu i kluczem do zrozumienia Kościoła, rzeczywistości Kościoła, trudności, które stoją przed Kościołem, i oczywiście powołania, które stanowi taki najważniejszy cel istnienia Kościoła.

Rozumieją państwo doskonale, że naszym przewodnikiem będzie św. Paweł Apostoł. Nie ma człowieka, który głębiej przeżywałby tajemnicę Kościoła, niż właśnie on. A to, co na temat Kościoła pisał, i mówił, znalazło się w kanonie Nowego Testamentu. I dobrze będzie, jeżeli z pism św. Pawła będziemy wybierać wg. pewnego klucza – i to już będzie moje zadanie na każdej konferencji – będziemy wybierać teksty, które będą nam rzucać nowe światło na kolejny aspekt kościelnego istnienia i działalności. Wybieramy św. Pawła, bo on, jak powiedziałem, jest kluczem Kościoła, a w pewnym tego słowa znaczeniu jest – można by powiedzieć – takim mózgiem Kościoła. Sercem Kościoła jest Jezus Chrystus. Natomiast Paweł wiarę w Jezusa Chrystusa, wiarę żydowską, rozpoczętą przez Apostołów Jezusa Chrystusa: Piotra, Jakuba, Jana i pozostałych Dwunastu, Paweł tę wiarę podjął i przełożył na kategorie intelektualne. Czyli na podstawie wiary, w oparciu o wiarę dokonał wysiłku, który nosi nazwę *teologia*. Teologia, wiele razy o tym mówiliśmy, jest to wiara szukająca zrozumienia. Otóż każdy z nas wierzy na rozmaite sposoby — w zależności od wieku, płci, od uwarunkowań, od możliwości, od położenia, od sytuacji życiowej. Natomiast wśród tych milionów wierzących tylko nieliczni podejmują wysiłek zrozumienia i pogłębienia swojej wiary, czyli uprawiania teologii. Ten wysiłek uprawiania teologii chrześcijańskiej został zapoczątkowany przez św. Pawła Apostoła. To on wiarę w Jezusa Chrystusa, wiarę, która zrodziła się na terenie Palestyny, wiarę, która promieniowała z Jerozolimy, z Samarii przez Galileę na cały świat, on tę wiarę przełożył na kategorie intelektualne, na zrozumienie tej wiary, na przedstawienie tej wiary. I okazało się, że ta wiara specyficznie żydowska, zrodzona w warunkach semickich, w warunkach palestyńskich, dzięki św. Pawłowi, który przełożył tę wiarę na kategorie greckie, hellenistyczne, europejskie, nasze — właśnie ta wiara trwa do dnia dzisiejszego i stanowi sam fundament i naszej wiary. Zatem św. Paweł będzie nam przewodnikiem. I dzisiaj rozpoczniemy od jego pierwszego tekstu, jaki kiedykolwiek napisał, jaki powstał — od jego Pierwszego Listu skierowanego w bardzo niecodziennych warunkach do wspólnoty, którą sam w wielkim trudzie założył. Już dzisiaj, mam nadzieję, państwo zobaczą, że od samego początku istnienie Kościoła połączone było z niezwykle trudnościami. Że Kościół nigdy w samych początkach nie miał jakiegoś złotego i pomyślnego wieku, że od samego początku borykał się z różnymi wyzwaniami. I zobaczymy również jak Paweł na nie odpowiedział.

Przypomnieć nam trzeba, bardzo lakonicznie, życie św. Pawła, oczywiście nie całe. Być może są wśród państwa osoby, które pamiętają naszą refleksję na temat św. Pawła kilka dobrych lat temu, i z całą pewnością w głowach pozostało bardzo wiele. To, co najważniejsze, to: Paweł urodził się jako Saul – to jest jego imię hebrajskie, żydowskie – w Tarsie, na terenie Cylicji, to jest teren dzisiejszej południowej Turcji. Ten region jest bardzo gorący. Z jednej strony morze, z drugiej strony góry które sprawiają, że całą ta kotlina do dnia dzisiejszego jest jednym z najgorętszych regionów Azji Mniejszej czyli Turcji. Urodził się w rodzinie żydowskiej, ale jednak jego ojciec był obywatelem rzymskim. Najprawdopodobniej albo sobie wcześniej rodzice nabyli to obywatelstwo, albo – jak Paweł w tym czy innym miejscu zaświadczył – po prostu byli obywatelami rzymskimi dłużej. A obywatelstwo rzymskie w starożytności to był, powiedzmy, podobny przywilej, jak dziś obywatel-

stwo amerykańskie. Z tego Paweł wielokrotnie korzystał już później, w warunkach o których także i dzisiaj powiemy. Jako młody chłopak został posłany przez swoich rodziców — czytaj: przez swojego ojca, bo to ojciec decydował o wychowaniu synów — do Jerozolimy. I tam jako nastolatek pobierał nauki u stóp rabina, który miał na imię Gamaliel. Był w tych naukach bardzo biegły. Posiadał dużą wiedzę, posiadał znajomość Biblii hebrajskiej — mówiąc naszym językiem: Starego Testamentu. Posiadał również znajomość tradycji żydowskiej, tradycji rabinów. I spotykamy go po raz pierwszy na kartach Nowego Testamentu wtedy, kiedy już po śmierci Jezusa wybuchają pierwsze prześladowania przeciwko wyznawcom Jezusa Chrystusa, wywodzącym się z judaizmu. Ofiarą tego prześladowania pada diakon Szczepan, który u bram Jerozolimy zostaje ukamienowany. Taka kara w starożytności groziła osobom oskarżonym lub bluźnierstwem przeciwko Bogu. Oczywiście przedmiotem bluźnierstwa miało być wyznanie wiary w Jezusa Chrystusa. Szczepan głosi, że Jezus jest Synem Bożym. Mało tego! Dodaje, że wiara w Jezusa Chrystusa jako Syna Bożego w niczym nie sprzeciwia się żydowskiemu monoteizmowi, że nie ma tutaj żadnego naruszenia wiary Starego Testamentu. Przeciwnie, cytując pisma Biblii hebrajskiej Szczepan wykazuje, że Biblia hebrajska – Stary Testament – wielokrotnie, w różnych miejscach zapowiadała niezwykle działanie boże Kogoś, czyj związek z Bogiem jest absolutnie wyjątkowy.

Szczepan zostaje ukamienowany. Natomiast ci, którzy dokonywali ukamienowania, złożyli swoje szaty u stóp młodzieńca, zwanego Saulem. Zatem Saul jest świadkiem przelania krwi, krwi diakona Szczepana, pierwszego chrześcijańskiego męczennika, którego święto liturgiczne obchodzimy nazajutrz po Bożym Narodzeniu każdego roku. I Saul widzi to na własne oczy. A kiedy udawał się do Damaszku, do tamtejszej wspólnoty żydowskiej, aby także tam załatwić sprawy tych, którzy uwierzyli w Jezusa, po drodze następuje — nazywamy to: nawrócenie. Ale nie tyle nawrócenie w sensie: z pogaństwa na wiarę chrześcijańską, ile raczej Chrystus go oślepia nie tylko fizycznie, ale wręcz duchowo. Otóż spotyka Saul ten głos, który jest niezwykle tajemniczy, i który brzmi: „Saulu, Saulu, dlaczego Mnie prześladujesz? Kto Ty jesteś, Panie? Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz.”

Zwróćmy uwagę, że tak Saul otrzymuje na drodze pod Damaszkiem pierwsze, można by powiedzieć, zręby, podwaliny, fundamenty teologii Kościoła. Przecież Saul — mówiliśmy o tym kiedyś — nie prześladował Chrystusa osobiście, bo prawdopodobnie nigdy Go nie spotkał. Prześladował Kościół! Ale w tym momencie tej ekstazy duchowej Saul dowiadyuje się, że istnieje tożsamość między Chrystusem a Kościołem. Że Chrystus i Kościół to jedno, że Chrystus żyje w swoim Kościele. Że ten, kto zwraca się, albo ci, którzy zwracają się, przeciw Kościołowi, prześladują samego Zbawiciela. I to właśnie wydarzenie będzie miało kluczowe znaczenie dla całego życia Saula, który od tej pory, przyjmawszy w Damaszku chrzest, przybiera zarazem greckie imię Paweł. Z Damaszku udaje się na Pustynię Arabską. Tam studiuje wnikliwie Stary Testament. Tam myśli nad tym, co się w jego życiu stało. Tam przyswaja to wszystko sobie. Są to jego wielkie duchowe rekolekcje. Następnie udaje się do Jerozolimy, ale jak państwo doskonale wiedzą, w Jerozolimie nie zostaje przyjęty, czy też mówiąc inaczej — zostaje przyjęty nieufnie. Apostołowie i pierwsi wyznawcy Chrystusa obawiają się nowego konwertyty dlatego, że sądzą, że może to być z jego strony podstęp. Dlatego z Jerozolimy udaje się z powrotem do swojego rodzinnego domu, do Tarsu. I zapewne byłby tam został długo, może nawet do końca życia, pozostałby z tym swoim widzeniem, z tym swoim przeżyciem, gdyby nie to, że w Tarsie odnajduje go jego bliski przyjaciel, który miał na imię Barnaba. Ściąga go stamtąd do Antiochii. To jest miasto również na terytorium Turcji dzisiejszej, przy granicy z Syrią. I tam w Antiochii obaj, Paweł i Barnaba, dobierają sobie jeszcze jednego, trzeciego współtowarzysza i rozpoczynają pierwszą podróż misyjną. Ta pierwsza podróż misyjna, rozpoczęta w r. 47 i odbyta w latach 47 - 48, a więc kilkanaście lat po śmierci Jezusa, będzie miała decydujące znaczenie dla chrześcijaństwa. Paweł, Barnaba i Jan Marek udają się na Cypr. Tam mają pierwsze osiągnięcia misyjne. Ale udają się zawsze początkowo do Żydów. Okazuje się, że bardziej niż Żydzi zainteresowani są głoszoną Ewangelią poganie. Pawła to dziwi, również Barnabę, również Jana Marka. Kiedy przeszli przez Cypr, postanowili udać się dalej. Wsiadają an statek i udają się do Azji Mniejszej, w okolice dzisiejszej Antalyi. Tam, gdzie mnóstwo Polaków przyjeżdża każdego roku na wypoczynek nawet nie wiedząc, że obok Antalyi znajduje się miejscowość, której nazwa brzmi Perge, i jest to pierwsze miejsce działalności misyjnej św. Pawła na terenie Azji Mniejszej. W Perge Jan Marek odłącza się od nich — dlatego, że dochodzi do wniosku, że świat, przed którym stają, jest absolutną zagadką.

Proszę zwrócić uwagę na ten moment. Niech państwo sobie wyobrażą — dwóch tylko Apostołów, którzy wychodzą ze statku w mieście, którego kompletnie nie znają. I mają głosić Jezusa Chrystusa! Co mają ze sobą? Tego musimy być świadomi, bo to jest ważne, także dla nas dzisiaj, jeżeli chcemy mieć pojęcie o narzędziach, którymi dysponuje Kościół. Otóż Apostołowie mają ze sobą Stary Testament, mają ze sobą Biblię hebrajską. Znają ją, czytają, rozważają dlatego, że to była Biblia Izraela, a oni przecież wywodzili się z narodu bożego wybrania. Nie mają jeszcze ze sobą żadnej Ewangelii. Nie ma żadnego skrawka — przynajmniej tak sądzimy — zapisanej Ewangelii, bo jeszcze żadna Ewangelia na piśmie nie powstała. Ewangelia św. Mateusza, św. Marka, św. Łukasza, św. Jana — wszystkie te cztery Ewangelie kanoniczne powstaną później. Najwcześniejsza z nich, Ewangelia św. Marka, powstała gdzieś w latach 50-tych. Mateusza — 15, 20 lat później. Łukasza — to samo. Ewangelia Jana powstała najpóźniej, bo dopiero w latach 90-tych. Paweł nie ma ze sobą żadnej spisanej Ewangelii. Nie ma ze sobą żadnego pisma Nowego Testamentu, bo Nowego Testamentu po prostu nie ma. Ma Stary Testament oraz ma w głowie i w sercu obraz Chrystusa, który mu się ukazał i który go pozyskał dla wiary w Niego. Jakaż musiała być jego żarliwość, podobnie jak żarliwość Barnaby, żeby ze swoją osobistą, indywidualną wiarą wyjść na spotkanie ludziom, których nigdy nie widział, na terenie Azji Mniejszej. Papież Paweł VI powiedział, a te słowa przypomniał niedawno papież Benedykt XVI, że zawsze jest tak, że bardziej niż nauczycieli Kościół potrzebuje świadków. Dlatego, że nauczycieli jest bardzo dużo, natomiast świadkowie wiary są rzadkością. Być nauczycielem to jest rola czy funkcja, która jest bardzo ważna, ale która nie jest decydująca, nie musi być decydująca dla pozyskiwania nowych wyznawców. Natomiast świadectwo zawsze pociąga. Można by powiedzieć, że tam, na progu Azji Mniejszej stają dwaj świadkowie, nie tylko nauczyciele, ale dwaj świadkowie wiary w Jezusa Chrystusa.

Przeszli przez Perge, poszli w głąb Azji Mniejszej, obeszlili tamtejsze miasta. I spotykają się z zainteresowaniem, i spotykają się z odrzuceniem. Paradygmat, który zawsze będzie się powtarzał w historii Kościoła, i który powtarza się również dzisiaj. Wiara w Jezusa Chrystusa pociąga, intryguje, zachęca do wierności. Ale wiara w Jezusa Chrystusa jest też kamieniem obrazy. Zawsze będą ci, którzy powiedzą „Tak”, i zawsze będą ci, którzy powiedzą „Nie”. Problem polega na tym, że „Nie” mówią ci, o których można by domniemywać, że powinni raczej udzielić pozytywnej odpowiedzi. Wyobraźmy sobie sytuację apostoła Pawła. Udaje się do środkowej Anatolii, udaje się najpierw do Żydów, do swoich rodaków, a oni na początku przyjmują go entuzjastycznie. Tak się działo np. w Antiochii, w Pizydii, kiedy zobaczywszy Pawła i Barnabę, którzy przybyli z Bliskiego Wschodu, miejscowi Żydzi mówią: „Co macie nam do powiedzenia? Mówcie, chętnie was posłuchamy”. Kiedy przeczytał fragment Starego Testamentu, a następnie odniósł się do osoby Jezusa Chrystusa, powiedzieli: „Przyjdźcie za tydzień, za tydzień też będziemy was słuchać”. Przyszli za tydzień — i rozpoczęły się kłopoty. Okazało się bowiem, że znacząca część Żydów, wychowana w tradycji judaizmu biblijnego, odpowiada negatywnie i nieufnie na wieści o Jezusie Chrystusie. A co ich boli szczególnie? Boli ich to, że Paweł pozyskuje słuchaczy wśród tzw. prozelitów. Czyli tych, którzy byli zainteresowani wiarą biblijnego Izraela, ale etnicznie nie byli Żydami lecz poganami. Byli Grekami, czy też może lepiej, właściwiej — ludnością grekojęzyczną. I część Żydów się niepokoi o popularność Pawła. Właśnie popularność części głosicieli zawsze staje się dla nich, w każdym czasie, przyczyną kłopotów. Dopóki Dobra Nowina o Jezusie nie jest przedstawiana atrakcyjnie, nie wywołuje też specjalnego sprzeciwu. Ale jeżeli zaczyna się ją przedstawiać w sposób, który pozwala pozyskać tych, którzy są nią zainteresowani, to okazuje się także, że napotyka na opory. Tak było tam wtedy. Apostołowie musieli uchodzić z Anatolii — poszli do Ikonium, do Derbe, do Listy. Możemy o tym czytać na kartach dziejów Apostolskich. I wszędzie napotkali na trudności ze strony swoich pobratymców. Otóż trudności ze strony najbliższych to jest największy ciężar, na jaki może natrafić człowiek. Otóż państwo wiedzą, że w przekornej formie można przypomnieć przysłowie: „Broń mnie, Panie Boże, od przyjaciół, bo z wrogami sobie poradzę”. Otóż i tu mamy zupełnie podobną sytuację. Ci, którzy powinni być otwarci na nauczanie Pawła, przyjacielscy, okazują się podstępni, wyrafinowani. Dzieje Apostolskie nie zostawiają wątpliwości co do tego, że misja Pawła napotyka na coraz większe trudności. Skutkiem tego nauczania stała się próba ukamienowania Pawła. To jest epizod, który by można nazwać wręcz filmowym dlatego, że Paweł wychodzi z tego ukamienowania, przeżył to ukamienowanie. Najprawdopodobniej nie zmierzali do śmierci, tylko po prostu chcieli Pawła mocno przestraszyć. Ale nie tylko przestraszyli, ale również uczynili go kale-

ką. Od tej pory w listach Pawła widać to wyraźnie, że ma kłopoty ze zdrowiem. Jakiego rodzaju były to kłopoty, na dobrą sprawę nie wiemy. Ale najprawdopodobniej wiązały się one ze wzrokiem, prawdopodobnie miały związek z oczyma. Dlatego, że te aluzje, o których mowa, wskazują właśnie na problemy z głową, z oczyma szczególnie. Tak kończy się pierwsza podróż apostołska. Paweł przekonuje się, że głoszenie Chrystusa i zakładanie Kościoła będzie szło opornie. Wniosek z tego także i dla nas, że nigdy, kiedy rozpoczyna się świadczenie Jezusowi Chrystusowi, nie wolno liczyć, że sprawy pójdą łatwo. Od początku szło bardzo trudno. I wiele razy powtarzało się to w dziejach Kościoła. I również dzisiaj nie ma co liczyć na Ewangelię, która będzie łatwa i przyjemna.

Proszę zauważyć, że kończy się pierwsza podróż misyjna, jest rok 48 mniej więcej, może 49 — bo tutaj nie jesteśmy dokładnie pewni, ta kwestia jednego roku z takiej perspektywy czasowej nie jest tak bardzo ważna — i Paweł z Barnabą wracają do Antiochii. Zdają sprawę w Jerozolimie ze swojej działalności, odbywa się nawet tzw. synod jerozolimski, czy też sobór jerozolimski, na którym Apostołowie zastanawiają się, jak postępować z poganami, którzy weszli do Kościoła. Zostawiamy tę sprawę na boku, być może jeszcze kiedyś będzie sposobność, żeby wrócić do tego wątku, który zresztą poruszaliśmy. I Paweł otrzymuje zielone światło do nauczania pogan. Już nie tylko do nauczania Żydów, ale także do nauczania pogan. I okazuje się, że to zielone światło staje się dla niego źródłem ogromnych kłopotów, nowych kłopotów. U Żydów, którzy nie uwierzyli w Jezusa, jest nie tylko brak zainteresowania nauczaniem Pawła, ale coraz bardziej narasta wrogość wobec Ewangelii. Paweł rozpoczyna drugą podróż misyjną. I list, którego fragmenty za chwilę przeczytamy, dotyczy tej właśnie podróży misyjnej i dobrze jest znać ten kontekst. Najpierw udaje się w te rejony, które poznał w czasie pierwszej podróży misyjnej. Tam chce utwierdzać tych, których pozyskał dla Ewangelii. I okazuje się, że chociaż przeżył cierpienia, chociaż był ukamienowany, chociaż go wyrzucano, to tworzą się tam zręby Kościoła. Ta kraina nazywa się Galacja. Oczywiście te miasta istnieją po dzień dzisiejszy, a z nich najważniejsze to Ikonium, turecka Konya, znana bardziej dzisiaj z fabryki autobusów, niż z Nowego Testamentu. Tam ma swoją filię niemiecka firma Mercedes, i tureckie autobusy są właśnie tam robione. Mało kto prowadząc te autokary w Polsce ma pojęcie, że autokar pochodzi z biblijnego miasta. Otóż Konya jest największym takim miastem, ale zachowały się też ruiny Antiochii w Pizydii. Kilka lat temu byliśmy tam z grupą z państwa, i przedtem też z grupą z państwa. Na pewno są tu osoby, które, gdy mówię Ikonium czy Antiochia, to widzą przed sobą tamten rejon Azji Mniejszej.

Paweł tam się udaje raz jeszcze. Widzi, że wszystko jest w miarę dobrze i postanawia pójść dalej. I wydarza się rzecz niezwykła. Mianowicie Dzieje Apostolskie mają tutaj taki bardzo zagadkowy fragment który powiada, że gdy Paweł udaje się bardziej na północ, w stronę dzisiejszego Stambułu, w stronę cieśniny Bosfor i w stronę Morza Czarnego — dlatego, że tam wszędzie mieszkała ludność grecka, a po drodze mieszkała ludność hetycka — i okazuje się, że Duch Święty mu nie pomógł. Najprawdopodobniej miał trudności z dogadaniem się, z porozumiewaniem się z tą ludnością hetycką, która nie znała greki. Paweł mówił po grecku, mówił po hebrajsku, ale język hetycki i rozmaite narzecza, które tam były w tamtym czasie, były mu nieznanne. Dlatego skierował się w stronę Morza Śródziemnego. Tutaj czuł się dużo lepiej, bo Śródziemnomorze zawsze w starożytności, tak jak dzisiaj, stanowiło integralną całość. Udał się do Troady — nie można mylić ze starożytną Troją, która jest niedaleko — i tam otrzymał widzenie, by się przeprawić do Europy.

W ten sposób Paweł staje na progu Europy. Nigdy przedtem tutaj nie był. On, Żyd wychowany w Tarsie, urodzony w Azji Mniejszej, znający tamtą kulturę, wsiada na statek. Płynie w kierunku Europy, obok wyspy Tasos, i ląduje, wychodzi ze statku w Neapolu — dzisiejsza Kawalla. Udaje się do Filipi, to była potężna rzymska kolonia. I tam ma pierwsze sukcesy apostołskie, pierwsze sukcesy misyjne. Mianowicie pozyskuje, znajduje grupę ludzi miejscowych, Greków, ale także Żydów, którzy są zainteresowani głoszoną przez niego Ewangelią. Jest rok 50, najprawdopodobniej jesień 50-go roku. Paweł przyjęty w Filipi bardzo gościnnie, doznaje niezwyklej serdeczności. Na swoje, można by powiedzieć, nieszczęście dokonuje jednak pewnego uzdrowienia. Mianowicie w Filipi mieszkała dziewczyna, która zajmowała się wróżeniem, i która była dość dokuczliwa i dawała się apostołom we znaki z tego powodu, że przeszkadzała im w ich misji. Paweł zatem sprawił, używając swojej wiary w Jezusa Chrystusa, że dziewczyna przestała wróżyć. I wtedy jej panowie, ponieważ ona była niewolnicą, czynią z tego Pawłowi zarzut. Mianowicie stracili źródło zysku dlatego, że ona te pieniądze z wróżb przynosiło do swoich właścicieli. Uznano Pawła za persona non grata. Do

tego oporu przeciwko niemu przyłączyli się inni Żydzi i Paweł zostaje z Filipi – gdzie przyjęty był bardzo serdecznie – wyrzucony, i musi uchodzić do Tessaloniki. Mało tego, grozi mu nawet biczowanie. W momencie, kiedy zabierają się do egzekucji, Paweł powiada: „Co wy chcecie robić? Ja jestem obywatelem rzymskim.” I oczywiście wypuszczają go wolno dlatego, że widzą, że sprawę przybrały obrót nie taki, jak sobie wyobrażali, i Paweł udaje się Tessaloniki, dzisiejsze Saloniki.

Powoli dochodzimy do tego, co stanowi sedno jego pierwszej, pierwotnej, można by powiedzieć najwcześniejszej eklezjologii, tzn. jego spojrzenia na Kościół. Paweł przybywa tutaj, udaje się do synagogi, zostaje przyjęty życzliwie jednego tygodnia, drugiego. A następnie rozpoczyna się sprzeciw ze strony Żydów przeciwko niemu. Żydów niepokoi dokładnie to samo. Mianowicie ogromna popularność nauczania pawłowego i fakt, że głoszoną przez niego Ewangelią są zainteresowani nadal ci prozelici, czyli osoby pochodzenia pogańskiego ale zainteresowane już wcześniej Starym Testamentem. Dlatego w mieście powstają plotki, miasto zostaje podburzone, Łukasz(?) w *Dziejach Apostolskich* mówi, że brały w tym udział, zostały do tego zaangażowane wpływowe kobiety. Do tego stopnia stymulowana przeciwko Pawłowi, że Paweł musi miasto, w którym rozpoczął swoją działalność misyjną, opuścić. Później w historii Kościoła zdarzało się wielokrotnie, że ci, którzy głosili Ewangelię czy głosili wiarę w Jezusa Chrystusa, musieli cierpieć i znosić najrozmaitsze rzeczy, i opuszczać miejsca swojej działalności. Chyba jeden z najślynniejszych przykładów, to św. Jan Chryzostom Złotousty, który był biskupem Konstantynopola w V - VI wieku, który słynął z pięknych mów, pozyskiwał bardzo wielu do wiary chrześcijańskiej i przeciwko któremu też uknuto spisek, i z Konstantynopola pod koniec swojego życia został usunięty. Te przykłady można byłoby mnożyć. Myślę że nie tylko starożytność, ale i późniejsze czasy dostarczyłyby tutaj wiele budujących przykładów. Jeżeli człowiek nic nie robi, wtedy jest nawet dobrze widziany. Natomiast jeżeli miarą tego, co mówi, jest również popularność, wtedy natrafia na sprzeciwy. Tak było z Pawłem. Paweł musi uchodzić do Berei, tam go też dopadają żydowscy przeciwnicy. Udaje się zatem do Aten, a z Aten udaje się do Koryntu.

I dochodzimy do sedna sprawy, do istoty rzeczy. Paweł przebywa na Peloponezie, w południowej Grecji, w Koryncie właśnie. Zatrzymał się tam półtora roku. Został przyjęty bez wielkiego entuzjazmu ale rozumiał, że aby głosić Ewangelię skutecznie, trzeba dłużej przebywać w danym miejscu. I również nie mógł polegać na tym, że ktokolwiek będzie go utrzymywał. Zabrał się zatem za pracę fizyczną. To odwróciło uwagę jego przeciwników, i Paweł przebywa w Koryncie. I tam, po kilku miesiącach, w r. 51 pisze *Pierwszy List do Tessaloniczan*. Otóż ten Pierwszy List do Tessaloniczan zachował się do naszych czasów i jest to najstarsze pismo Nowego Testamentu. Nie ma nic starszego, niż Pierwszy List do Tessaloniczan. Ewangelie są późniejsze, wszystkie następne listy są późniejsze — listy Pawła, i Piotra, i Jakuba, i Jana, i Apokalipsa również. Natomiast Pierwszy List do Tessaloniczan jest pismem najwcześniejszym. Oczywiście Apostoł nie ma świadomości, że list, który pisze, zostanie zachowany, a nawet wejdzie do kanonu pism Nowego Testamentu, bo do głowy mu nie przychodzi, że jakkolwiek Nowy Testament będzie istniał. To, czym dysponował, to nadal jest Biblia hebrajska, może Biblia grecka, bo przecież uczył w świecie greckim, czyli tzw. Septuaginta. I z tym Starym Testamentem, z tymi zwojami, które w synagogach były przechowywane i czytane, Paweł głosi Jezusa Chrystusa. Pokazuje, że na kartach Starego Testamentu Chrystus jest obecny. Zatem uprawia, jako pierwszy człowiek po Chrystusie, który robił to samo, chrystologiczną lekturę Starego Testamentu. Pokazuje, że wiara w Jezusa Chrystusa leży na przedłużeniu Starego Testamentu.

I któregoś dnia w okolicznościach, które możemy sobie tylko wyobrazić, Apostoł siada, pewnie przy jakimś stole, i albo sam pisze – bo potrafił pisać, i to doskonale – albo dyktuje komuś innemu, jeżeli zdrowie mu nie pozwalało, zwłaszcza wzrok, list, którego początek jest następujący. Ja przeczytam państwu ten maleńki fragment, ten sam początek tego listu, w języku, w którym on został napisany – żeby państwo mieli pojęcie, jak mogło to brzmieć 2000 lat temu – w języku greckim. Oczywiście zaraz to sobie przetłumaczymy. Ale proszę zwrócić uwagę, że wraz z tymi słowami dokonuje się niezwykła rewolucja. Rewolucja, z której do dzisiaj nie zdajemy sobie do końca sprawy. Mianowicie kiedy Apostoł przykładą pióro do papirusu czy pergaminu, pewnie raczej do pergaminu, i stawia pierwsze litery, to w ten sposób zaczyna pisać pierwsze pismo Nowego Testamentu. Apostoł napisał tak:

Paulos, kai Siluanos, kaj Timoteos te Eklezija Tessalikeon en Teo Patri Kajfirio Jesu Christu.

Paweł, i Sylwan i Tymoteusz Kościołowi Tessaloniczemu w Bogu Ojcu i Panu Naszym Jezusie Chrystusie.

Pierwsze zdanie Nowego Testamentu. Pierwszym słowem Nowego Testamentu jest **Paulos**.
Dopowiedzenie: *Pozdrowienie*. I dalej:

Hansimon kal ejrene

Łaska wam i pokój!

Ejrene to oczywiście nasza *Irena*, pochodzi od greckiego słowa **charis**, **charismatis**. Język grecki ma ogromny wpływ na nasz język.

Pierwsze słowa rzeczywistości, która zostanie nazwana Nowym Testamentem. Powtarzam to, bo to jest bardzo istotne – pierwszym słowem Nowego Testamentu jest *Paweł*. Jezus dokonał odkupienia ludzkości. Jezus spełnił nadzieje biblijnego Izraela. W Jezusie Bóg okazał swą moc stając się Człowiekiem. Natomiast *Paweł* dokonał transpozycji tego wydarzenia, przełożenia tego wydarzenia na język taki, który pozwala nam to wydarzenie zrozumieć. Otóż bez *Pawła* nie potrafilibyśmy tej rzeczywistości Jezusa Chrystusa nazwać. Jeżeli chcemy budować, chcemy otrzymać prawidłowy obraz Kościoła, jeżeli chcemy mieć właściwą eklezjologię, to punktem oparcia dla nas nie jest socjologia, nie jest psychologia, nie jest polityka, nie jest doktryna, nie jest ideologia, ale jest Jezus Chrystus, jego wydarzenie, jego Osoba, jego męka, jego Zmartwychwstanie, oraz *Paweł*, który to wydarzenie zdziałane w dziejach biblijnego Izraela, wydarzenie specyficznie żydowskie — do tego stopnia, że czasami dla nas, nie Żydów, niezrozumiałe — dokonał jego przekładu, jego wytłumaczenia, jego objaśnienia. *Paweł* przełożył wiarę na język teologii zrozumiały dla nas.

Pierwsze słowo Nowego Testamentu to *Paweł*. Do tego stopnia, że słusznie można przychylić się do opinii tych, którzy powiadają, że wiara chrześcijańska i Kościół mają dwóch ojców. Jeden to Jezus Chrystus, założyciel, mocą Ducha Świętego stworzył ramy i podwaliny dla Kościoła. Ale drugi — to *Paweł*, który to wydarzenie Jezusa Chrystusa przekazał w języku kultury greckiej. Popatrzmy też, że te pierwsze słowa listu, który zostanie zachowany, utrzymany, będzie przepisywany tak skrupulatnie, że do dzisiaj mamy tysiące jego rękopisów — otóż *Paweł* te pierwsze słowa pisze po grecku. Dzięki temu Ewangelia, czyli wieść o Jezusie Chrystusie, wychodzi poza wąskie ramy świata żydowskiego. Nie jest już ograniczona tylko do ram języka hebrajskiego czy aramejskiego, którymi mówili Żydzi, ale zostaje podana w języku, który w starożytności pełnił taką rolę, jak dzisiejszy angielski. Dlatego, że cały starożytny świat śródziemnomorski mówił po grecku — od Azji Mniejszej, przez Syro - Palestynę, przez Egipt, Afrykę Północną aż po Półwysep Iberyjski. Grecki był także znany na Półwyspie Apenińskim czyli w Italii, był językiem Imperium Rzymskiego. Oczywiście znana była także łacina, zwłaszcza w Afryce Północnej. Ale grecki był językiem dyplomatycznym i językiem większości mieszkańców ówczesnego Imperium Rzymskiego. Gdybyśmy chcieli dzisiaj, gdyby był jakiś geniusz – może kiedyś się pojawi bo państwo zauważą, że *Paweł* nie doczekał się do tej pory żadnego udanego filmu – który chciałby życie *Pawła* przedstawić, to myślę, że ta scena, kiedy *Paweł* stawia pierwsze znaki na jakimś materiale piśmienniczym, kiedy pisze swoje imię „Paulos”, że ta scena byłaby niezwykle poruszająca. Bo oto tak stawia znaki, które rozpoczynają drugą część Pisma Świętego, tu rozpoczyna się Nowy Testament.

Paweł napisał **Paulos** — a więc jego imię, **kaj Siluanos, kaj Timoteos** — Sylwan i Tymoteusz, było ich trzech. I państwo popatrzą — adresuje swoje pismo **te Eklezija Tessalikeon**. *Kościół* nazywa się po grecku **Eklezija**. To słowo **Eklezija** przejdzie do łaciny. Używane jest po dzień dzisiejszy. Mówimy, że chcemy w tym roku zająć się zrębami eklezjologii czyli nauki o Kościele. *Paweł* jest pierwszym, który używa słowo *Kościół* na oznaczenie wierzących w Jezusa Chrystusa. **Eklezija**. **Te Eklezija Tessalikeon** — zwraca to naszą uwagę na dwa wymiary Kościoła. Otóż Kościołem są wszyscy, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa, w czasach św. *Pawła* również. Ale *Paweł* używa „Kościoła” w sensie wspólnoty lokalnej: „Kościołowi Tessaloniczemu”. *Paweł* daje poczuć, że każdy Kościół, każda wspólnota ma swoją specyfikę, ma swoją tożsamość. Wszyscy

wierzą w Jezusa Chrystusa, ale każda wspólnota jest inna. Każda ma coś, co jest jej właściwe. Każda ma własny profil, bo każda ma własną historię, każda ma własne problemy. Tak jest do dzisiaj. Kościół, parafia warszawska różni się od parafii w Bieszczadach. Parafia miejska różni się od parafii wiejskiej, parafia robotnicza od parafii inteligenckiej. Parafia dawna, mająca długą tradycję, od parafii zupełnie nowej. Parafia w Polsce, Kościół w Polsce różni się od Kościoła w Belgii, we

Francji, we Włoszech, w Hiszpanii. Kościół w Europie różni się od Kościoła w Afryce, od Kościoła w Brazylii. Otóż w Kościele nie wolno narzucać jednorodności. Jedność Kościoła należy osiągać przez jego różnorodność, i uszanowanie tej różnorodności. Paweł, Sylwan i Tymoteusz piszą list do Kościoła w Tessalonice, bo Kościół w Tessalonice staje wobec konkretnych wyzwań, o których w Liście będzie mowa. I oni temu Kościołowi mają do przekazania konkretne wskazówki, konkretne zasady, konkretną logikę. Ci, którzy by chcieli, albo którzy narzucają, że chrześcijanie w poszczególnych miejscach, czasami nieodległych od siebie, mają równać do tego, aby być tacy sami — wyrządzają chrześcijaństwu i Kościołowi ogromną krzywdę, ogromną szkodę. To właśnie dążenie do jednorodności czyli do tego, żeby wszyscy byli tacy sami, narzucanie tego, staje się przyczyną podziałów, przyczyną sporów, przyczyną kłopotów. Jeżeli się na to nie zwróci uwagi, jeżeli o tym nie będzie się mówić, robi się Kościołowi, robi się nam wszystkim ogromną szkodę. Siłą Kościoła jest jego różnorodność. Nie wolno zatem przeprowadzać znaku równości między jednością a jednorodnością. Otóż zasadą jedności powinna być odmienność czyli uszanowanie drugiego człowieka takiego, jakim on jest. Przyjrzenie się temu człowiekowi, tej wspólnoty takiej, jaka ona jest. Państwo wiedzą pewnie, chociaż nie jest to wiedza specjalnie powszechna, że jeżeli w parafii dokonuje się zmiana proboszcza, albo w diecezji biskupa, to obowiązkiem dobrego proboszcza i obowiązkiem dobrego biskupa jest, wszedłszy w nowy teren, nowe miejsce przyglądać się najpierw tej lokalnej społeczności. Jeżeli nie ma jakichś rzeczy karygodnych czy nagminnie złych, to ma obowiązek uszanować lokalne tradycje. Ma obowiązek uszanować to, co tam się dzieje, łącznie nawet z porządkiem nabożeństw. Bo przecież jeżeli ktoś przyzwyczaił się do porządku nabożeństw w niedzielę, i powiedzmy od 20 czy 40 lat bierze udział w tej mszy świętej, to każda zmiana o kwadrans, czy o pół godziny, czy godzinę, powoduje ogromne trudności. Jeżeli ludzie przyzwyczaili się do takiej czy innej formy nabożeństwa — czy to będzie nabożeństwo pałdziernikowe, czy majowe, czy czerwcowe, czy jakiś ustalony zwyczaj — trzeba ten zwyczaj uszanować. Otóż tradycja, zwyczaj, który jest elementem tradycji, nieodłącznie towarzyszy budowaniu wiary. Więc zwracamy uwagę na ten szczegół, bo on jest niesłychanie ważny.

Państwo zwróć uwagę, jeżeli już będziemy mieć jakieś analogie współczesne, że jeszcze kilka miesięcy temu głośno było o Kościele krakowskim, Kościele toruńskim — ale nie na zasadzie uszanowania specyfiki każdego z nich, ale na zasadzie konfrontacji, na zasadzie napięcia, albo wręcz na zasadzie judzenia jednych przeciwko drugim. Otóż jeżeli ktoś będzie pojmował Kościoły jako społeczności, które można na siebie napuszczać, staje się wrogiem jedności Kościoła. Apostoł Paweł pisząc swój Pierwszy List ma za sobą rozmaite doświadczenia. Doświadczenia w Azji Mniejszej, doświadczenia w Europie, w Filipinach, w Salonice, Berei, Atenach. Teraz pisze w Koryncie. Ale zwracając się do Kościoła w Tessalonikach pisze do tych ludzi respektując to, co tam się działo. Respektując to, co tam było. I jeszcze jeden fragment.

En Teo Patri kaj Kyrio Jezu Christu *w Bogu Ojcu i Panu Jezusie Chrystusie*

Otóż Kościół jest rzeczywistością ludzką. Ale to nie wyczerpuje całej jego tożsamości ani zadań, które przed Kościołem stoją. Jeżeli poprzestaniemy na opisie Kościoła i na pojmowaniu Kościoła jako rzeczywistości ludzkiej i będziemy ją redukować do instytucji, to sprzeciwiamy się samej naturze Kościoła. W tym pierwszym zdaniu Nowego Testamentu mamy perspektywę, płaszczyznę, która pokazuje nam to, co stanowi o naturze Kościoła, mianowicie *w Bogu Ojcu i w Panu Jezusie Chrystusie*. Otóż Kościół ma o tyle sens, o ile jest Dziełem Bożym i o ile przedmiotem głoszenia i najważniejszą osobą w Kościele jest Jezus Chrystus. Bóg Ojciec i Syn Boży. Perspektywa wiary jest tą, która w Kościele powinna dominować. Jeżeli zapominają o tym ci, którzy są na zewnątrz Kościoła, to można by to uznać za nieporozumienie i im to przypominać. Natomiast jeżeli tej perspektywy wiary i głębokiej więzi z Bogiem Ojcem i Jezusem Chrystusem nie uznają ci, którzy są wewnątrz Kościoła, zwłaszcza ci, którzy odpowiadają za kształt wiary, jeżeli podejmują w Kościele działania czysto ludzkie, jeżeli decydują o losach Kościoła ich ambicje, próżność i egoizm, to już jest nieszczęście.

Dobrze wiemy, że może tak być i tak się zdarza. I wtedy obowiązkiem każdego wierzącego w Jezusa Chrystusa, w takiej dramatycznej sytuacji, jest po pierwsze patrzeć na Kościół jako na wspólnotę wyznawców Jezusa Chrystusa i dzieci Boga, i jednocześnie robić wszystko, aby ta perspektywa wiary była w naszym życiu, ale także w naszym stosunku wobec innych, dominująca. Pierwsze zdanie Pierwszego Listu do Tessaloniczan, rok pięćdziesiąty za ledwie — i od razu widzimy,

jak Paweł pojmuje ten maleński Kościół, maleńką wspólnotę ludzi, których pozyskał dla Chrystusa. Dodaje jeszcze do nich słowa:

Charisimon haj ejrene!

Łaska wam i pokój!

Łaska — to dar od Boga. Pokój — to również dar boży, ale budowany również wysiłkiem ludzkim. Rozpoczyna od pozdrowienia. Zobaczymy dalej treść pawłowego Listu, bo dziś już nie będziemy mieli czasu, że list jest niesłychanie głęboki i niesłychanie wzruszający. Wyobraźmy sobie nie tylko tę sytuację, kiedy Paweł przykłada pióro do pergaminu, aby go pisać, ale wyobraźmy sobie również tę maleńką, może kilku-, może kilkunastoosobową grupę chrześcijan w Tessalonikach, którzy ten list za kilkanaście dni czy za kilka tygodni otrzymali, i go czytają. Czytali nie mając świadomości, że otrzymali oto początek pierwszego pisma drugiej części Biblii.

Komu zawdzięczamy to pismo? Oczywiście zawdzięczamy je Pawłowi. Ale zawdzięczamy je również tym pierwszym chrześcijanom. Gdyby nie oni, gdyby nie ich pamięć, gdyby nie ich troska, gdyby nie ich czujność, gdyby nie ich przewidywanie, ten list dotarłby do nich, i tak jak setki i tysiące starożytnych pergaminów spłonąłby, został zapomniany, wyrzucony. Stało się inaczej. Oni, wśród których Paweł przebywał tylko przez kilka tygodni – bardzo krótko, oni odczytali, zrozumieli, że pismo, które otrzymali, jest niesłychanie ważne. Spoiwem Kościoła jest pamięć. Spoiwem Kościoła jest wzgląd na to, co naprawdę ważne. Ci, którzy stanowią Kościół, którzy należą do Kościoła, muszą zawsze umieć odróżniać rzeczy błache od tego, co stanowi samo sedno. Umiejętność wybierania tego, co stanowi samo sedno, przesądza o istnieniu Kościoła. Pierwszy List do Tessaloniczan znany i czytamy dzisiaj w warszawskiej parafii dlatego, że jego doniosłość zrozumieli ci, nazwijmy w cudzysłowie: „parafianie”, którzy tworzyli Kościół w Tessalonikach 1990, czy 1980, czy 1975 lat temu. To był rok 50 - 51, więc 1960 lat temu. To tamtym ludziom to zawdzięczamy. Z tej, można by powiedzieć: współpracy autora z adresatami, zrodziło się także dzisiejsze wydarzenie. Otóż Kościół zakłada zawsze tradycję, której ogniwem są ci, którzy rozumieją, że uczestniczą w rzeczach niesłychanie ważnych. Mogą też państwo — zwracaliśmy uwagę także na ten aspekt — wyobrazić sobie jak dzisiaj Grecy, którzy w ogromnej większości, w całości niemal, są prawosławni, jak czytają ten List. Mają go w swojej mowie ojczystej. My musimy go przełożyć na język polski — a pierwsze pismo Nowego Testamentu jest po grecku. Dlatego, ileż to razy o tym mówiliśmy, Grecy są dumni z tego, że ich język stał się językiem drugiej części Biblii. Że nie potrzebują żadnych przekładów Nowego Testamentu na swój język, bo po prostu czytają Pismo Święte w mowie ojców. To też bardzo znaczące, bo to powoduje, że Kościół grecki ma dla innych Kościołów, także dla Kościołów zachodnich, łacińskich, takich jak nasz, przeogromne znaczenie. To jest fundament nowotestamentowej pawłowej eklezjologii. Jej elementy, jej zręby to poczucie, że Paweł ma do powiedzenia tym, których nawrócił, coś ważnego. To, co przeczytaliśmy po grecku — więcej po grecku czytać nie będziemy, bo musimy wrócić do naszej ojczystej mowy, jedno tylko słowo, które na koniec zacytuje państwu. Otóż to, co przeczytaliśmy po grecku, pokazuje nam, że między Pawłem a odbiorcami tego listu jest wielka zażyłość, wielkie ciepło, wielka serdeczność. To właśnie ta serdeczność legła u podstaw napisania tego listu. Paweł pisze ten list jako dorosły mężczyzna, i używa niezwykle ciepłych słów. Po tym pozdrowieniu czytamy słowo, które państwo doskonale rozumieją, chociaż jest po grecku. Paweł napisał tak:

Eucharistonomen

Dziękujemy

Eucharistia — *Dziękczynienie*. Na początek wszystkiego, co będzie miał do powiedzenia, jest dziękczynienie, podziękowanie tym, do których się zwraca. W ten sposób ta więź nabiera nowych treści, nabiera nowego kształtu. Rozpoczyna od podziękowania które sprawia, że więzi pomiędzy nim, a Kościołem w Tessalonice będą głębsze niż kiedykolwiek. Dlatego kilka miesięcy później, kilkanaście miesięcy później, napisze również Drugi List do Tessaloniczan. Ale zanim dojdziemy do tamtego, to na następnej konferencji przyjrzymy się wybranym aspektom Pierwszego Listu św. Pawła do Tessaloniczan. Zwrócimy uwagę na to, jak Paweł tworzy Kościół w samych jego załączkach. I jak kładzie podwaliny pod pisma Nowego Testamentu.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. Zapraszam państwa na drugi poniedziałek listopada, który przypada 13 XI — dawniej uroczystość św. Stanisława Kostki, przeniesiona na wrzesień, a więc już tych skojarzeń nie będzie. Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus.

2 Szkoła duchowości biblijnej (13 listopada 2006)

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! I zaczynamy! „W imię Ojca . . .”. „Ojcie nasz. . .”. „Stolico Mądrości . . .”. Drodzy państwo, witam bardzo serdecznie. Listopad, grudzień, styczeń to te najtrudniejsze miesiące w roku – i te nasze konferencje. Z całą pewnością nie jest rzeczą łatwą wyjść z domu, przyjść, brać w nich udział. Ale jak widać od wielu, wielu lat państwo ciągle znajdują siły. A patrząc na państwa myślę, że to nasze przedsięwzięcie, to, czym się zajmujemy, moglibyśmy określić nazwą *szkoła duchowości biblijnej*. Gdyby były jakaś możliwości, to pewnie można by było ująć to w jakieś kategorie, które rzeczywiście bardziej do szkoły by przystawały. I szkoła duchowości biblijnej — a nie tylko wiedzy biblijnej — to dlatego, że chociaż staramy się poznawać wiedzę z Biblią związaną, to przede wszystkim chodzi o kształtowanie pewnego sposobu myślenia, a także kształtowanie postaw, które na Piśmie Świętym się opierają, które z niego wynikają i które prowadzą do jego lepszego zrozumienia. Ale celem nie jest samo Pismo Święte, tylko celem jest bardziej dojrzałe i głębsze życie chrześcijańskie.

Pamiętając państwo, że w tym roku wybraliśmy jako przedmiot naszej refleksji temat który, gdybyśmy chcieli go potraktować i nazwać naukowo, moglibyśmy go sformułować „Eklezjologia Nowego Testamentu”. W przełożeniu na prosty język, bardziej pospolity, chodzi o rzeczywistość i ideał Kościoła w Nowym Testamencie. Chodzi o to, żebyśmy starali się zrozumieć czym jest Kościół, jaka jest jego geneza, jaka jest jego natura, jakie są jego cele, jaka są jego zadania. I oczywiście przez to samo: jakie jest nasze miejsce i nasza rola w Kościele. Wydaje się – tak mówiłem miesiąc temu i myślę, że to spotkało się z państwa zainteresowaniem – że jednym z czołowych problemów, przed jakimi stajemy po śmierci Jana Pawła II, i z którymi zmagamy się w ciągu ostatniego półtora roku i zapewne w przyszłości, krótszej czy dłuższej, to jest właśnie problem Kościoła, problem przynależności do Kościoła i problem naszego miejsca w Kościele.

Więc dzisiaj posuniemy się jeszcze dalej. Szukamy światła w Piśmie Świętym dlatego, że zdajemy sobie sprawę, że są dwa zasadnicze źródła Objawienia, dwa źródła naszej wiary, na których ta wiara jest oparta i przez które powinna być kształtowana — mianowicie Pismo Święte i Tradycja. Sprawa Tradycji to sprawa przede wszystkim historyków Kościoła, a także tej części teologii, którą zwykliśmy nazywać *teologią systematyczną*, zajmującą się dogmatami, prawdami wiary, teologią moralną. Otóż dotykamy tych zagadnień, tych kwestii, ale skupiamy się bardziej na biblijnym ujmowaniu problematyki, którą chcemy się zajmować. Czyli udajemy się do tego pierwszego źródła Objawienia i pierwszego źródła naszej wiary, czyli do ksiąg świętych, które dla tej wiary są normą w najpełniejszym i najwyraźniejszym tego słowa znaczeniu. Przed miesiącem rozpoczęliśmy zaledwie lekturę Pierwszego Listu św. Pawła do Tessaloniczan, i bardzo mocno kładłem państwu do głowy i do serca coś, co jest proste i dlatego bardzo ważne. Mianowicie, że jest to najstarsze pismo Nowego Testamentu, które powstało jeszcze przed Ewangeliami. I że to pismo najstarsze, napisane około r. 50, rozpoczyna się od słowa *Paulos*, od słowa *Paweł*. Oto jest najpierwsze, podstawowe słowo Nowego Testamentu — właśnie *Paweł*, autor tego Listu. To jest jednocześnie klucz do zrozumienia Nowego Testamentu, którego oczywistą istotą jest Jezus Chrystus.

Dzisiaj w nawiązaniu do tego, o czym mówiliśmy przed miesiącem, i żeby posunąć się krok dalej, zacznę od dwóch problemów, czy od dwóch spraw, które tworzą kontekst naszej refleksji. Jedna z nich była już widoczna przed miesiącem. Drugą, jak myślę, postawimy sobie dzisiaj na początku naszej refleksji, jeszcze zanim przejdziemy do dalszej lektury Pierwszego Listu św. Pawła do Tessaloniczan. Otóż po pierwsze zwróćmy uwagę na to, że kiedy Apostołowie w samych początkach naszej wiary rozpoczynali swoją działalność misyjną, działalność misjonarską, działalność ewangelizacyjną, to mieli przed sobą dwa środowiska. Powtarzamy sobie to do znudzenia, powtarzamy to sobie często, bo to znów jest jedno z drzwi i jedno z okien prowadzących do zrozumienia i początków naszej wiary, i naszej wiary dzisiaj. Te dwa środowiska, do których się udawali, to byli najpierw Żydzi, o których wydawać by się mogło, że przez Stary Testament zostali doskonale przygotowani przez Boga do przyjęcia Ewangelii. Okazało się, że pomimo tego, że to do nich Bóg skierował Słowo Objawienia, pomimo tego, że to oni pozostają, i pozostali wtedy narodem bożego wybrania, to bardzo wielu z nich powiedziało Apostołom, tak jak wcześniej Jezusowi — „Nie!” Wiele razy państwu podkreślałem, że ile razy przychodzi nam do głowy, żeby z tego powodu potępiać Żydów, to miejmy na względzie to, że Żydzi tutaj, ich odmowa, są w jakimś sensie obrazem losu każdego

człowieka, a mówiąc dokładniej — obrazem losu Pana Boga w relacjach z każdym człowiekiem. Otóż Pan Bóg z każdym człowiekiem, i z nami chrześcijanami również, od czasu do czasu ponosi porażki. A ta porażka następuje wtedy, kiedy grzeszymy, kiedy wykraczamy przeciw Jego woli, albo kiedy tę wolę depreczemy. Zatem ta odmowa Żydów ma charakter, moglibyśmy powiedzieć, wzorcowy, paradygmatyczny.

To jest ten jeden świat, do którego szli Apostołowie. Szli więc tam, gdzie było żydowskie życie religijne. Udawali się do synagog, udawali się tam, gdzie znajdowali swoich współrodaków. Znajdowali tych, którzy czcili Pana Boga, którzy czytali pierwszą część Pisma Świętego – wtedy to była jedyna część Pisma Świętego, mianowicie Stary Testament. Udawali się do nich i pokazywali im, i mówili, że na kartach Starego Testamentu jest obecny Chrystus, bo Stary Testament do Chrystusa prowadzi. Otóż ten wymiar prawdy o chrześcijaństwie pozostaje ważny również i dzisiaj. Stary Testament jest także własnością nas chrześcijan. I nawet jeżeli go niezbyt znamy, czy nawet jeżeli go nigdy nie przeczytaliśmy, to on wyznacza fundament naszej wiary. Można by powiedzieć, że los Starego Testamentu to trochę tak, jak los każdego fundamentu. Kiedy wchodzimy do jakiegoś domu, to im ten dom jest wyższy, tym fundament musi być solidniejszy i oczywiście głębszy. Ale wchodząc do domu nie zastanawiamy się w ogóle nad fundamentem. Wchodząc do domu nie przychodzi nam do głowy jakiego rodzaju, jakiego typu jest ten fundament — chyba, że ktoś jest budowniczym. Podobnie z budowlą Kościoła. Otóż nie przychodzi nam do głowy ten fundament, którym jest Stary Testament, w którym są dzieje narodu bożego wybrania w czasach przed Chrystusem, aczkolwiek bez Starego Testamentu nie byłoby ani Jezusa Chrystusa i Jego zbawczej działalności, ani też nie byłoby zbawczej rzeczywistości Kościoła. To jest ten fundament — Stary Testament i całe dzieje zbawienia w Starym Testamencie przedstawione — to jest ten fundament, którego w Kościele nie widać, tak jak nie widać fundamentu w domu, do którego wchodzimy. Nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, że ten fundament mamy. Ale ten fundament istnieje.

Apostołowie więc budowali na tym fundamencie i udawali się tam, gdzie spotykali już swoich współrodaków i współwyznawców, przygotowanych do głoszenia Słowa Bożego i do przyjęcia Słowa Bożego. Wiemy, że od samego początku spotykali się ze sprzeciwem. Skutek tego sprzeciwu był taki, że zwracali się do pogan. I tu mamy to drugie środowisko, niesłuchanie ważne. Otóż poganie byli ludźmi religijnymi, tylko religijnymi w inny sposób. To byli Grecy, mieszkańcy Azji Mniejszej, mieszkańcy Bałkanów, mieszkańcy Krety, Cypru, najrozmaitszych regionów. Oczywiście ich, liczbowo biorąc, było znacznie więcej niż Żydów. I wyznawali rozmaite religie pogańskie. Byli bardzo podatni na Ewangelię, ale trzeba było ich przygotowywać od samego początku. Na czym polegał problem, który miał św. Paweł, św. Piotr, inni Apostołowie, z którego to problemu rzadko zdajemy sobie sprawę? Otóż co się stało wtedy, kiedy Żydzi, do których Apostołowie kierowali swoje pierwsze kroki, nie przyjęli Ewangelii? Tak było w Azji Mniejszej, w wielu miastach Azji Mniejszej, tak było w Filipi, tak było w Tessalonikach, tak było w Berei, tak potem było w innych miastach i miejscach wzmiankowanych na kartach Nowego Testamentu. Co się stało? Gdzie można było głosić tę Ewangelię o Chrystusie? Otóż na pewno nie w sanktuariach pogańskich. Ci pierwsi Apostołowie nie szli do świątyń pogańskich, te świątynie pogańskie omijali dużym łukiem bo zdawali sobie sprawę, że tam ich nauczanie będzie też skazane na niepowodzenie. Tak więc zauważmy rzecz bardzo ważną — że w pierwszych pokoleniach głosicieli Ewangelii praktycznie nie było struktur własnych chrześcijaństwa. Wszystko działo się, odbywało się, rozgrywało się w ludziach i pomiędzy ludźmi. Synagogi były własnością wyznawców judaizmu, i pozostały własnością tych wyznawców judaizmu, którzy w Jezusa nie uwierzyli. Pogańskie miejsca czci nie wchodziły w rachubę. Nie było przecież kościołów, nie było kaplic, nic z tego jeszcze nie zaistniało. I w związku z tym Apostołowie byli skazani na to, że z tymi, którzy uwierzyli w Jezusa, mogli spotykać się w domach, w rodzinach, na ulicy, nad rzeką – tak, jak to miało miejsce w Filipi. A więc w rozmaitych miejscach. I można było polegać wyłącznie na ludziach. I to jest jeden z aspektów, które dla zrozumienia natury, charakteru Kościoła są bardzo ważne. Zawsze w Kościele, także dzisiaj, człowiek jest ważniejszy niż struktury, które ten Kościół również współtworzą. Ta prawda wydaje się oczywista, wydaje się banalna, ale nie zawsze ona jest taka prosta. Bo bardzo często dzieje się tak, że dla utrzymania czy dla podtrzymania pewnych struktur, nawet jeżeli te struktury są skostniałe, bywają poświęceni ludzie. Albo też traktuje się czy ceni struktury wyżej niż człowieka, polegając właśnie na utrwalonych zwyczajach, przyzwyczajeniach, sposobach życia. Natomiast mniej kładąc nacisk na człowieka. Tymczasem to,

co w naszej wierze najważniejsze, rozgrywa się we wnętrzu człowieka. I tym, co stanowi spoiwo Kościoła, to są więzi pomiędzy ludźmi. Także pomiędzy tymi, którzy są zwyczajnymi wiernymi, a pomiędzy tymi, którzy w Kościele przewodzą. Jeżeli brakuje tej solidarności, wrażliwości, jeżeli brakuje tych więzi, które są spoiwem jedności, to wtedy Kościół bardzo szybko się rozplywa, a nawet więcej — bardzo szybko topnieje, bardzo szybko mięknie, a w efekcie nawet ginie. I jeden z kryzysów, przed którymi Kościół zawsze stawał w rozmaitych wiekach, i z którym zdarza się, że mamy także do czynienia dzisiaj, to jest preferowanie struktur przed więziami z poszczególnym człowiekiem, z każdym człowiekiem. Na początku swojego pontyfikatu Jan Paweł II dlatego wyraźnie powiedział: „Drogą Kościoła jest każdy człowiek”. I jest to najważniejsze, chociaż zarazem najprostsze, najbardziej oczywiste zdanie wprowadzające w jego pontyfikat. Otóż te więzi, które przesądzają o trwałości Kościoła, to są więzi, które tworzą się pomiędzy ludźmi. Bo nawet może być tak, że struktur zabraknie, albo jesteśmy w sytuacji jakiejś katastrofalnej czy karkołomnej kiedy tych struktur nie ma, i wtedy to, co najważniejsze, dokonuje się w człowieku. Zwróćmy uwagę, że kiedy Paweł opuszczał Filadelfię, opuszczał Tessaloniki, opuszczał Berek albo Ateny, to nie zostawiał za sobą żadnej struktury. Nie powstała kaplica, nie powstał kościół, nie powstała jakaś widoczna organizacja. Tylko to, co łączyło tych ludzi, to było wzajemne zaufanie, pamięć, chęć pomocy, troski, życzliwość. I ten moment rozpoznajemy także i znajdujemy dzisiaj w Liście św. Pawła do Tessaloniczan.

I pozostaje rzecz druga, na którą chciałbym zwrócić uwagę państwa z nadzieją, że zostaną dobrze zrozumiani, i z nadzieją, że przykład, który podam, przemówi do nas i da nam wszystkim do myślenia. Nie jest to taka rzecz, która jest zupełnie jasna. Myślę też, że tego rodzaju przykład i tego rodzaju ścieżkę myślenia można podać ludziom dojrzałym. Rzecz znów wydaje się stosunkowo łatwa. Mianowicie istnieje dwojaki rodzaj charyzmatu, istnieje dwojaki rodzaj bożego daru, istnieje dwojaki rodzaj bożej łaski. Jeden to jest charyzmat związany z osobą. Drugi to jest charyzmat związany z urzędem. Chciałbym zwrócić uwagę państwa na ten wątek, bo jest to niesłychanie istotne dla zrozumienia Kościoła. Co to znaczy charyzmat związany z osobą? Otóż są osoby wyposażone przez Boga w rozmaite dary, nazwijmy je: talenty. Które to talenty, jeżeli są rozwijane, to budzą ciekawość, zainteresowanie, przyciągają, budzą czasami podziw, uznanie dla tego właśnie człowieka. Takie talenty mogą mieć rozmaite podłoże. Ktoś może pięknie mówić. Ktoś może pięknie śpiewać. Ktoś może pięknie malować. Ktoś inny może porywać tłumy swoją aparycją, swoim wyglądem. Ktoś jeszcze inny ma jakąś zdolność logicznego myślenia czy przewidywania, ktoś inny jest urodzonym przywódcą. Ktoś jeszcze inny ma dary, które inni zauważają, które inni doceniają i które pozwalają na to, że powierza mu się jakąś rolę przywódczą. A w każdym razie się go ceni tak, że kiedy ten człowiek np. odchodzi, umiera, to wtedy rzeczywiście pojawia się jakaś wielka luka w życiu społeczności, czasami w życiu bardzo wielkiej wspólnoty. To jest charyzmat osoby. Można ten charyzmat zapoznać, zagubić, zniszczyć. Można ten charyzmat również tak rozwinać, że będzie świecił, będzie błyszczał jak oszlifowany diament.

Obok tego jest charyzmat urzędu. Są mianowicie takie urzędy, takie funkcje, takie stanowiska, również w Kościele, które z natury swojej przyciągają ludzi, które z natury swojej wywołują podziw, wywołują zaciekawienie tak, jak tamto związane z osobą. Które z natury swojej ściągają tysiące, setki tysięcy ludzi, i miliony ludzi. Powodują, że każdy człowiek tym urzędem jest zainteresowany. I teraz podam państwu przykład, który nas Polaków, nas również dzisiaj, bardzo dotyczy. Zatrzymajmy się nad kardynałem Karolem Wojtyłą. Mówię to dlatego, żebyśmy za chwilę wrócili do Pisma Świętego. Spróbujmy wyobrazić sobie następującą, hipotetyczną sytuację. Spróbujmy napisać wirtualną historię — która się nie zdarzyła, ale możemy tak sobie pomyśleć — końca XX wieku, i wyobraźmy sobie taką sytuację. Oto arcybiskup kardynał Karol Wojtyła nie został papieżem. Pozostał w Krakowie arcybiskupem i kardynałem — już go do tej pory też by nie było — albo wyobraźmy sobie, że został arcybiskupem warszawskim i następcą kardynała Stefana Wyszyńskiego. Do czego zmierzam? Chciałbym, żeby państwo się zastanowili — bo dyskusji robić nie będziemy, bo nie ma fizycznej możliwości, ale proszę się zastanowić — czy gdyby kardynał Karol Wojtyła pozostał arcybiskupem krakowskim, albo nawet arcybiskupem warszawskim, czy przyciągałby tak jak magnes te setki tysięcy i miliony ludzi? Zaczynamy czuć problem i myślę, że możemy ze spokojnym sumieniem powiedzieć, że nie! Otóż przecież kardynał Wojtyła sprawował swoje rządy w Krakowie, był metropolitą krakowskim, i nie było tak, że każda jego homilia, każde

kazanie cieszyło się uznaniem, popularnością, wzięciem tłumów, które za nim chodziły. Można by powiedzieć zdecydowanie, że w tamtym okresie, w tamtych czasach od tej ludzkiej strony, i od strony popularności, osoba, charyzmat i osoby, i urzędu, prymasa tysiąclecia zdecydowanie dominował. Otóż całą wielkość Karola Wojtyły stała się jawna, stała się widoczna wtedy, kiedy został papieżem. Ale dodajmy do tego rzecz, którą trzeba dobrze zrozumieć. Został papieżem nie dlatego, że był najwspanialszym i największym ze wszystkich ówczesnych kardynałów, którzy zgromadzeni byli na konklawe, lecz dlatego, że tak chciał Pan Bóg. Żaden człowiek nigdy nie jest przygotowany do takiej roli, jaką jest rola Namiestnika Jezusa Chrystusa i rola następcy św. Piotra. Otóż dopiero ta rola, dopiero to miejsce sprawia, że człowiek wykazuje, pokazuje, ujawnia talenty, które bez tego nie byłyby po prostu widoczne. Gdyby Karol Wojtyła nie został papieżem, z całą pewnością jego życie, życie naszej Ojczyzny, życie Kościoła potoczyło by się inaczej.

Do czego zmierzam? Otóż to właśnie charyzmat tego wysokiego urzędu sprawia, że podchodzimy do człowieka wyniesionego na ten wysoki urząd przez Boga, bo przecież bez bożego wsparcia nic się nie dzieje, podchodzimy z czcią, z atencją, z uznaniem, z szacunkiem, chcąc go zobaczyć, dotknąć, przywitać. Tak samo zresztą, jak każdego papieża, który i przed i po Janie Pawle II pełnił tę posługę piotrową. Myślę nawiasem mówiąc, że jednym z nieporozumień, jakie bardzo często może się wkładać do naszego myślenia o Kościele, jest to, że nie mamy dość jasnego rozróżnienia między charyzmatem osoby a charyzmatem urzędu. Że nie dość jasno zdajemy sobie sprawę, że są takie urzędy które, mówiąc po łacinie „ipso facto” – przez sam fakt sprawowania tego urzędu sprawiają, że człowiek staje się szlachetniejszy, bardziej widoczny, potrzebny innym, godny podziwu itd. Dałby Bóg, żeby ci, którzy mają te urzędy i stanowiska, do nich w pełni dorastali. Zdarzać się bowiem może i tak, że nie zawsze ktoś wyniesiony na wysoki urząd i cieszący się charyzmatem, darami tego urzędu, potrafi sprostać temu wszystkiemu, co z nim związane, i tym wszystkim nadziejom, które się w nim pokłada.

Wróćmy zatem teraz do Nowego Testamentu. Otóż kiedy św. Paweł poruszał się z miejsca na miejsce — po kolei z Azji Mniejszej do Grecji, potem z Grecji wracał do Syrii i do Palestyny — kiedy go przyjmowano, kiedy traktowano go z szacunkiem, kiedy traktowano go z wielkim uznaniem, kiedy zapamiętywano go, kiedy go wspierano, kiedy pisano do niego listy, gdy on na te listy odpowiadał — to było tak nie z powodu jego osobistych zasług, nie z powodu jego świętości osobistej, ale przede wszystkim z powodu owego charyzmatu urzędu. To znaczy ci, którzy przyjmowali wiarę w Jezusa Chrystusa, mieli świadomość, że mają przed sobą Apostoła, prawdziwego Apostoła, i to takiego Apostoła, który potem w tradycji chrześcijańskiej otrzymał nazwę Trzynasty Apostoł. Otóż zdawali sobie sprawę z tego, że staje przed nimi ktoś, kto doświadczył Jezusa Chrystusa bardzo osobiście, bardzo mocno, bardzo życiodajnie, bardzo żarliwie. I to właśnie powodowało zainteresowanie osobą i misją św. Pawła.

Postawmy rzecz inaczej. Gdyby oni nie wiedzieli, że to jest właśnie ten Paweł, to być może Apostoł przeszedłby przez nich zupełnie niezauważony. Ale fakt, że wiedzieli kim on jest, to jednocześnie jemu pozwalało lepiej wyrazić tę swoją chrześcijańską tożsamość. Wniosek z tego jest taki. Są w Kościele urzędy, tak jak w ogóle w życiu, także świeckim, ale w Kościele widać to bardzo wyraźnie i od 2000 lat, które powinny być chronione ze szczególną pieczołowitością, i które powinny być otaczane czcią. Bo nie tylko ludzie, którzy obejmują te urzędy, nie są przypadkowi, ale i same te urzędy są czymś absolutnie wyjątkowym. Wobec tego, raz jeszcze nawiązując do Jana Pawła II — jeżeli podziwiamy Jana Pawła II to nie tylko, a nawet nie tyle, za zalety jego charakteru, za sposób sprawowania posługi, lecz za sam fakt kim on był. I myślę, że w naszych czasach trzeba to coraz mocniej uzmysłwić, coraz mocniej zrozumieć. Że oto w naszej najnowszej historii Polski i Kościoła wydarzyło się coś absolutnie wyjątkowego. To, czego nie było nigdy przez 1000 lat wcześniej. To, że papieżem, następcą św. Piotra został nasz rodak. To samo w sobie jest cudem. I ten właśnie charyzmat urzędu pozwolił jemu samemu rozwinąć charyzmat swojej osoby, a nam wszystkim uświadomił, że byliśmy, staliśmy się i nadal jesteśmy świadkami swoistego cudu.

Więc są urzędy, które trzeba chronić. Są urzędy, których wagi trzeba być świadomym. I żeby takiego spokojnego i wzniosłego obrazu nie psuć dodajmy tylko, że ci, którzy się Kościołowi przeciwstawiają, albo którzy się z nim wadzą, bądź którzy przeciw niemu występują, na ogół wiedzą o tym, o czym teraz mówimy i lekce sobie ważą nie tylko to, co wiąże się z osobą, ale także to, co wiąże się z niezwykleymi urzędami, w tym w Kościele przede wszystkim. Otóż Kościół potrzebuje

tych urzędów jako spoiwa. Urzędów, funkcji, stanowisk – jakkolwiek je nazwiemy – jako spoiwa swojej tożsamości. Żebyśmy wiedzieli, że w naszej wspólnocie w tych określonych ludziach, którzy te posługi sprawują, dzieje się coś szczególnie ważnego, szczególnie doniosłego. I w związku z tym tym ludziom należy się szczególny szacunek — nie dla zalet ich samych, tylko dla wielkości, dla majestatu, dla znaczenia urzędu, który sprawują.

Myślę, że teraz możemy przejść do dalszej lektury Pierwszego Listu św. Pawła do Tessaloniczan, bo w moim przekonaniu jeden i drugi wątek, na który wskazaliśmy, są tutaj obecne. Apostoł napisał tak. Zwracając się do Tessaloniczan przebywa w Koryncie. On pozostaje u siebie w domu. Otrzymał wieści o nich. Kieruje do nich swoich posłańców i rozpoczyna tak:

Zawsze dziękujemy Bogu za was wszystkich, wspominając o was nieustannie w naszych modlitwach, pomni przed Bogiem i Ojcem naszym na wasze dzieło wiary, na trud miłości i na wytrwałą nadzieję w Panu naszym Jezusie Chrystusie.

Widzimy, że ten list, Pierwszy List Apostoła, jest utrzymany w tonacji bardzo serdecznej. Zdarza się, także w Kościele, że uczucia, emocje, a więc także życzliwość czy serdeczność, bywają ukrywane, chowane, albo się ich wstydzimy. Zdarza się, że język mówienia o Bogu, o Chrystusie, ale także język i sposób zwracania się między nami, są bardzo oficjalne. Może jeden przykład — nie po to, żeby rozbudzać wyobraźnię, ale jednak dać trochę do myślenia — proszę zwrócić uwagę choćby na styl komunikatów episkopatu. Bardzo często one są tak oficjalne że ci, którzy ich słuchają, my wszyscy, nawet ci, którzy je czytają, potrafią się bardzo szybko wyłączyć. A w każdym razie nawet jeżeli uważnie wsłuchujemy się w treść komunikatu, to ten komunikat jest tak lakoniczny i tak suchy, że nie odczuwamy żadnych specjalnych poruszeń, kiedy go wysłuchamy. I pewnie mało byłoby wśród nas osób, które byłyby w stanie po wyjściu z kościoła dokładnie streścić, co usłyszeli. Otóż każdego człowieka poruszają nie tylko argumenty, nie tylko wiedza. Ale każdego człowieka porusza coś, co ma ten wymiar wewnętrzny, co jest głęboko duchowe, co przemawia do wyobraźni, co przemawia do uczuć, jednym słowem co przemawia do serca.

Popatrzmy, że Paweł pisze list nacechowany głęboką miłością, życzliwością i serdecznością do ludzi, których kilka miesięcy temu spotkał.. Otóż ta życzliwość staje się punktem wyjścia dla budowania pamięci i więzi solidarności między nimi. Sądzę zatem, że jedno z wyzwania, przed którymi staje Kościół, jeżeli rzeczywiście nasza misja ma być skuteczna, jest większe ubiblijnienie języka, w którym mówimy i myślimy o Bogu, ale także języka, jakim zwracamy się nawzajem do siebie. Zatem odejście od tego, co oficjalne co suche, co urzędowe, na rzecz czegoś, co buduje takie bezpośrednie międzyludzkie relacje, a wśród nich tę najważniejszą, mianowicie więź zaufania. Otóż nie jest to postulat, którego nie jesteśmy świadomi. Dlatego, że sami czujemy, że w Kościele bardziej, niż gdzie indziej, potrzebny jest język miłości. Całe Pismo Święte jest napisane językiem miłości Boga do człowieka, ale także człowieka, który na rozmaite sposoby Panu Bogu odpowiada. I w tym piśmie, które czytamy dzisiaj, w Liście św. Pawła, też widzimy ten ogromny ładunek serdeczności, rozpoczynający się od podziękowania.

... pomni przed Bogiem i Ojcem naszym na wasze dzieło wiary

Wiary, miłości i nadziei. Trzy główne cnoty. Nazywamy je trzy cnoty boskie, trzy cnoty kardynalne. Za to właśnie, za wierność tym cnotom, Apostoł chwali adresatów swojego listu, mieszkańców Tessaloniki. Ale chwali ich w taki sposób, że ich po prostu wzrusza. My w Kościele bardzo często boimy się wzruszeń. Tymczasem myślę, że mamy także we współczesnym Kościele liczne przykłady takiego języka i sposobu mówienia, kiedy to przemawiający, mówiący o Chrystusie, osiąga znacznie więcej przez prostotę mówienia, szczerość i życzliwość, niż miałyby używać mądrego języka, mądrych racji i argumentów. Zauważmy dla przykładu, że gdy wspominamy choćby obecność Jana Pawła II i jego homilie wygłoszone u nas, to myślę, że mimo wielkich wątków teologicznych które poruszał, to bardziej w sercach pozostały kremówki papieskie choćby, czy wspomnianie topografii Wadowic, i okolic Wadowic, i gór. One przemówiły bardziej, bo Ojciec Święty tam ukazał się jako człowiek, który do swoich rodaków przemawia językiem serca. Bardzo często zresztą tak przemawiał i to powodowało, że ludzie chętnie za nim szli. Gdybyśmy mieli szukać takich przykładów jeszcze trwających, to zwróćmy uwagę — przynajmniej dla mnie osobiście — takim człowiekiem, który mówi

cały czas językiem serca jest biskup Józef Zawitkowski. Jego homilie, jego kazania przemawiają właśnie do ludzkiego serca. Ludziom wysokiego intelektu – tak zwanym – wydają się one proste, czasami nawet śmieszne, ale właśnie te proste słowa równie skutecznie przekazują prawdę o Bogu. Gdybyśmy mieli szukać dalszych przykładów, to oczywiście ciśnie nam się zwłaszcza na usta, i do serca jednak, poezja księdza Jana Twardowskiego, którego kilka miesięcy temu pogrzebaliśmy. Otóż można odnieść wrażenie, że więcej dobrego czy bardziej skuteczny pozostaje jego tomik poezji z wierszami, w których określa Pana Boga sercem, niż całe tomy teologicznej produkcji, przez które mało kto jest w stanie przebrnąć. Choćby takie proste słowa, jak:

Śpieszmy się kochać ludzi, bo szybko odchodzą

zrobiły niebywała karierę, bo udało się sercem wyrazić sprawę najprostsze. Otóż to jest zawsze wyzwanie, przed którym staje każde pokolenie w Kościele. I myślę, że także na naszym poziomie, na poziomie zwyczajnych ludzi, wszędzie tam, gdzie jesteśmy, w środowiskach, w których się poruszamy, wobec naszych bliskich, sąsiadów, wobec ludzi, z którymi dzielimy się skarbami naszej wiary, bardzo często bardziej skuteczna jest wrażliwość, przywiązanie,

życzliwość niż argumenty które, nawiasem mówiąc, nie zawsze mamy w kieszeni i w głowie, żeby je wydobyć. Bo przecież wiara pozostaje wiarą i nie zawsze daje się zracjonalizować. Dalej Apostoł napisał tak:

Wiemy, bracia przez Boga umiłowani, o wybraniu waszym, lecz nasze głoszenie Ewangelii wśród was nie dokonało się przez samo tylko słowo, ale przez moc i przez Ducha Świętego, z wielką siłą przekonania.

Trzy rzeczy zwracają tutaj uwagę. Apostoł mówi: „Wiemy, bracia przez Boga umiłowani, o wybraniu waszym”. Wielu było ludzi mieszkających na terenie Azji Mniejszej. Wiele było miast na terenie Grecji. Ale Paweł był w Ikonii, Derbe, Listrze. Był w Filipi, w salonikach, w Berei, w Atenach, w Koryncie. Po drodze mijał rozmaite miasta i wsie, np. Antipolis – Apolonia. Mijał rozmaite krainy, ale tam nie głosił. Zawsze pojawia się w nas pytanie dlaczego to my jesteśmy chrześcijanami. Dlaczego to my zostaliśmy wprowadzeni tak mocno w tajemnicę Boga, który jest Ojcem i Synem i Duchem Świętym. Chrześcijan w świecie, razem wziętych, jest ok półtora miliarda, zatem jedna czwarta całej ludzkości. Gdybyśmy ustawili ludzkość w taki hipotetyczny rząd, to tylko co czwarty słyszał o Chrystusie i przyjął Go. Paweł nazywa to „wybraniem przez Boga”. Nie potrafimy powiedzieć dlaczego Ewangelia nie osiągnęła takiej skuteczności, że dzisiaj o Chrystusie słyszeli wszyscy. Staramy się Go głosić wszędzie, ale są ludy i narody, które Go nie znają nawet ze słyszenia. Otóż być chrześcijaninem, być wyznawcą Jezusa Chrystusa, tzn. być przez Boga wybranym. Jeżeli kogoś to dziwi, niechże wróci do początku naszej dzisiejszej refleksji. Powiedzieliśmy o biblijnym Izraelu, o Żydach starotestamentowych, że pozostawali narodem bożego wybrania. Wśród wielu różnych ludów i narodów, poczynając od Sumerów, Akedeczyków, Asyryjczyków, Syryjczyków, Babilończyków, Hetytów, Hasytów, Aramejczyków, Edomitów, Amorytów, Filistynów, Egipcjan, Libijczyków, i Bóg wie kogo jeszcze — wśród tych wszystkich ludzi oni zostali wybrani. Powiedzmy sobie jasno, że tajemnica miłości jest zawsze w jakimś sensie niesprawiedliwością. Bo to jest tak, jak w miłości między ludźmi. Dlaczego ten człowiek łączy się z tym człowiekiem? Dlaczego ta dziewczyna czy kobieta kocha tego chłopca czy mężczyznę? Dlaczego ci dwoje są ze sobą złączeni, może lepiej pasowałoby inaczej? Może nie jest to sprawiedliwe, ale właśnie miłość wykracza poza sprawiedliwość, wychodzi poza nią, nie mieści się w jej ramach. Można by powiedzieć, że w jakimś głębszym tego słowa znaczeniu Bóg nie jest sprawiedliwy. Ale usprawiedliwia Go to, że jest Miłością. Nie jest sprawiedliwy, skoro objawił siebie biblijnemu Izraelowi. Nie jest sprawiedliwy, skoro chrześcijanami jest jedna czwarta całej ludzkości. A więc najwidoczniej jest i tak, że tam, gdzie sprawiedliwość jest przewyższana przez miłość, ci, których Bóg wybrał, mają się stawać narzędziami jego miłości, Mówiąc inaczej: w świecie, który Bóg stworzył i który przeznaczył dla siebie, potrzebuje jak gdyby ręki czy rąk, które będą działać w Jego imieniu. Nie chce wszystkiego robić sam, aby nie położyć kresu ludzkiej wolności, aby ludzi nie zgasić, nie przytłumić, nie zająć ich miejsca. Zostawia ten potężny margines dla działalności człowieczej, dla działalności tych, których wybrał. Ale dzięki temu działalność tych, których wybrał, staje się, zyskuje wymiar świadectwa. I

w związku z tym również otrzymują oni szczególną odpowiedzialność. To samo dotyczy nas. Kiedy Apostoł Paweł ponad 1950 lat temu napisał do Tessaloniczan słowa „wiecie bracia, przez Boga umiłowani, o wybraniu waszym”, to jednym z podstawowych elementów prawdy ewangelicznej dzisiaj powinno być żywa świadomość, że ci, którzy są wyznawcami Jezusa Chrystusa, są na przedłużeniu tego wybrania, o którym pisze św. Paweł w Liście do Tessaloniczan.

Wtedy, w jego czasach, tych, którzy uwierzyli w Jezusa, było niespełna kilka, może kilkanaście tysięcy. Dzisiaj jest nas grubo ponad miliard. Ale pewnie zawsze będzie tak, że będą w świecie ludzie, którzy o Chrystusie nie słyszeli i Go nie znają. I zawsze będzie w tym świecie coś do zrobienia właśnie dla tych, którzy stali się świadkami Boga. Św. Augustyn wołał później, i przypominaliśmy sobie kiedyś te słowa: „Poznaj swoją godność, chrześcijanie!” Otóż być chrześcijaninem to jest powód do dumy. Ale pamiętajmy, że źródłem i celem tej dumy nie są nasze zalety, nie są nasze sprawności duchowe, nie jest jakość naszego życia. Źródłem tej dumy jest wybranie boże. Bardzo często zdarza się tak, że jakość naszego chrześcijańskiego życia daleko odbiega od norm i od zasad, które wyznajemy. Mahatma Ghandi zapytany kiedyś, a ukończył szkoły w Europie i znał chrześcijaństwo dobrze, że skoro tak bardzo myśli i mówi po chrześcijańsku, dlaczego nie jest chrześcijaninem, odpowiedział, i jego słowa zapewne państwo znają, że bardzo podoba mu się chrześcijaństwo, ale chrześcijanie — mniej. Otóż zawsze istnieje rozdźwięk między wniesionymi zasadami, które wyznajemy, a życiem, postępowaniem, jakie prowadzimy. Naszym obowiązkiem jest niwelowanie tego rozdźwięku. Ale jednym ze sposobów na niwelowanie tego rozdźwięku jest żywa świadomość tego, kim jesteśmy. Będąc w Kościele, będąc wszczepieni w Kościół, będąc wyznawcami Jezusa Chrystusa, stoimy na przedłużeniu tego samego wybrania, o którego wielkości i godności św. Paweł tak wzniosłe pisze. Państwo zauważą, że są to pierwsze słowa jego pierwszego listu, kiedy uświadamia adresatom, odbiorcom tego listu: pamiętajcie, kim jesteście! I dodaje do tego tak. To jest teraz ten drugi motyw, że:

nasze głoszenie Ewangelii wśród was nie dokonało się przez samo tylko słowo, lecz przez moc i przez Ducha Świętego

W Kościele bardzo często są mnożone słowa. I nasze konferencje, i ten cykl konferencji, są doskonałym tego potwierdzeniem. Ale skuteczność Kościoła i skuteczność wiary nie pochodzi z mnożenia słów. Gadulstwo nie jest przymiotem wiary. Otóż jeżeli wiara istnieje i krzewi się, to istnieje i krzewi się dzięki mocy i światłu Ducha Świętego. To jest fundament wiary. Można by powiedzieć tak, że człowiek sieje albo sadi, tak jak wiosną siejemy bądź zasadzamy kwiatki bądź roślinki. Ale do ich wzrostu potrzebna jest woda. Ta roślina zasadzona przez człowieka wyglądać może bardzo pięknie przez kilka minut, czy kilka godzin najwyżej. Ale potrzebna jest woda. Tą wodą w wierze, w religijności jest sam Pan Bóg, a dokładniej jego Duch, Duch Święty. Otóż jeżeli w Kościele polegano by na słowach, na argumentach, na refleksji, na mnożeniu tych słów, może to do niczego specjalnie nie prowadzić. Kościół jest społecznością która, tak jak społeczność biblijnego Izraela i społeczność Kościoła apostołskiego, tak samo Kościół dzisiejszy, zakorzeniona jest w Bogu i Jego życiu. Zatem siłą Kościoła są nie ci, którzy mówią, lecz ci, którzy się modlą. Siłą Kościoła nie jest wiedza, lecz duchowość. Dlatego powiedziałem, że byłoby dobrze żeby również nasze konferencje nosiły nazwę *Szkola duchowości biblijnej* bo tam, gdzie jest duchowość, tam jest Duch, który ją ożywia, który jest jej wodą. I to jest na tym małym poziomie, powiedzielibyśmy: naszym wspólnotowym, parafialnym, stosunkowo niewielkim. Ale także i tu — kiedy jesteśmy, skoro się gromadzimy, także dzisiaj — to myślę, że każdy z nas czuje ten powiew Ducha.

Otóż nie inaczej widział te sprawy Jan Paweł II. Przypomnijmy sobie jego pierwszą pielgrzymkę, i przypomnijmy sobie jego słowa, jakże często przywoływane, ale trochę rzadziej zgłębiane. Papież przybył do Polski w czerwcu 1979 r. Wszyscy wtedy byli pełni entuzjazmu: „Mamy papieża!” Wszyscy byli gotowi podziwiać charyzmat jego osoby, mniej jeszcze – urzędu, bo nie zastanawialiśmy się, jak wielka to jest godność. Wszyscy byliśmy gotowi wsłuchiwać się w jego słowa i słyszeć to, co każdy chciał słyszeć. Natomiast papież, przybywszy do Warszawy, wypowiedział słowa, które idą po linii pawłowego Listu:

Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi.

Dodał: „Tej ziemi!” A więc siła papieskiej obecności nie polegała na samej obecności, ani na papieskich przemówieniach. Papież, w duchu św. Pawła — sam zresztą w swoim imieniu miał „Jan Paweł” — w duchu św. Pawła idzie po linii św. Pawła. I przybywając do swoich rodaków i mówiąc do nas językiem serca, a mówił wtedy do wszystkich pokoleń, także do tych, którzy urodzili się znacznie później i którzy kiedykolwiek się urodzą, otóż papież wtedy przywołuje Ducha Świętego. Tutaj dodajmy niejako na marginesie, chociaż to margines nie jest, że dla nas Polaków nauczanie papieskie, nauczanie Jana Pawła II, nie dlatego, że mówił je Karol Wojtyła, ale dlatego, że wypowiadał je Namiestnik Chrystusa, powinno stanowić stały pokarm i stałe źródło naszej wiary. Właśnie ten charyzmat osoby, podobnie jak tu charyzmat osoby św. Pawła, powinien przesądzać o tym, że głębiej przeżywamy, postrzegamy i przyswajamy rzeczywistość jego obecności, a także moc Ducha, o którego prosił. I trzeci aspekt:

...dokonało się przez Ducha Świętego, z wielką siłą przekonania. Wiecie bowiem, jacy byliśmy dla was, przebywając wśród was.

Otóż obok mocy Ducha najważniejszym świadectwem, i znakiem, i argumentem na rzecz skuteczności, jest świadectwo dawane przez tego, który głosi, który sprawuje ten charyzmat urzędu. Paweł powiada: „Wiecie, jacy byliśmy dla was, przebywając wśród was”. Żeby tak napisać trzeba było liczyć na to, że zostaną przywołane tylko dobre wspomnienia, dobre skojarzenia, że pozostała dobra pamięć. Otóż znów siłą Kościoła jest dobra pamięć o tych, którzy na tę pamięć zasłużyli, którzy tę pamięć współtworzą, którzy tę pamięć rozwijają, którzy tę pamięć kształtują. Człowiek pozbawiony pamięci przestaje być sobą. Naród pozbawiony pamięci przestaje być sobą. Kościół bez pamięci nie jest Kościołem. Siłą Kościoła jest pamięć. Dlatego codziennie wspominamy świętych i męczenników, wyznawców — ludzi, którzy żyli w odległych stuleciach. Ich przykład nas porusza, ich przykład nas zachęca do naśladowania, zastanawia nas. Czasami niektórzy z nas mają przywilej, kiedy to wstępują na ślady świętych, którzy żyli bardzo dawno. Są wśród państwa osoby, które były np. w Tunezji. I doskonale wiemy, jakim wielkim przeżyciem jest obecność w Kartaginie, na ruinach amfiteatru rzymskiego w Kartaginie. Gdybyśmy nie wiedzieli, co tam się stało, to zatrzymałyby te ruiny nasz wzrok może przez 15 sekund — tyle, ile jest potrzebne aby zrobić zdjęcie rzymskiego amfiteatru z I i II wieku po Chrystusie. Ale kiedy poznajemy życie biskupa Cypriana, kiedy dowiadujemy się w jakich warunkach, w jakich męczarniach zginął rzucony na pożarcie dzikim zwierzętom, wtedy zaczynamy czuć przedziwną solidarność z tymi, którzy bardzo dawno dawali przykład ufności i jednocześnie heroicznego w wyznawaniu wiary.

„Wiecie sami, jacy byliśmy dla was, przebywając wśród was.” Każde czasy mają swoich świętych, którzy dostarczają przykładów chrześcijańskiego życia, i w ten sposób pomagają tysiącom i milionom innych ludzi wyznawać Chrystusa jeszcze głębiej i jeszcze pełniej. Czasami śladów świętych nie musimy szukać bardzo daleko. Mamy je bardzo blisko, tylko nie jesteśmy tego świadomi. Czy to będzie o. Maksymilian Maria Kolbe i jego oświęcimski bunkier głodowy, który przecież istnieje, zachował się po dzień dzisiejszy, gdzie konał z głodu w okropnych mękach. Czy możemy pójść na ślady takich wyznawców, jak np. kardynał Stefan Wyszyński, mamy jego grób w archikatedrze warszawskiej. I z całą pewnością warto od czasu do czasu tam pójść, żeby doświadczyć tego niezwykłego charyzmatu świadectwa człowieka, którego nie ma, i który jest z nami, i jest dla nas. Otóż ile razy coś takiego następuje, tyle razy doświadczamy, że Kościół to nie jest li tylko rzeczywistość przestrzeni. Tzn. tu u nas jest Kościół, w zachodniej Europie jest Kościół, w południowej jest Kościół, w Stanach Zjednoczonych, a Ameryce Południowej, w Afryce, w Australii — wszędzie możemy pójść i odszukać ten Kościół. To jest jeden wymiar. Ale drugi wymiar – i ten drugi wymiar jest bardzo ważny – to fakt, że Kościół to jest również rzeczywistość w czasie. To nam pozwala przewyciężyć wymiar czasu. Bo wtedy Tertulian staje się tak samo bliski, jak Augustyn, Augustyn jak papież Leon Wielki, papież Leon Wielki jak św. Wojciech, a św. Wojciech tak jak św. Jadwiga, św. Jadwiga tak jak święci późniejszych czasów, aż do naszych czasów. Wreszcie tak, jak kardynał Wyszyński, jak Jan Paweł II, a może — kiedy się zastanowimy — jak kobieta czy mężczyzna z sąsiedztwa którą znaleźliśmy, i która zmarła, i dała przykład żywej, heroicznego wiary i męstwa. I wtedy ci wszyscy święci, a w listopadzie warto o tym pamiętać, układają się w ten wymiar przewyciężenia czasu który sprawia, że doczesność staje się dla nas wprowadzeniem do wieczności. Otóż dlatego przestajemy się lękać przyszłości, także tej eschatologicznej, także tej, do której dochodzimy przez

śmierć, bo dzięki tej duchowości zakorzenionej w Piśmie Świętym, dzięki której mamy tylu znanych świętych — sprzed wieków i z obecnych czasów, dzięki tej rzeczywistości mamy już przyjaciół po drugiej stronie życia — że zdajemy sobie sprawę, że nie ma się czego lękać, skoro tam jest takie mnóstwo, takie bogactwo, taka różnorodność tych, którzy szli do Boga i osiągnęli już swój cel. Są wśród nich różni ludzie, różne ścieżki, różne drogi. Czasami niewinności, czasami prowadzące przez ciężkie grzechy i odstępstwa — ale wszystkie w jednym kierunku. Otóż dzięki temu, dzięki takiej postawie również nasze życie nabiera nowego znaczenia. Bo to, co robimy, to, czym żyjemy na co dzień, staje się dla nas jakimś zadatkiem, jakimś wstępem do wieczności. Do wieczności, która kiedyś dla każdej i dla każdego z nas się rozpocznie. Wtedy doczesność jest właśnie jakby przedsionkiem, który prowadzi do tego domu, który jest naszym właściwym mieszkaniem.

Mówię tak nie tylko dlatego, że jest listopad, który skłania nas do tego rodzaju refleksji. Mówię tak dlatego, że te właśnie myśli można wyprowadzić ze słów świętego Pawła: „Wiecie bowiem, jacy byliśmy dla was, przebywając wśród was”. To bardzo ważne, jak żyjemy. Bo jakość naszego życia to jest zarazem siłą naszego świadectwa. A przewyciężanie tego wymiaru czasu powoduje, że wszyscy czujemy się bliżej Pana Boga.

Wtedy — i to już słowa na koniec dzisiejszej naszej konferencji — Kościół jawi się nam nie jako instytucja, nie jako organizacja, nie jako jakaś społeczność, w której struktury są najważniejsze, jakieś zwyczaje czy praktyki, jakiegokolwiek one będą. Kościół jawi się nam jako rzeczywistość zbawcza, jako wspólnota, która sięga największych, najgłębszych tajników naszego serca i sumienia. Jako rzeczywistość, która wyzwala to, co w nas najgłębsze, najbogatsze, i co pozwala nam odczuwać i budować naszą solidarność między sobą i z Panem Bogiem. A wszystko to odbywa się przez Chrystusa, który ukazał nam kim jest Bóg: Ojcem, i Synem, i Duchem Świętym, a spoiwem życia bożego jest Miłość.

I wracamy do tego wątku miłości, bo to ona nadaje sens chrześcijańskiemu życiu i chrześcijańskiej tożsamości. To, co mówię, jest wzniosłe. I z całą pewnością wymaga jakiegoś wejścia na pewne duchowe szczyty. Ale na tym duchowość biblijna polega, żeby zawsze ogarniać takie horyzonty, których inni nie widzą albo nawet nie przeczuwają. I to właśnie wtedy, tak jak będąc w górach wstępujemy na wierzchołek z którego ogarniamy znacznie więcej niż wtedy, kiedy jesteśmy niżej, tak i dzięki tej duchowości biblijnej ogarniamy znacznie więcej. A to pozwala nam odczuć prawdziwość słów św. Pawła, że „być chrześcijaninem” to znaczy „być wybranym”.

Dzisiaj dziękuję państwu bardzo za uwagę, za skupienie, za wspólną refleksję. I zapraszam od dziś za trzy tygodnie — w pierwszy poniedziałek grudnia. Nie drugi, nie trzeci, bo wtedy będą rekolekcje adwentowe, tylko pierwszy poniedziałek grudnia, to jest dzień św. Barbary. Dziękuję pięknie. ..Chwała Ojcu, ...” Pochwalony Jezus Chrystus. Dobranoc państwu, i dobrej, spokojnej drogi.

3 Eschatologiczny wymiar Kościoła (4 grudnia 2006)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Dobry wieczór państwu. Dzisiaj mamy dzień św. Barbary. Zaczynamy od składania życzeń paniom, które noszą to przepiękne imię. Mamy zarazem dzień górników. Wiemy, że w tym roku taki w wyjątkowo modlitewnej oprawie. I naszą modlitwę na sam początek naszego dzisiejszego spotkania i naszych dzisiejszych rozważań ofiarujemy Panu Bogu w intencji tych, którzy zginęli ostatnio w kopalni, których pogrzeby właśnie na Śląsku się odbywają. I w intencji wszystkich, którzy na drugą stronę życia przeszli. A bo i temat naszej dzisiejszej refleksji będzie miał związek z tą właśnie nadzieją na życie wieczne. Zatem: „W Imię Ojca, i Syna ...” „Ojciec Nasz ...” „Stolico Mądrości ...”

Bardzo serdecznie państwa witam. Cieszę się, że państwo pamiętali o dzisiejszym terminie, który uległ zmianie z drugiego poniedziałku grudnia na pierwszy poniedziałek grudnia. Dlatego, że za tydzień będę prowadził rekolekcje w tym czasie, i stąd ta zmiana. Potem w styczniu wrócimy już do tego cyklu normalnego, czyli do drugiego poniedziałku stycznia, który przypada 8 I w roku, który rozpoczniemy za cztery tygodnie — jeżeli dożyjemy. Bardzo się cieszę, że państwo biorą nadal tak tłumnie udział w tej refleksji biblijnej, w konferencjach biblijnych. Temat tegoroczny nie jest łatwy. Ale skoro dzieje się tak, że przychodzimy aby wspólnie zastanawiać się nad

Słowem Boga, aby je zgłębiać, aby je sobie przyswajając, to znaczy że rzeczywiście ta duchowość biblijna wydaje swoje owoce, przynosi je. I te owoce widać właśnie w życiu naszym. Nie tylko w tej obecności, ale zapewne również także w rozmaitych dziedzinach naszego życia. Możemy więc, tak jak powiedziałem trzy tygodnie temu, nazwać ten nasz eksperyment także *szkołą duchowości biblijnej*. Pamiętamy, że w tym roku chcemy zastanowić się nad czymś, co uznajemy za niezwykle ważne, i co nosi mądrą nazwę, uczoną nazwę *eklezjologia* czyli ta dziedzina teologii, ta dziedzina myślenia o Panu Bogu, która dotyczy Kościoła. Zastanawiamy się czym jest Kościół, jakie jest jego zadanie i powołanie, jaka jest jego misja i posłannictwo. Czym powinna być nasza obecność w Kościele, jak powinniśmy tę obecność w Kościele przeżywać. Jednym słowem zastanawiamy się nad rzeczywistością, w którą jesteśmy wszczępieni od niemowlęcia, od dziecka, od chrztu świętego. Którą znamy poprzez sakramenty święte, a do której teraz chcemy podejść od strony biblijnej. Gdybyśmy więc szukali mądrej nazwy dla tych wykładów, to ta nazwa brzmiałaby – raz jeszcze przypominam – *eklezjologia biblijna* albo *eklezjologia Nowego Testamentu*. Powiedzieliśmy bowiem raz i drugi, a dzisiaj trzeci raz powtarzamy, że gdy zastanawiamy się nad Kościołem i naszą do niego przynależnością, to nie jest nieważne, skąd czerpiemy rozeznanie na ten temat. Podstawowym źródłem naszej wiary i naszego rozeznania jest Pismo Święte. Dlatego właśnie tam szukamy tego światła, które pomogłoby nam zrozumieć, poznać, a także przeżywać to, czym, kim jest Kościół.

Dzisiaj zatrzymam się z państwem nad problematyką, która jest trudna. Ba, arcytrudna! Zastanawiałem się jak do tego przygotować się tak, żeby można było tę trudną problematykę podać w sposób, który skłoni nas do śledzenia biegu myśli, a potem także do refleksji, i który byłby owocny. Gdybyśmy chcieli uszczegółowić dzisiejszy temat, to moglibyśmy go nazwać: *Eschatologiczny wymiar Kościoła*. Ale zdaję sobie sprawę, że gdyby zaprosić na taki właśnie wykład, to z całą pewnością liczba, zwłaszcza niewprowadzonych, słuchaczy i odbiorców, byłaby znacznie mniejsza. Dlatego, że ów temat „Eschatologiczny wymiar Kościoła” brzmi bardzo poważnie. Na tyle poważnie, że zamiast zachęcić może nas zniechęcić do refleksji nad tym właśnie wymiarem. Tymczasem zabieramy się za ten wymiar z dwóch powodów. Powód pierwszy to fakt, że przeżywamy okres Adwentu. I przypomnijmy sobie to, o czym przypominają nam kapłani, ale także o czym nam się w Adwencie przypomina w ogóle, że Adwent posiada dwa wymiary, dwie perspektywy. Z jednej strony stanowi on przygotowanie do świąt Bożego Narodzenia. Wspomina długie oczekiwanie, które pokrywa się z czasami Starego Testamentu, i w okresie Adwentu wspominamy te nadzieje biblijnego Izraela. A z drugiej strony wiemy, że one się wypełniły, i czekamy na Boże Narodzenie. Ten wymiar jest bardziej widoczny, bardziej odczuwalny. Można by powiedzieć, że w sukurs, a nawet ze swoją konkurencją dla tego, co dzieje się w kościołach, przychodzą sklepy, hipermarkety, supermarkety, cały handel, cała kultura, obyczajowość, obrzędowość. Wszystko to jest nastawione na święta Bożego Narodzenia tak, że czy tego chcemy czy nie chcemy, w tej atmosferze żyjemy. I czasami ta atmosfera bywa bardzo spłaszczona. Do tego stopnia, że kiedy wreszcie Święta przychodzą, to trzeba odpocząć. A ci, którzy się najbardziej spracowali, mówiąc bez żartów, cieszą się, że Święta mają

za sobą. To jest wymiar jeden.

Natomiast istnieje również drugi wymiar Adwentu. Ten jest mniej znany, o tym rzadziej się mówi w Kościele. A także nie mówi się w ogóle w handlu, w wymianie czy tej obrzędowości świeckiej. Ten drugi wymiar Adwentu to przygotowywanie nas i przypominanie nam drugiego przyjścia Pana, powtórnego przyjścia Pana, którego czasu nie znamy, które nastąpi pod koniec czasów. Ale tak, jak Jezus przyszedł w ciele, tak jak Jezus narodził się dla ludzi i pomiędzy ludźmi, tak Jezus pojawi się przy końcu czasów, aby dopełnić biegu świata i biegu historii. Aby doczesność przeszła w wieczność. Otóż właśnie nad tym wymiarem chciałbym dzisiaj się zatrzymać, nad tym drugim wymiarem czasu adwentowego. Ale nie o Adwencie będziemy mówić, tylko zwrócimy uwagę na to właśnie eschatologiczne, a więc ostateczne ukierunkowanie Kościoła.

Teraz powód drugi. Do tej pory, kiedy państwo słuchali tej refleksji na temat Kościoła w październiku i listopadzie, to można byłoby odnieść wrażenie, że Kościół jest miejscem, w którym wierni zbierają się, modlą się razem do Boga, dziękują Bogu, przeżywają obecność Jezusa Chrystusa, budują braterską miłość. Kościół jest miejscem spotkania, przeżywania wspólnoty, przeżywania solidarności z Panem Bogiem, solidarności między sobą. Kościół jest miejscem życzliwości, gościnności. Kościół jest miejscem w którym ludzie, wyraźniej niż gdziekolwiek, powinni stawać się braćmi i siostrami. I na przykładzie Pierwszego Listu św. Pawła do Tessaloniczan widzieliśmy ile serca, ile życzliwości, ile dobroci wkładał Apostoł Paweł w to właśnie budowanie wspólnoty. Jeżeli byłyby w Kościele podziały, gdyby Kościół dążył do jednorodności — powiedzieliśmy o tym zwłaszcza trzy tygodnie temu, w listopadzie — gdyby ktoś w Kościele miał być zostawiony na boku, albo cierpiał z tego powodu, że jedni forsują swoje poglądy, zapatrywania i opinie kosztem innych, to nie byłby to właściwy obraz Kościoła. Ale nie byłby właściwy obraz Kościoła także i wtedy, gdybyśmy poprzestali na tym mówieniu, że Kościół jest wspólnotą miłości, także tej miłości czynnej, miłości między nami, że Kościół jest oazą dobroczynności, pomagania sobie nawzajem, wspomagania jedni drugich, duchowego braterstwa, fizycznej także pomocy itd. W Kościele, jak dobrze państwo wiedzą, jest wiele dzieł charytatywnych. W ostatnich latach nawet jest ich więcej, niż kiedykolwiek przedtem. Właściwie nie ma chyba niedzieli, nie ma święta, żebyśmy nie byli proszeni i nie byli zachęceni do tego, by swoimi darami, swoimi ofiarami wspierać tych, którzy mają mniej, tych, którzy potrzebują. I to nie tylko w obrębie społeczności parafialnej czy narodowej, ale wspieramy również dzieła, które są bardzo daleko od naszej ojczyzny i mają bardzo różny charakter. Można by zatem odnieść wrażenie, że Kościół jest przede wszystkim instytucją charytatywną, instytucją dobroczynną. I w gruncie rzeczy nie brakuje głosów, które do takiego poziomu całą naturę i działalność Kościoła chcą sprowadzić. Gotowi są uznać, że Kościół jest o tyle potrzebny, i nasza obecność w Kościele jest o tyle potrzebna, o ile przynosi ulgę, pomoc, wsparcie bliźniemu, drugiemu człowiekowi. To wsparcie może być fizyczne, materialne — wtedy, kiedy dzielimy się środkami pieniężnymi, jedzeniem, robimy jakieś zbiórki — koce, śpiwory itd. natomiast może to być również wsparcie duchowe, kiedy to przychodzi w pomocą chorym, cierpiącym, potrzebującym, złamanym duchowo, załamany itd.

I tutaj dochodzimy do punktu, nad którym chcemy się dzisiaj zastanowić i powiedzieć bardzo wyraźnie, że ten wymiar budowania braterstwa w Kościele, wymiar miłości czynnej, wymiar wspomagania się nawzajem, jest bardzo ważny, ale on nie wyczerpuje, ani do niego się nie może ograniczać, natura Kościoła. Otóż Kościół, i elementem eklezjologii czyli naszego teologicznego spojrzenia na Kościół jest to, że Kościół nie wyczerpuje swoich możliwości ani swoich zadań w ramach tego świata. Kościół nie jest jeszcze jedną sprawną organizacją bądź instytucją, która ludzi jednoczy, skupia i która służy temu, by jedni pomagali drugim. To jest ważne, ale to jest paradoks — nie najważniejsze. Dlatego, że jest wiele innych instytucji — tak przynajmniej powinno być w naszym życiu, i wiele innych poruszeń serca, i dobrych ludzi, którzy zajmują się akcjami charytatywnymi, wspieraniem, opieką. Taka jest powinność państwa, które m.in. po to zbiera podatki, żeby przeznaczać część pieniędzy na sprawy socjalne. Tym zajmuje się wiele organizacji tworzonych przez ludzi. I można by powiedzieć nawet dość banalnie, że do pomagania innym, i do budowania tego braterstwa nie zawsze jest potrzebna wiara religijna. Dlatego, że w sercach ludzi jest obecna wrażliwość, cierpliwość, współczucie, litość, miłosierdzie — niezależnie od ich wiary, a nawet niezależnie od braku wiary. Może się zdarzyć nawet tak, że ktoś, kto nie ma wiary, nawet nie ma wiary w Boga, ma w sobie bardzo wrażliwe poruszenia serca na potrzeby i na krzywdę innych ludzi, i chętnie przychodzi im z pomocą motywowany właśnie tym, że skoro w jego życiu jakoś Pan Bóg

jest nieobecny, to stara się — tak mu się przynajmniej wydaje — nadać sens temu życiu poprzez pełnienie dzieł miłosierdzia.

Tak przechodzimy do tego, co bardzo ważne. Mianowicie do dziedziny, która w szczególniejszy sposób jest powinnością Kościoła. Powinnością Kościoła jest ukierunkowanie człowieka na życie z Bogiem, ukierunkowanie człowieka na nadzieję życia wiecznego, ukierunkowanie człowieka ku wymiarowi, który w naszym codziennym języku zwykliśmy nazywać niebem. I bez względu na to, czy pojmujemy niebo jako miejsce, czy też niebo jako stan, to najważniejszym zadaniem Kościoła jest ukazywanie tego właśnie wymiaru, dzięki któremu życie ludzkie i wszystko to, co robimy, nie staje się czymś ostatecznym, ale staje się czymś przejściowym, co prowadzi do wieczności. Nasza prawdziwa ojczyzna — powtarzamy za słowami Pisma Świętego — jest w niebie.

Tak zarysowałem państwu problem, którym chcemy się zająć. Ale ten problem zobaczymy raz jeszcze czytając fragment Listu św. Pawła Apostoła do Tessaloniczan. Jest to fragment przedziwny. W historii egzegezy biblijnej, czyli historii komentowania Pisma Świętego, jego objaśniania, jego interpretacji, ten fragment należy do fragmentów, które są obejmowane nazwą *cruce interpret* czyli *krzyż komentatorów*. Komentatorzy dochodzą do tego fragmentu, i wielu czuje się bezradnymi. Nie potrafią sobie z nim poradzić. Nie jestem pewien czy to, co powiem, będzie dla państwa dostatecznie jasne. Chciałbym jednak, żeby państwo wiedzieli, że do rozumienia tego fragmentu tak, jak go pojmuję, jak go przeżywam, dochodziłem bardzo długo. A przygoda z tym fragmentem zaczęła się jeszcze w seminarium duchownym, kiedy to przygotowując się do kapłaństwa pisałem pracę magisterską, której przedmiotem był Pierwszy List św. Pawła do Koryntian i zawarte w nim nadzieje eschatologiczne, których fundament znajdował się właśnie w Pierwszym Liście św. Pawła do Tessaloniczan. I tu kilka słów, rzeczy, które państwo już znają. Pamięamy sprzed miesiąca, i sprzed dwóch miesięcy, że św. Paweł przebywał w Salonikach podczas drugiej podróży misyjnej. Przebywał tam krótko, stosunkowo krótko, kilka tygodni, najwyżej mniej więcej trzy miesiące, ale ta obecność była bardzo owocna. Dlatego, że skutkiem, rezultatem pobytu Apostoła w Salonikach, na terenie Grecji, było założenie tam bardzo silnego, prężnego Kościoła. Ci ludzie okazali Apostołowi życzliwość, serdeczność, dobroć. Dlatego,

kiedy od nich odszedł, udał się do Berei, a stamtąd do Aten, i stamtąd do Koryntu — upłynął wtedy mniej więcej rok od pobytu w Salonikach — Paweł żywo pamiętał tych właśnie chrześcijan tessaloniczańskich. Czytaliśmy jego słowa — z jaką serdecznością i dobrocią się do nich zwracał. A oni byli zdolni do ogromnych wyrzeczeń. Przyjęli Ewangelię Chrystusa, zostali ochrzczeni. Żyli po bożemu, starali się żyć po chrześcijańsku. Mieli przekonanie, które — żeby je zrozumieć — myślę, że najlepiej trzeba by powiedzieć tak. Otóż mamy mniej więcej rok 51 - 52. Od śmierci Chrystusa upłynęło ok. 18 lat, od zmartwychwstania Chrystusa upłynęło 18 lat. Ci, którzy Chrystusa przyjęli, pierwsi chrześcijanie, zaczęli zadawać sobie pytanie, które być może my Polacy rozumiemy troszeczkę lepiej, niż inni. Pytanie można byłoby sformułować tak, i kwestię można by sformułować tak.

Oto zupełnie niedawno, te 18 lat temu i 30 lat wcześniej, Bóg dla nas i dla naszego zbawienia stał się człowiekiem w osobie Jezusa Chrystusa. To wydarzyło się, z ich perspektywy, bardzo niedawno, w ich pokoleniu. Oni byli ludźmi młodymi, zatem wiedzieli o tym z opowiadań. Byli ludźmi starszymi — myśleli sobie: oto, kiedy ja byłem mały, to Jezus żył na świecie. Wszystko to było bardzo żywe. Paweł im mówił, Paweł im powiedział i przyjęli to od Pawła, i tę naukę niezłomnie wyznawali, że Jezus, który żył tak niedawno, umarł i zmartwychwstał. A więc skoro zmartwychwstał, to żyje. A skoro żyje, to przyjdzie. Przyjdzie, żeby przemienić ten świat, odmienić ten świat, żeby w tym świecie nie było gwałtu, przemocy. Żeby ten świat przemienić ku wieczności, żeby ten świat stał się boży. I ci ludzie, ci nasi pierwsi ojcowie w wierze, którzy mieli świeżo w pamięci wydarzenie Wcielenia Syna Bożego, myśleli sobie mniej więcej tak. Skoro Jezus, Syn Boży, przyszedł niedawno w ciele, to z całą pewnością wkrótce będzie jego drugie przyjście. To skoro Bóg wybrał ten moment historii na to, aby objawić swojego Syna, to zapewne doczekamy również i tego, że ten Syn, umęczony i zmartwychwstały, przyjdzie ponownie i przemieni świat. Oczekiwano bliskiej, jak nazywa się to po grecku, *paruzji*. Paruzja znaczy *przyjście*. Sądzono, że skoro Bóg wybrał taki moment, takie pokolenie na coś tak ważnego, to że ten czas, który pozostawił ludziom, jest krótki. Dlatego wzięli sobie bardzo poważnie do serca pawłową Ewangelię, Ewangelię o Jezusie Chrystusie. Dlatego zdolni byli do wyrzeczeń, zdolni byli do życia posuniętego aż do ascezy. Bo spodziewali się,

że wkrótce Chrystus znowu przyjdzie.

Powiedziałem, że być może nam jest to jakoś możliwe łatwiej do zrozumienia, chociaż nie jestem do końca pewny. Bo państwo zwróć uwagę, że my jesteśmy też pokoleniem uprzywilejowanym. Na naszych oczach, w naszych czasach, wydarzył się cud. Coś niebywałego, z historycznej perspektywy coś absolutnie wyjątkowego. Na powtórzenie tego nie ma co liczyć nie tylko za naszego życia, tylko za wielu pokoleń. Mianowicie cud pontyfikatu Jana Pawła II. Żyliśmy w tych czasach, i żyjemy nadal. Mamy ciągle, chociaż powoli zaczyna już odchodzić do historii, świadomość, że za naszego życia wydarzyło się coś bardzo ważnego dla dziejów naszej ojczyzny. Mówi się dzisiaj, że wyrosło całe pokolenie Jana Pawła II. natomiast nie ulega wątpliwości, że z perspektywy przyszłości będzie zawsze tak, że będą studiować przyszli uczeni kim byli ludzie, Polacy, żyjący w czasach Jana Pawła II.

Wróćmy do tamtej rzeczywistości. Otóż pojawił się pewien dylemat w Salonikach. Chciałbym, żeby znowu państwo uchwycili jego istotę dlatego, że nam coś takiego by nie przyszło do głowy zważywszy, że mamy już za sobą, jako Kościół, 2000 lat istnienia. Ale chrześcijanom Tessalonic to do głowy przyszło. Mianowicie oczekiwali, że Bóg, który stał się Człowiekiem, wkrótce zadziała. Że wkrótce Jezus przyjdzie w chwale. I temu poświęcili swoje życie. Ale czas upływał, Paweł udał się do Koryntu — a wśród nich niektórzy z nich umierali. Niektórzy z nich nie doczekali tego przyjścia. Niektórzy z nich po prostu na skutek naturalnych przyczyn, czy wieku, nie doczekali paruzji. I ci, którzy żyli, a tych była zdecydowana większość, kierują do Pawła pytanie. I zapytują Pawła tak: Słuchaj, jak to jest? My żyjemy, wyrzekamy się wielu rzeczy, podejmujemy różne postanowienia, i czekamy na przyjście Pana. Czekamy, że któregoś dnia się objawi. Skoro wybrał to nasze pokolenie, to któregoś dnia przyjdzie do nas i to wszystko odmieni. Ale co z tymi, którzy umierają? Co z tymi, którzy tego nie doczekali? Co z tymi ludźmi, z tymi naszymi braćmi, z chrześcijanami, którzy podejmowali rozmaite wyrzeczenia i musieli przejść przez śmierć? Co z nimi? Czy nie jest tak, że ich wiara, ich życie okazało się w pewien sposób na próżno? Czy nie jest tak, że śmierć przyszła jakby zbyt wcześnie?

Zauważmy — taka była ich trudność, taki był problem, wobec którego stanęli. My dzisiaj, z perspektywy 2000 lat wiary chrześcijańskiej, o ludziach, którzy umierają, o naszych braciach i siostrach, rodzicach i bliskich, wierzymy, że przechodzą na drugą stronę życia, idą do Boga. Bo nasze nastawienie eschatologiczne, nasze oczekiwanie na paruzję nie jest tak intensywne. Nie spodziewamy się, żeby ona nastąpiła — powiedzmy — za naszego życia, czy w jakimś momencie, którego my doczekamy. A oni w początkach wiary chrześcijańskiej, chrześcijanie w Salonikach, mieli przekonanie, że Chrystus wkrótce przyjdzie. A więc że ci, którzy tego przyjścia nie doczekali, są w gorszej sytuacji. I Paweł odnosi się do tego zapytania, które mu zostało postawione. I w Liście do Tessaloniczan, tym samym, który czytaliśmy, napisał tak:

Nie chcemy, bracia, waszego trwania w niewiedzy co do tych, którzy umierają, abyście się nie smucili jak wszyscy ci, którzy nie mają nadziei.

Paweł powiada zatem pierwszym chrześcijanom, których sam nawrócił: „Musicie wiedzieć, musicie przyjąć wiedzę o tym, w świetle Jezusa Chrystusa, jaki jest los tych, którzy umierają.” Prawdę mówiąc w tekście greckim nie ma słowa „umierają”, tak jak mamy w Biblii 1000-lecia, którą czytamy. W tekście oryginalnym jest słowo „zasnęli” dlatego, że w starożytności, podobnie jak dzisiaj, obrazem śmierci był sen. Paweł dosłownie napisał tak:

Nie chcemy, bracia, waszego trwania w niewiedzy co do tych, którzy zasnęli, abyście się nie smucili tak jak ci, którzy nie mają nadziei.

Otóż oczekiwanie na działanie boże względem zmarłych jest związane z przymiotem nadziei. I tutaj dotykamy bardzo subtelny punkt. Otóż w przekonaniu tych Tessaloniczan los żyjących, takich jak my, jest o tyle jaśniejszy, że gdy przyjdzie Chrystus, a ma przyjść wkrótce, tak wierzyli, to zbierze tych wierzących do siebie. Natomiast o zmarłych sądzili, że zmarli jakby przedwcześnie. Że nie doczekali tego momentu działania Chrystusa.

Problem, o którym mówimy, jest jednym z najbardziej kluczowych dla zrozumienia natury Kościoła. Bo przekładając go na inny język można by powiedzieć tak. Jeżeli wiara miał by być owocna,

i chrześcijańskie życie miało by być owocne tylko wobec tych, którzy doczekają przyjścia Jezusa, i oni mieliby być przedmiotem nagrody, to co jest z losem tych, którzy umarli przed nami? czyżby ci, którzy umierali przed nami, i to nie tylko w czasach chrześcijańskich, ale i przedchrześcijańskich, mieli nie być dotknięci mocą Boga?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie musimy cofnąć się w czasy Starego Testamentu, żeby poszukać światła, które nam pozwoli zgłębić trochę ten najtrudniejszy problem ludzkiego życia. Mianowicie problem sensu śmierci i życia wiecznego. Musimy cofnąć się do samych początków. Mianowicie musimy sobie przypomnieć, zwrócić uwagę na pewien stereotyp, który w nas pokutuje i który można byłoby ująć mniej więcej tak.

Na początku Bóg stworzył Adama i Ewę, i ci pierwsi ludzie byli zupełnie nieśmiertelni — śmierć ich nie dotyczyła. Zatem w ogóle nie mieli umierać, i dopiero grzech sprowadził śmierć na nich. W skutek czego ich życie ma już swoją granicę. Tak sobie myślimy, tak bywamy uczeni w Kościele. To jest taki wizerunek, który wydaje się najprostszy. Gdyby nie zgrzeszyli, to by żyli absolutnie wiecznie.

A chciałbym państwa namówić na pewną intelektualną i duchową przygodę, która polega na tym, żebyśmy zastanowili się i spróbowali przewartościować te myślenie w świetle samego Pisma Świętego, zwłaszcza biblijnego opowiadania o stworzeniu świata. Znają państwo te opowiadanie, więc ja króciutko tylko je streszczę i pokażę te punkty, które są bardzo ważne. „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię” — rozpoczyna się ten piękny hymn ku czci Boga Stworzyciela. I potem stworzenie świat i stworzenie człowieka przedstawione jest w schemacie sześciu dni. Znamy ten schemat, znamy ten tekst, króciuteńko więc. Pierwszego dnia Bóg stworzył światłość i ciemność. Zwróćmy uwagę, że nie była to światłość związana ze słońcem, księżycem. Dlatego, że słońce i księżyc zostały stworzone dopiero w czwartym dniu stworzenia wg. tego obrazowego sposobu myślenia. Światłość i ciemność jest tutaj czymś bardziej podstawowym, niż światło. Oznacza nie tylko coś fizycznego, ale w pewnym sensie coś duchowego.

Nie zatrzymujmy się nad tym, bo to nas w pewnym sensie mniej dotyczy, żeby nie stracić z oczu tego, co najważniejsze. Mianowicie tego eschatologicznego ukierunkowania Kościoła. Drugiego dnia Bóg stworzył wody górne i dolne i taką przegrodę, która oddziela jedne wody od drugich. Oczywiście mamy starożytne wyobrażenie świata. Mamy intuicję, że życie związane jest z wodą, i mamy intuicję, że skoro tutaj są tutaj wody na ziemi, i skoro deszcze padają, i grady itd., to na górze też muszą być jakieś wody. A skoro nad głowami mamy firmament, to ten firmament to wszystko podtrzymuje, i stwórcą tego firmamentu jest Pan Bóg. Takie były wyobrażenia, taki więc jest obraz.

Nasz problem, nasz kłopot, albo nasze możliwości interpretacji związane są z trzecim dniem. Trzeciego dnia Bóg stworzył suchy ląd i stworzył morze, i oddzielił ląd od morza. Wiemy doskonale, że zawsze wywołuje w nas podziw to, że morze dochodzi dotąd — i ani kroku więcej. Jeżeli wykracza poza tę granicę, jak miało to miejsce kilkanaście miesięcy temu w związku z tsunami, jest dramat. Otóż granica między morzem a ziemią jest ustalona. Ale w tym samym trzecim dniu Bóg stworzył jeszcze rośliny. I tutaj uwaga — kiedy zaczynamy czytać wnikliwie, zastanawiać się, to stworzył rośliny, trawy zielone, które mają nasiona, oraz rośliny, które mają owoce dające nasiona. Tam, gdzie jest nasienie, tam jest reprodukcja, vegetacja. Jeżeli te rośliny mają nasiona to znaczy roślina, która rośnie, będzie z nasion przynosiła nowe rośliny. Zaczynamy odczuwać tutaj pewne następstwo. Bo wyobrażamy sobie np., że użyjemy najprostszego obrazu – jak dla dzieci, wyobraźmy sobie trawnik. Jeżeli już na tym trawniku jest trawa, i ta trawa musiałaby nigdy nie wyschnąć i nigdy nie rosnąć, to przecież do niczego nie byłyby potrzebne nasiona. Gdyby te drzewa miały się nigdy nie odradzać tylko, powiedzmy sobie, istnieją drzewa i one zawsze wyglądają tak samo, też nie potrzebne byłyby nasiona. Zaczynamy czuć, że w tym świecie stworzonym przez Boga od początku w świecie vegetacji istniała przemijalność.

Czwartego dnia Bóg stworzył słońce, księżyc i gwiazdy. I dodane jest w tekście biblijnym: stworzył po to, żeby wyznaczały pory roku, dni i lata. A więc w pierwotnym stanie w świecie stworzonym przez Boga były pory roku. Jeżeli były pory roku, to życie wyglądało tak, jak je znamy. Była więc — wg. naszego sposobu myślenia, w naszym klimacie — wiosna, lato, jesień, zima. To dlatego te trawy miały nasiona. To dlatego te drzewa wydawały owoce z nasionami. Bo przecież Bóg stworzył świat takim, jaki on jest. A więc przyszła pora roku wiosenna, letnia, jesienna,

zimowa — ten świat się zmieniał. Były śniegi od początku, deszcze od początku, mogło być sucho od początku.

Ale idźmy dalej, bo to jest bardzo ważne dla zrozumienia problemu, o który nam chodzi, a przynajmniej dla naświetlenia go. Piątego dnia stworzył Bóg istoty żywe, lądowe i wodne, i dał im przykazanie, dał im nakaz: „Mnóźcie się, rozmnażajcie się!” Przecież nie mogły rozmnażać się w nieskończoność, bo świat jest skończony. Nie mogło być tak, że zwierzęta, które się rozmnażały, rozmnażały się bez końca w tym znaczeniu, że te, które były rodzicami, w ogóle się nie zmieniały. Natomiast jeżeli się rozmnażały, to musiała być ta zwierzęca matka, musiała spodziewać się narodzin swojego małego, wydać je na świat, ono wzrastało — i co? Zatrzymywało się w rozwoju? Czujemy, że nie! Świat zwierzęcy był stworzony takim, jakim jest. A więc było przemijanie.

To co z ludźmi? Stworzył więc Bóg ludzi, na swój obraz stworzył. stworzył mężczyznę i kobietę. I stworzywszy dał przykazanie mówiąc: „Rozmnażajcie się, abyście zaludnili całą ziemię”. A więc znów polecenie płodności które sprawia, że tak, jak w świecie zwierzęcym, tak w świecie ludzkim, jest matka i ojciec, jest syn i córka. A zatem będzie wnuczka, i prawnuczka. Gdyby świat zatrzymał się, ten stworzony przez Boga, gdyby w nim nie było przemijania, gdyby nie było śmierci, to jakże moglibyśmy sobie ten świat wyobrazić? Mianowicie Ewa i Adam wiecznie młodzi? A ci, których oni wydali na świat? Ich dzieci, i dzieci ich dzieci znów zatrzymywały by się w rozwoju tak, że w pewnym momencie wyglądają tak, jak Adam i Ewa? Czyżby nie było matki i ojca, nie było następstwa pokoleń?

Tak dochodzimy do istotnego wniosku. Mianowicie Bóg stworzył świat takim, jakim go znamy, z wyjątkiem grzechu. Stworzył świat, w którym istniała przemijalność, istniało następstwo pokoleń. Mówiąc zatem wprost — Adam i Ewa, i ich dzieci, też mieli, z ludzkiej perspektywy, ograniczone ramy życia. To nie było tak, że żyliby bez końca.

Tu ja doskonale czuję, że bardzo wiele z państwa zaczyna się zastanawiać. Skoro tak, to co się zmieniło? Skoro tak, to jakie skutki spowodował grzech? Otóż grzech spowodował odłączenie pierwszych ludzi od Boga. Wprowadził wrogość między Stwórcę i stworzenie. Bardzo szybko okazało się, że wprowadził wrogość również między ludzi. Kiedy Adam otrzymał Ewę, to wołał: „Ta dopiero jest kością z moich kości i ciałem z mojego ciała”. Przyjął ją jako dar. Ale gdy oboje zgrzeszyli, to Adam mówi do Pana Boga: „Kobieta, którą mi dałeś, to ona zgrzeszyła i mnie zwiódła”. A więc: „Dobry zrobiłeś mi upominek!” Oskarża Pana Boga i oskarża kobietę, aczkolwiek sam od początku do końca w tym wszystkim uczestniczył. Otóż grzech, nieposłuszeństwo wprowadziło wrogość. A skutkiem wrogości stało się to, że człowiek stracił ze swojego życia to pełne i bliskie poczucie więzi z Bogiem, przyjaźni z Bogiem. Śmierć stała się dla człowieka czymś ostatecznym. Dlatego, że utracił przyjaźń z Bogiem już nie potrafił przeżywać swojego życia i śmierci jako przejścia, jako bramy do życia nowego. Zaczął postrzegać śmierć jako koniec. Rozerwanie więzi z Bogiem spowodowało, że w zupełnie nowy sposób spojrzał na swoje życie, na swój los, i nie czuł już tej bliskości Pana Boga, jaką czuł wtedy, kiedy był z Nim w bezpośredniej przyjaźni. To dlatego Bóg powiedział, że „gdy z niego spożyjesz, na pewno umrzesz” (? JP) w znaczeniu, że śmierć, przez którą przechodzisz jako istota stworzona, będziesz ją postrzegał, będziesz ją widział, jako coś ostatecznego. Jako dramat, z którego nie ma wyjścia.

Tak musimy posunąć się jeszcze krok dalej. Dla człowieka Starego Testamentu śmierć rzeczywiście stanowiła koniec ludzkiego życia. Postrzegano śmierć jako coś, co absolutnie kończy życie takim, jakim je znamy. Zarazem jednak już w czasach Starego Testamentu była z jednej strony tęsknota, z drugiej strony intuicja, że Bóg nie może człowieka zostawić takim, jakim on jest w tym życiu. Skoro Pan Bóg był obecny w dziejach biblijnego Izraela, skoro stale się nimi opiekował, to myślano mniej więcej tak. Dlaczego miałby to skończyć wraz ze śmiercią tego pokolenia i kolejnych pokoleń? Jeszcze inny problem nastęrczało cierpienie i niesprawiedliwość. Skoro jednym jest dobrze na tym świecie, a drugim bardzo źle, to przecież Pan Bóg jest niesprawiedliwy tolerując taki stan. Dlaczego dopuszcza, że jedni opływają we wszystko — to jest i nasz problem też, rzadko tylko myślimy, że to jest problem w Starym Testamencie także, był największy — dlaczego jedni opływają we wszystko a inni cierpią, i to na rozmaite sposoby. Otóż jeżeli wszystko wypełnia się w ramach doczesności, to jest w tym świecie jakaś niesprawiedliwość. Tutaj bardzo znacząca jest zwłaszcza skarga Hioba, którą czytamy w 3 rozdziale Księgi Hioba. Hiob został dotknięty nieszczęściami. Nie wie, dlaczego one mu się przytrafiły. zwraca się do Pana Boga i mówi mniej więcej tak. Po co się

daje życie cierpiącym? Po co stwarzasz człowieka, skoro on tak się męczy? Po co matka poczyna dziecko, i wydaje je na świat, i bierze je na kolana, i pieści je i bawi niemowlę, skoro później jako dorosły człowiek ten mężczyzna czy ta kobieta tak bardzo cierpi? Po co się daje życie cierpiącym? I Hiob w tym trzecim rozdziale mówi tak: Skoro tak cierpię, to może lepiej żebym się w ogóle nie narodził? Może lepiej, żebym umarł po urodzeniu, jak byłem jeszcze nieświadomy tego, co się dzieje? Po co się daje życie ludziom, żeby później świadomie przeżywali takie dramaty? I mówi jeszcze dalej — ten obraz jest przepiękny, aczkolwiek mało znany: Gdybym był umarł jako niemowlę, to teraz sobie bym leżał — tak marzy ten chory, zbolały człowiek — razem z królami, z książętami, z tymi, którym stawia się piramidy, wspaniałe grobowce. Byłbym sobie leżał, i nie musiałbym cierpieć!

Tak otrzymujemy starotestamentowe intuicje życia pozagrobowego. Ale na poziomie Starego Testamentu ten człowiek Starego Testamentu nie mógł dojść do tego, czym życie pozagrobowe jest. Próbował to zgadywać, próbował myśleć. Wyobrażał sobie na rozmaite sposoby. Paganie na przykład, zwłaszcza Grecy, wyobrażali je sobie jako przedłużenie życia na ziemi. Mówili o Hadesie, o tym, że trzeba przepłynąć przez rzekę. Że tam, w tamtym życiu będą ludzie żyli tak, jak tutaj. Na podobieństwo tego, co mamy, tylko inaczej. Natomiast ludzie Biblii, ludzie Starego Testamentu mówili, że po śmierci nastąpi stan, który nazywali *Szeol*. Nie byli w stanie go sobie wyobrazić, ale wyobrażali go sobie mniej więcej tak, jak czarno-biały film. Mianowicie kraina, w której duchy zmarłych żyją, ale nie jest to miejsce szczególnie atrakcyjne. Wartością w Starym Testamencie jest życie na tej ziemi. Wartością jest doczesność. Co potem będzie, Stary Testament odpowiadał: „Nie wiemy! Na pewno coś będzie, na pewno Bóg zadziała.” Ale nie potrafiono sobie wyobrazić, ani nie potrafiono w żaden sposób tej zasłony przeniknąć.

I tak było aż do czasów Chrystusa. Zwróćmy uwagę, że także w działalności Chrystusa, w czasach Chrystusa podstawową wartością jest to życie. Ludzie przychodzą do Jezusa i proszą, żeby ich uzdrowił. Więc uzdrawia. By dał chleb — macie chleb! By przemienił wodę w wino — macie wino! Rozmnożył chleb i ryby — mamy! Przynoszą chorych — są uzdrowieni! Mało tego, Jezus dokonuje wskrzeszenia. Ale to jest wskrzeszenie do tego życia: dziewczynki z Naim, chłopca, syna wdowy, po to, żeby się opiekował matką, Łazarza — trzecie wskrzeszenie. Ale to wszystko robi wrażenie, że tym bardziej liczy się to życie. Jezus nawet nie może zbyt mówić o życiu przyszłym, ukazywać jego kształtu dlatego, że ci, którzy Go słuchali, nie rozumieli o czym On mówi. Oni ciągle byli ludźmi Starego Testamentu. Od czasu do czasu Jezus używa obrazów. Mówi np. w przypowieści o bogaczu i Łazarzu. Pokazuje, że nie jest tak, że niesprawiedliwość, jaka istnieje na tym świecie, będzie trwała zawsze. Że Bóg przywróci sprawiedliwość. Jego miłosierdzie przesądzi o kształcie nowego świata. Więc Jezus próbuje uczyć, mówić o tym, co nas czeka. Ale jednocześnie zdaje sobie sprawę z tego, że to, co nas czeka, pozostaje ogromną tajemnicą, zagadką, której nie sposób w żaden sposób jakoś przeniknąć.

Skoro tak to zauważmy, że decydujące dla poznania natury tego, co nas czeka po śmierci, okazało się zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Przez swoje zmartwychwstanie Jezus ukazał rąbek życia wiecznego. Ukazał tę nową jakość życia. Nie mamy teraz czasu, żeby zatrzymywać się nad tymi ewangelicznymi tekstami, które opowiadają o ukazywaniu się zmartwychwstałego Jezusa. Pamiętamy jednak, że doświadczenie zmartwychwstałego Jezusa było najbardziej znaczące dla Pawła, który udawał się do Damaszku jako prześladowca Saul - Szaweł. Natomiast porwany przez Chrystusa doświadczył, że Jezus żyje. Doświadczył tego życia, które nie jest powrotem do doczesności, tylko które odsłania nam cząstkę wieczności.

Wróćmy zatem do tekstu, który teraz, pod koniec, powinniśmy spointować i nasz problem jakoś naświetlić. Paweł, odnosząc się do tych obaw wierzących w Jezusa, dobrze wie, że oni ciągle myślą w kategoriach Starego Testamentu. Myślą sobie tak. Jeżeli Jezus przyjdzie, i gdy przyjdzie, to nas weźmie do siebie. Natomiast ci zmarli są już jakoś przegrani. Dla zmarłych nie ma nadziei. Ot umarli przedwcześnie — tak sobie myślą. A Paweł, który przeżył spotkanie ze zmartwychwstałym Jezusem, odpowiada im:

Nie chcemy, bracia, waszego trwania w niewiedzy co do tych, którzy umierają, abyście się nie smucili jak wszyscy ci, którzy nie mają nadziei.

Otóż odpowiada: Nie musicie się smucić. Nie musicie pozostawać na poziomie Starego Testamentu. Nie myślcie, że Bóg jest tylko panem żyjących. Bóg jest panem również umarłych. Świat

żyjących i świat zmarłych to jest jeden świat, bo ma jednego Stwórcę i jednego Zbawiciela. „Jeśli bowiem” — napisał św. Paweł —

wierzmy, że Jezus istotnie umarł i zmartwychwstał, to również tych, którzy zasnęli w Jezusie, Bóg wyprowadzi wraz z Nim.

Otóż moc zmartwychwstania Jezusa Chrystusa rozciąga się na całą ludzkość. Kościół obejmuje, skupia tych, którzy żyją, i na tym poziomie potrzebna jest sprawiedliwość, solidarność, pomoc, życzliwość, dobroć, gościnność i wszystko to, co nas jednoczy. Ale Kościół dlatego, że jest Ciałem Chrystusa, skupia też tych, którzy umarli. Bo Chrystus umarł za wszystkich. Chrystus odkupił całą grzeszną ludzkość. A więc i ci, którzy umierali przed nami — niedawno, i bardzo dawno, i gdziekolwiek — objęci są mocą Chrystusowego Zmartwychwstania. Nie lękajcie się — pisze Paweł do Tessaloniczan — gdy ktoś z was nie doczeka paruzji. Bo Chrystus, który zmartwychwstał, swoją mocą obejmuje wszystkich. Los żyjących i los zmarłych został przez Chrystusa podjęty, przyjęty, i przemieniony. I pisze dalej tak:

To bowiem głosimy wam jako słowo Pańskie, że my, żywi, pozostawieni na przyjście Pana, nie wyprzedzimy tych, którzy pomarli.

Nie ma żadnego pierwszeństwa tych, którzy żyją i czekają na przyjście Pana nad tymi, którzy tego przyjścia nie doczekali. W czasach św. Pawła to była kwestia pierwszego pokolenia. My dzisiaj z perspektywy prawie 2000 lat wiemy, że tych pokoleń chrześcijańskich, tych, którzy żyli z Chrystusem i umierali z Chrystusem na ustach, i także innych ludzi odkupionych Jego krwią, że tych pokoleń jest już bardzo wiele. Ale ich również obejmują owoce zbawczej męki, śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Skoro Chrystus umarł i zmartwychwstał, to jego dzieło zbawcze, to, czego dokonał jako Syn Boży, obejmuje całą ludzkość. Każdego człowieka i całą ludzkość. Właśnie głoszenie tej prawdy jest jednym z podstawowych zadań Kościoła. Głoszeniu tej prawdy poświęcił obecny papież Benedykt XVI wydaną w Wielkim Jubileuszu Roku 2000 instrukcję „O jedności i powszechności dzieła zbawczego Jezusa Chrystusa”. To, czego dokonał Jezus, podkreślmy to raz jeszcze, obejmuje wszystkich, żyjących i zmarłych. To właśnie dlatego życie jest silniejsze niż śmierć. I miłość Boga do człowieka, jego dar przebaczenia, jego dar łaski, jest silniejszy niż więzy śmierci. Czytamy dalej:

Sam bowiem Pan zstąpi z nieba na hasło i na głos archanioła, i na dźwięk trąby Bożej, a zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi.

Mamy tutaj scenę, która w naukowym języku nosi nazwę apokaliptycznej. Paweł wyobraża sobie, że to działanie Boże, kiedy świat zostanie przemieniony, kiedy Jezus przyjdzie, dokona się w taki sposób, że nikt nie będzie miał wątpliwości, że oto rozpoczyna się akt Bożego Miłosierdzia i Bożej Sprawiedliwości. My zwykliśmy nazywać to w naszym obiegowym języku *koniec świata*. I oczywiście brzmi to bardzo groźnie. U św. Pawła ani w Nowym Testamencie nigdzie nie nazywa się tego „końcem świata”. Wszędzie mówi się: „nowe niebo i nowa ziemia”. Nastanie nowe niebo i nowa ziemia. To znaczy świat taki, jaki jest, zostanie przemieniony. W jaki sposób przemieniony? Przemieniony jakby wracając do swojego stanu pierwotnego, czyli do stanu przyjaźni z Bogiem, zażyłości z Bogiem, bliskości z Bogiem. Człowiek już nie będzie obawiał się tego, co go czeka, dlatego, że doświadczy bożej dobroci, bożej życzliwości, bożej miłości. Nie tylko doświadczy — zostanie nią ogarnięty. Paweł mówi: ci, którzy żyli w historii, którzy poumierali, powstaną pierwsi. Tutaj wyobraźnia zawodzi. Bo jakże sobie wyobrazić owo powszechne zmartwychwstanie umarłych w naszym ludzkim języku, ograniczonym przecież do doczesności? Tu musimy położyć kres fantazji. Być może państwo znają obraz „Sąd ostateczny” przechowywany w muzeum w Gdańsku, gdzie artysta próbował pokazać ten właśnie moment wskrzeszenia umarłych do życia z Bogiem.

Paweł powiada Tessaloniczanom: Nie lękajcie się o los tych, którzy zmarli. Ich również obejmuje zbawcza moc Chrystusa. I dalej:

Potem my, żywi i pozostawieni, wraz z nimi będziemy porwani w powietrze, na obłoki naprzeciw Pana,

Raz jeszcze to są obrazy. Tam, gdzie język zawodzi i gdzie zawodzi również wyobraźnia, to pojawiają się obrazy, które próbują tę nową sytuację wyrazić. My zostaniemy porwani naprzeciw Pana. Doświadczamy jego dobroci, jego sprawiedliwości, jego miłosierdzia. Paweł nie mówi, czy to będzie w tym pokoleniu, czy w następnym pokoleniu. Dobrze wiemy, że tego czasu nie zna nikt. Paweł mówi tylko jedno. Bóg, jako Pan życia, jest silniejszy, niż wszelka śmierć. I kończy to:

i w ten sposób zawsze będziemy z Panem.

To jest pointa. Mianowicie, że Bóg przeznaczył człowieka, przeznaczył ludzi do życia z sobą. I chociaż musimy przejść przez bramę śmierci, która od czasu grzechu stała się dla nas czymś strasznym, bo się jej boimy, to jednak naszym przeznaczeniem, przeznaczeniem ludzi, jest życie z Bogiem. Bóg nie stworzył ludzi, by ich potępiać. Bóg nie stworzył ludzi, by ich odrzucać, by się na nich mścić, by ich karać. Chyba, że ludzie wybiorą, sam człowiek wybierze, stan bez Boga, życie bez Boga. Jeżeli ktoś sam postawi się poza nawiasem bożego miłosierdzia. Wtedy musi się liczyć z tymi dramatycznymi skutkami. Ale — zapewnia Paweł — jesteśmy stworzeni i zbawieni po to, aby zawsze żyć z Bogiem. Tutaj ukazuje się obraz Boga łaskawego, dobrego, życzliwego, pomocnego człowiekowi. Takiego Boga ma głosić Kościół. W takiego Pana Boga wierzymy i taki Pan Bóg jest źródłem i przeznaczeniem naszej wiary. Ten fragment w Pierwszym Liście do Tessaloniczan kończy się tak:

Przeto wzajemnie się pocieszajcie tymi słowami!

Otóż św. Paweł traktuje ten swój wykład, tę swoją pewność wiary, traktuje zarazem jako sposobność do pocieszania siebie nawzajem. Istnieje Bóg — a więc życie silniejsze jest niż śmierć. Ci, którzy umarli, są również powołani do życia z Bogiem. Ci, którzy żyją, też są przeznaczeni do życia z Bogiem. W momencie, w czasie, który zna tylko Bóg, świat ulegnie przemianie, ale będzie to przemiana na korzyść. Bo wtedy Bóg stanie się wszystkim we wszystkich. Nie czeka więc nas, ani świat, nawet w długiej perspektywie, jakaś zagłada czy kataklizm, którego mielibyśmy się lękać. Otóż za tą zasłoną śmierci i za tą zasłoną końca jest Bóg, który na nas czeka. I ta nadzieja winna sprawiać, że powinniśmy się nawzajem pocieszać.

Celem Kościoła — i to jest pointa naszych rozważań — jest pomaganie sobie nawzajem, budowanie jedności w tym wymiarze doczesności, w jakim jesteśmy. Ale stałym zadaniem Kościoła jest też przypominanie i podkreślanie naszego eschatologicznego czyli ostatecznego ukierunkowania ku Bogu. I jest głoszenie poprawnego wizerunku Boga, właściwego wizerunku Boga jako Ojca, który stworzył całą ludzkość i przeznaczył całą ludzkość do życia ze sobą. Nikt więc człowiekowi nie zaszkodzi, jeżeli on sam sobie nie zaszkodzi. Nigdy Pan Bóg nie będzie człowieka odpychał, jeżeli człowiek Boga pragnie i mu ufa. Nigdy Pan Bóg nie wzgardzi człowiekiem, za którego przecież, za każdego człowieka, Syn Boży przelał krew i oddał życie. Skoro tak, to pozwala nam to w nowy sposób popatrzeć na nasze życie. Ale także w nowy sposób spojrzeć na perspektywę śmierci. Czas Adwentu temu sprzyja. A gdybyśmy szukali jakiegoś obrazu czy jakiegoś porównania, które pomoże nam to zrozumieć, to ludzie, którzy mają wielką ufność w Bogu, z ufnością również przeżywają swoje cierpienia i bliskość śmierci. Dla wielu z nich jawi się ona jako brama, za którą widzą światło. W wielu opowiadaniach tych, którzy byli bliscy owego stanu śmierci klinicznej, pojawia się ten sam moment. Że gdzieś tam, w tym ciemnym tunelu ludzkiej egzystencji jawi się światło, które człowieka zaprasza i pociąga. To znów tylko obraz, bo jak w ludzkim języku wyrazić to, co niewyraźalne?

Stajemy na progu największej tajemnicy. Tajemnicy, która dotyczy sensu naszego życia i która dotyczy sensu naszej śmierci, i która otwiera nas ku wieczności. Ale właśnie głoszenie tej tajemnicy jest zarazem najbardziej wzniosłym zadaniem Kościoła. I można w Kościele zbierać datki, wspomagać biednych, uprawiać działalność charytatywną, dobroczynną — i trzeba to robić. Ale najważniejszą rzeczą jest głoszenie Boga, który jest Panem życia, i jest przygotowywanie człowieka do tego, żeby swoje życie przyjął jako dar. To życie, które mamy, ale także to życie, do którego Pan Bóg nas wzywa. Kościół więc wtedy spełnia swoje zadanie, gdy człowieka przygotowuje, usposabia i uzdalnia do przyjęcia i przeżywania tego, co w naszej egzystencji najtrudniejsze.

Mam nadzieję, że jakoś ten arcytrudny temat pobudził nas do myślenia. A gdyby nawet z tego pozostała tylko jedna rzecz zamiast całej refleksji, gdyby pozostała tylko myśl o tym, że warto

jest zaufać Bogu i w życiu, i w śmierci, to dla tej jednej myśli — jeżeli będzie ona owocna i w nas pozostanie — było warto również poświęcić tę godzinę. Więc dla tej jednej myśli, że Bóg jest Panem życia, którego moc przekracza wszystko, co na ten temat możemy pomyśleć.

Bardzo państwu dziękuję. Zapraszam na 8 I. Po drodze mamy święta Bożego Narodzenia, również Nowy Rok 2007. Chciałbym wszystkim państwu, i rodzinom, i bliskim, i przyjaciołom złożyć bardzo serdeczne bożo-narodzeniowe życzenia wielu łask, bożej opieki, dużo radości, dużo zdrowia, dużo siły na ten czas, kiedy i zdrowia, i radości, i innych rzeczy brakuje. I wszystkiego najlepszego w nowym roku, w który mamy wkrótce wkroczyć — żeby był rokiem pomyślności. I żebyśmy — skoro rozważamy tak wzniosłe sprawy — to żebyśmy umieli i w naszym życiu cząstkę choćby tego przeżywać tak, iżby być świadkami zmartwychwstałego Pana.

Dziękuję pięknie. Chwała Ojcu ... A skoro kończymy powoli rok kalendarzowy, mamy dzisiaj dzień takiej refleksji o naszych górnikach, refleksji również o tym życiu, które Pan Bóg nam obiecał i w które nas wprowadza, to na koniec pomódlmy się krótko również za tych naszych braci i siostry, które w ciągu wielu lat tych konferencji byli tutaj razem z nami. Są takie osoby, jest ich wiele, mam wiele z nich żywo w pamięci, nieraz w oczach, i pomódlmy się także za nich. Bo skoro zadaniem Kościoła jest podtrzymywanie i wspomaganie potrzebujących, i zarazem żywa świadomość o losie tych, którzy odeszli, to z całą pewnością są tutaj z nami tajemniczo obecni. Pod Twoją obronę ... Wieczny odpoczynek ... Pochwalony Jezus Chrystus. Dobrych, radosnych Świąt.

4 Sprawa abpa Stanisława Wielgusa (8 stycznia 2007)

Pochwalony Jezus Chrystus! ... Dzień dobry państwu. W imię Ojca i Syna ... Stolico Mądrości ...

Bardzo serdecznie państwa witam na początku nowego roku 2007-ego. Kiedy spotykaliśmy się ostatni raz, to było w dzień św. Barbary, 4 Grudnia. I dwa dni później, 6 grudnia Stolica Apostolska ogłosiła decyzję, że arcybiskupem Warszawy będzie ksiądz biskup Stanisław Wielgus, dotychczasowy biskup płocki. Na naszej konferencji jeszcze tego nie wiedzieliśmy, nie mogliśmy się do tego odnieść aczkolwiek od początku listopada krążyły pogłoski, że to właśnie ksiądz biskup przyjdzie do Warszawy. Dzisiaj spotykamy się ze sobą w nowych okolicznościach, i to bardzo dramatycznych. I muszę państwu powiedzieć – pewnie wyrażam tutaj myśli wszystkich — że to, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach, a zwłaszcza w ostatnich dniach, jest na tyle dramatyczne i poruszające, że nie sposób abyśmy się, króciutko przynajmniej, zwięźle, do tego nie odnosili. Kiedy 6 grudnia przyszła wiadomość, że mamy nowego biskupa, wtedy za przedmiot naszej refleksji w styczniu, myśląc o tym naszym spotkaniu dzisiejszym, postanowiłem wybrać temat, który ściśle należy do tego zasobu tematów, którego się podjęliśmy, mianowicie „Eklezjologia Nowego Testamentu” czyli „Spojrzenie na Kościół w świetle Nowego Testamentu”. I postanowiłem dzisiaj zająć się tematem: „Co to znaczy być biskupem?” Kto jest biskupem? Jaki powinien być biskup w świetle Nowego Testamentu? Dlaczego, i czy, w Kościele potrzebny jest biskup? Na czym posługa biskupia polega? Ta refleksja nad posługą i zadaniami biskupa w Kościele, podjęta w świetle Nowego Testamentu, będzie także przedmiotem naszych dzisiejszych rozważań i dzisiejszego spotkania.

Ale chciałbym ją poprzedzić kilkoma refleksjami, z którymi chciałbym się z państwem podzielić. Zaznaczam dwie rzeczy, bardzo ważne. Otóż jest to refleksja bardzo osobista, i tak proszę ją przyjąć. Dlatego, że dla mnie osobiście to, co wydarzyło się wczoraj, co przeżywaliśmy wczoraj, poprzednie dni też, ale kulminacją był dzień wczorajszy, to gdybym miał układać najtrudniejsze, najbardziej mroczne dni w życiu, to ten na pewno znalazłby się w pięciu takich, które były w życiu najtrudniejsze. Ten dzień dla mnie osobiście był bardzo trudny. Również dni, które go poprzedziły, były bardzo trudne. W ubiegłym tygodniu byłem w Drohiczynie, gdzie miałem takie zajęcia z tamtejszymi nie tylko kapłanami, ale także przedstawicielami samorządów, władz z rozmaitych miast, policją tamtejszą, tamtejszymi gajowymi, pogotowiem ratunkowym, strażą pożarną i Bóg wie kim jeszcze w zakresie całej diecezji. I kiedy wracałem z tego spotkania w Drohiczynie, wracałem samochodem, otworzyłem radio — to było w czwartek, kiedy było to przesilenie, tak się przynajmniej wtedy wydawało — i nasłuchiwałem się tych wiadomości o godzinie drugiej, o trzeciej, o czwartej po południu, i przyjechałem do domu, to w nocy z czwartku na piątek nie zmrużyłem oczu. Dlatego, że czułem, że ta sprawa dotyczy i dotyka nas wszystkich. Że jest to coś, nad czym nie można przejść do porządku dziennego. Natomiast kulminacja okazała się wczoraj. Zatem chciałbym się do tego odnieść. Dodam do tego jeszcze jedną rzecz. Że w sobotę i niedzielę mieliśmy my kapłani, także ja, zalew rozmaitego rodzaju telefonów poczynając od rozmaitego rodzaju telewizji, państwowych i komercyjnych, radia itd. Na wszystkie odpowiadałem „Nie!” dlatego, że cały ten temat jest tak bolesny, że to jest jak mówienie o dramacie, który rozgrywa się we własnej rodzinie. Są zatem państwo pierwszą grupą, pierwszą wspólnotą, z którą dzielę się tym dlatego, że po kilkunastu latach takiej wspólnej refleksji myślę, że to, co chciałbym powiedzieć, nabiera charakteru takiego świadectwa. I wreszcie jeszcze jedna rzecz. A mianowicie że w tej bardzo trudnej sprawie mówi się, że podziały biegną między ludźmi. To znaczy, że jedni uważają tak, a drudzy uważają inaczej. Że istnieje podział w Kościele. Być może tak jest. Ale ja myślę, że znacznie trudniejszy podział przebiega w każdym z nas. To znaczy w każdym z nas są dwie strony i dwa sposoby postrzegania tego człowieka, tej sprawy, tego problemu, tego, co się wydarzyło. Że każdy z nas w zależności od tego jakie struny i jakie strony swojej wrażliwości wydobywa, to raz współczuje, raz się złości. Raz uważa, że dobrze się stało to, co stało się wczoraj. Kiedy indziej uważa, że można było inaczej. A więc my również, myślę, mamy tę granicę bardzo cienką, nić bardzo delikatną, która przebiega w nas — i byłoby dziwne, gdyby było inaczej. Bo po raz pierwszy, przynajmniej w nowożytnej historii naszego Kościoła, w naszej ojczyźnie wydarzyło się coś takiego, co wydarzyło się właśnie wczoraj. Zatem oceny: i moralne, i duchowe, i społeczne, i religijne nie mogą być jednoznaczne bo to, co się wydarzyło, posiada bardzo wiele stron. Ja państwu chciałbym krótko na tyle, na ile to możliwe — chociaż widzę już, do tej pory, że to nie jest takie zwięźle — chciałbym przedstawić własny punkt widzenia. Nie po to, broń

Boże, żeby kogokolwiek przekonywać. I tylko po to, by państwo poznali sposób myślenia kogoś, kogo znacie, sposób myślenia kogoś, kogo słuchacie, i sposób odczuwania przez konkretnego księdza tej trudnej, bardzo złożonej sprawy. Nie mogę dotknąć wszystkich aspektów tej sprawy, bo nie ma na to ani czasu, ani sposobu, ani siły, ani nawet potrzeby. Dotknę tylko kilku aspektów, które wydają mi się w tym wszystkim bardzo istotne. Dlatego proszę mi wybaczyć, jeżeli państwu przychodzą do głowy jeszcze inne rzeczy. Proszę mi wybaczyć, jeżeli ktoś pomyśli sobie czy powie że ksiądz, który mówił, nie powiedział tego, tego — otóż ja nie mogę powiedzieć wszystkiego, bo zajęłoby nam to bardzo długo. Nie możemy też ze względu na dużą liczbę nas zrobić jakiejś dyskusji nad tą sprawą. Zresztą nie ma potrzeby robienia takiej dyskusji, bo w moim przekonaniu wszystko, co miało się dokonać najważniejszego, w dobrym i złym tego słowa znaczeniu, już się dokonało.

Zatem do rzeczy. Mnie się wydaje, że żeby zrozumieć i należycie ocenić to, co się wydarzyło w tych dniach, trzeba się cofnąć znacznie wcześniej, kilkanaście lat wcześniej, i odpowiedzieć sobie na pytanie: Czy przeszłość człowieka w systemie PRL-u ma znaczenie? Czy nie ma znaczenia?" To znaczy czy to, iż ktoś zachował się w taki czy inny sposób było ważne, jest ważne z moralnego punktu widzenia, czy też nie jest ważne? Oczywiście jak wiemy byli ludzie, i duchowni i świeccy, którzy w tamtych czasach byli bohaterami, którzy nie pozwolili się złamać, nie poszli na żaden rodzaj współpracy, którzy odłożyli rozmaite rodzaje kariery tak, jak ją pojmowali, i którzy wyszli z tego czyści. Ale też trzeba powiedzieć, że przeszli w życiu bardzo dużo, bo np. nie spełniły się ich marzenia, nie spełniły się ich duchowe potrzeby bo nie pozwolono im na zrealizowanie siebie. I w związku z tym dzisiaj, kiedy oglądają się wstecz, to mogą słusznie zadawać sobie pytanie o to, czy to wszystko, co było wtedy, jest sprawiedliwe i godne. Byli też tacy którzy albo sami, na własne życzenie — bo i tacy niestety byli, albo złamani, albo namówieni, albo zastraszeni, albo w innych okolicznościach swojego życia, czasami bardzo złożonych, poszli na współpracę.

Pytanie brzmi: Czy należy się do tego odnieść? Ja nie mówię: „o tym mówić” — bo to jest co innego. Tylko: czy jest to ważne w ludzkich życiorysach, i czy jest to ważne w dziejach pojedynczego człowieka, czy też nie? Odpowiedziano na to po 1989 roku, że nie, to nie jest ważne. Odpowiedziano: „Gruba kreska!” Odpowiedziano, że zaczynamy od nowa, budujemy od nowa. Moim zdaniem skromnym chciałbym mocno podkreślić, że tę politykę grubej kreski uważam za fałszywą, błędną i karygodną. I tak uważam ją od początku lat 90-tych, tak ją traktuję. Otóż nie może być tak, że ofiara i ten, który prześladował, jadą na jednym wózku. Otóż ta sprawa nie dotyczy tylko tych, którzy współpracowali. Ta sprawa dotyczy także całego aparatu bezpieczeństwa, który ludzi wtedy łamał, przymuszał, upadlał, upokarzał, zakłamywał rzeczywistość. Wytworzył żargon policyjnego myślenia, wytworzył żargon policyjnego języka, który dobrze widać w rozmaitych sprawozdaniach UB-owskich i SB-owskich z tamtego okresu. Miał rację prymas wczoraj mówiąc, tylko że nie chce się go słuchać, bo to jest niewygodne, bo to podważa politykę naszych prezydentów i naszych rządów, miał prymas rację mówiąc, że kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy włączeni byli w tamten system, żyje dzisiaj bezpiecznie i w miarę zamożnie.

Otóż należało się do tego odnieść. Jeżeli się do tego nie odniesiono, nie z powodu zemsty, nie z powodu żeby kogoś skrzywdzić, to należało wobec tego, jak mi się wydaje, zamknąć tamtą przeszłość. Nawet spalić to wszystko, żeby nikt rozsądny do tego wszystkiego nie zaglądał. Albo też należało ten cały bagaż podjąć tak, jak dokonano tego w Niemczech, jak dokonano tego w Czechach, jak dokonano tego na Węgrzech, należało się do tego odnieść. Problem polega na tym, że ta polityka tzw. grubej kreski w jakimś sensie udzieliła się również Kościołowi. Także i w Kościele kolejne etapy, nazwijmy to umownie: kariery, mogli robić ludzie zarówno ci, którzy są, powiedzmy, czyści czy kryształowi, którzy nie poszli na współpracę, jak i tacy, którzy mieli rozmaite epizody w swoim życiu. Tutaj trzeba dodać, że metody — ja na tym się nie znam, na tyle tylko, na ile można popatrzeć w te papiery, a jak państwo wiedzą na co dzień pracuję z tekstem. Z tekstem Pisma Świętego, ale to jest też tekst. Tu też są gatunki literackie, formy literackie, i praca nad tekstem pozwala spojrzeć również na tamte teksty. Tekst święty daje przepustkę do refleksji nad tamtymi tekstami. Tamte teksty są pisane specjalnym żargonem, który trzeba dobrze znać, dobrze się w niego wczytać, wsłuchać, i na podstawie którego bardzo trudno jest wyrobić sobie pełną prawdę o człowieku. Dlatego że ktoś, kto sporządzał te raporty, chciał wyjść na człowieka skutecznego, z tego żył. Za to również mu płacili, kiedy zwerbował. Wydawało mu się, że zwerbował, miał wrażenie, że zwerbował. A zwłaszcza wtedy, kiedy udawało mu się kogoś pozyskać czy złamać. Zatem na

pewno są i rzeczy, które są na wyrost. Są inne, kiedy ktoś szukał współpracy z UB. Takie przypadki też niestety są, wśród duchownych również. Bywają raporty czy sprawozdania, które bardzo kogoś obciążają. Ja nie potrafię powiedzieć, czy i na ile, jak ocenić te wszystkie papiery, które dotyczą księdza, dzisiaj arcybiskupa, Wielgusa. Nie potrafię tego oceniać.

Natomiast chciałbym przejść do wątku innego, mianowicie przenieść się już do naszych czasów. Zostawiam na boku całą sprawę lat 90-tych i dwutysięcznych, kiedy to mnóstwo rzeczy zostało zaniedbane, i te 17 lat spowodowało, że dzisiaj historię piszą ci, którzy pisali ją wtedy. To jest dramat. Przenosząc się do naszych czasów — kiedy podana została wiadomość, że arcybiskupem Warszawy został ksiądz biskup Wielgus, na drugi dzień byłem w Toruniu. Rozmawiałem z tamtymi księżmi, wykładowcami na Wydziale Teologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, moimi dobrymi kolegami, wśród których biskup Wielgus był 7 lat biskupem. Wszyscy oni, na poziomie koleżeńskim nie formalnym, mówili, że bardzo żałują, że idzie do Warszawy. Dlatego, że w Płocku bardzo się do niego przywiązali i bardzo go lubią. Kiedy rozmawiałem w Warszawie z tymi księżmi, którzy pracują w Warszawie i pochodzą z Płocka, mówili dokładnie to samo. Kiedy zadzwoniłem do swojego kolegi, który jest proboszczem w diecezji łowickiej, ale bardzo blisko Płocka, i rozmawialiśmy któregoś wieczora na temat tej nominacji, powiedział mi, że był w kurii płockiej i w seminarium płockim, i rozmawiał tam z księżmi którzy powiedzieli, że bardzo, bardzo żałują, że ksiądz biskup Wielgus odchodzi od nich z Płocka. Dlatego, że bardzo są do niego przywiązani. Chciałbym państwu mocno podkreślić, że to również jest prawda o księdzu biskupie Wielgusie. Że również ksiądz biskup Wielgus nie przyszedł z pustyni i puszcy. Nie przyszedł prosto gdzieś tam z jakichś kazamatów ubowskich, i od ubowca z rozmowy. Tylko ma za sobą, powiedzmy, ileś tam lat życia, w którym był jako rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, i również jako biskup płocki. To jest ważne. Na człowieka można patrzeć pod kątem jakiegoś jedyne epizodu. Można mu zrobić zdjęcie w jakiejś jednej chwili jego życia. Ale to zdjęcie nie oddaje prawdy o tym człowieku. Ten epizod nie oddaje prawdy o człowieku. Prawdę o człowieku można dopiero rozpoznać w dłuższym procesie, w dłuższym procesie obserwowania całego jego życia. I wtedy to całe życie układa się w pewien ciąg, który dopiero nam coś o człowieku mówi. I dopiero wtedy możemy do tego człowieka się odnieść. Jeżeli byłby ktoś nieżyczliwy, w życiorysie każdego z nas znajdzie epizod który rozbudowany do karkołomnych wymiarów spowoduje, że zostaniemy ocenieni bardzo źle. Jeżeli ktoś będzie nam bardzo życzliwy, wybierze epizod dobry, i tak go rozbuduje, że wychodzimy święci za życia, co jest oczywistą nieprawdą. Zatem i prawda o biskupie to jest prawda całego jego życia. Jego dzieciństwa, jego młodości, jego studiów, jego współpracy domniemanej z UB, jego wykładów na Katolickim Uniwersytecie, jego posługi biskupiej w Płocku, jego przyjscia tu itd. Otóż w świetle całej tej prawdy dopiero możemy na człowieka spojrzeć. Każdy z epizodów, wyrwany sam w sobie, mówi nam część tej prawdy. Częścią tej prawdy jest niestety to, że jak wskazują dokumenty, ksiądz — wtedy jeszcze nie biskup — dał się uwikłać we współpracę z UB. Uważam osobiście i myślę, że po tym, co powiedziałem, mogą to państwo przyjąć w sposób właściwy, uważam osobiście, że ksiądz biskup nie dość jasno, nie dość kategorycznie, nie dość stanowczo i nie dość prawdziwie odniósł się do tej części swojej rzeczywistości.

Dlaczego tak jest — tego nie wiem. Nie jestem stróżem ludzkich sumień i nie chcę oskarżać nikogo, bo my księża znamy ludzkie sumienia aż nadto dobrze. Znamy je od strony konfesjonału i wiemy, że w jednym człowieku mieści się wszystko. Powiem, że od strony urzędów kościelnych mianowanie biskupa w Warszawie znacznie się przedłużało, nawet ponad miarę. Wyczekiwaliśmy już od początku lata przyjscia nowego biskupa. Spodziewaliśmy się zatem, że ta kandydatura będzie dobrana starannie, po dłuższym przemyśleniu, po refleksji, po sprawdzeniu, bo przecież kandydaci na biskupstwo są starannie sprawdzani. Otóż trzeba powiedzieć, że za całą tę procedurę odpowiada nuncjatura apostolska. Inaczej było do czasu nawiązania stosunków dyplomatycznych z Watykanem. W pierwszych latach prymasostwa kardynała Glempa, za czasów prymasa kardynała Wyszyńskiego nominacje biskupie szły głównie przez prymasa Polski. Od momentu, kiedy został wyznaczony nuncjusz, nominacje biskupie idą przez nuncjusza. Zatem trzeba jasno powiedzieć, że jeżeli mamy szukać jakiejś odpowiedzialności, to trzeba nam postawić pytanie pod adresem nuncjatury: czy zostały dopilnowane wszystkie procedury, wszystkie potrzebne rzeczy, żeby sprawę tę wyjaśnić? Dzisiaj w radio słyszałem, że kardynał, który jest odpowiedzialny za kongregację biskupów, twierdzi, że gdy został wyznaczony ksiądz arcybiskup do Warszawy, czyli do 6 XII, Watykan nie wiedział o

tamtych uwikłaniach. Nie nam to rozstrzygać, czy wiedział czy nie wiedział. Trzeba kardynałowi wierzyć, że nie wiedział, nie ma innego wyjścia. Gdyby tak — to dziwne. Dla nas jest to również dziwne i niezrozumiałe. Nie potrafię zrozumieć, muszę państwu powiedzieć bardzo szczerze, nie potrafię zrozumieć dlaczego, kiedy sprawa cała wypłynęła, nie została postawiona w sposób jasny, zarówno w Watykanie w odpowiednich kongregacjach, jak i wobec Ojca Świętego. Nie potrafię tego pojąć. Nie potrafię również zrozumieć dlaczego ksiądz biskup odniósł się do tego elementu swojej przeszłości w sposób nie dość jasny.

Otóż jak powiedziałem nominacja księdza arcybiskupa została przyjęta przez kapłanów, przeze mnie, z ogromną ulgą i z radością. Więc przyjmowaliśmy i traktowaliśmy każde jego słowo poważnie, wierząc jemu a nie jakiejś pierwszej czy innej gazecie. Otóż to dało nam sporo do myślenia kiedy okazało się, że prawda jest dużo bardziej złożona. Mnie się wydaje, że szczyt tego kryzysu przypadł wtedy, kiedy ksiądz arcybiskup udzielił wywiadu dla Gazety Wyborczej. Było to dla nas, dla mnie również, rozczarowanie. Gazeta Wyborcza nie jest miejscem oczyszczania Kościoła. To, co Gazeta Wyborcza robi, to jest przeczyszczanie Kościoła. Natomiast z oczyszczaniem Kościoła nie mamy tam do czynienia. Uważam, że to było niepotrzebne. Gdyby ksiądz arcybiskup był obok, powiedziałbym dokładnie to samo — uważam, że znalazło się tam stwierdzenie kuriozalne, kiedy ksiądz arcybiskup powiedział, że nikomu nie uczynił krzywdy. Natomiast jeżeli ktoś sądzi, że mu krzywdę uczynił, niech go poda do sądu. Otóż tak powiedzieć nie powinien choćby z tej prostej przyczyny, że jeżeli ktoś został ewentualnie skrzywdzony, to przecież o tym nie wie! A po drugie — jeżeli nawet o tym wie, to nie każdy, kto doznał krzywdy trzydzieści lat temu, czy dwadzieścia parę lat temu, gotów jest dzisiaj prawować się z arcybiskupem. Ludzie skrzywdzeni zazwyczaj są pokorni. Natomiast ci, którzy krzywdy nie doznali, są hardzi. I w tym przypadku to stwierdzenie wydało mi się absolutnie kuriozalne. I dlatego tak bardzo przeżywałem, kiedy ono się pojawiło. Sądziłem, wydawało mi się, że po prostu ksiądz arcybiskup wszedł na teren, na którym czuje się źle. Być może zabrakło doradców, być może zabrakło ludzi życzliwych, którzy by powiedzieli odpowiednio wcześniej. Może to jest tak, że człowiek chce zapomnieć o rozmaitych elementach swojej przeszłości? Może to jest tak, że człowiek chce wymazać? Nie wiem, nie potrafię tego ani usprawiedliwić, ani oskarżyć — mówię tylko o tym, jak to widzę.

W takim stanie — nie będziemy tutaj streszczać tego wszystkiego, co działo się później — faktem jest, że ksiądz arcybiskup objął archidiecezję warszawską. Stało się to w piątek po południu. W piątek po południu również wydał oświadczenie, w którym mówił o tym swoim potknięciu, o tej swojej współpracy, o tym swoim grzechu. Wyznał go i prosił o wybaczenie. Znow muszę państwu powiedzieć, że kiedy się patrzy krok po kroku na człowieka, to zawsze się przyjmuje to, co właśnie teraz mówi. A więc, że dokonuje się w nim zmiana. I ja także przyjąłem te słowa z ulgą, ze wzruszeniem. Natomiast ze wzruszeniem z piątku na sobotę słuchałem słów, które potem wysłuchaliśmy w kościele w dzień Objawienia Pańskiego, Trzech Króli. Tam zwłaszcza było takie zdanie: „Jeżeli mnie przyjmiecie”. „Jeżeli mnie przyjmiecie, to będę wam służył, będę budował posługę jedności itd.” Do mnie osobiście to przemówiło. Do mnie osobiście przemówiło nie dlatego, że chciałbym usprawiedliwiać to, co było wcześniej. Nie dlatego, że popatrzyłem na to w jakiś inny sposób. Nie dlatego, że bym odciążał, nie. Tylko dlatego, że wiem, że w życiu — i zawsze to państwu powtarzałem — są dwie drogi: niewinności i nawrócenia. Droga niewinności wydaje się łatwiejsza. Droga nawrócenia jest znacznie trudniejsza. Ale ona też potrafi porwać ludzi, pociągając. Też cały czas mam na względzie przypowieść o synu marnotrawnym. Był syn, który cały czas był przy ojcu, i który cały czas był ojcu wierny. I był syn, który upadł aż tak daleko, że pasł świnie i zazdrościł, że jedzą strąki, bo jemu nie dawano. I wrócił ten drugi, ale ten pierwszy mu zazdrościł i się gorszył. Otóż to jest najmądrzejsza przypowieść w całym Nowym Testamencie, bo ona bez przerwy rozgrywa się na naszych oczach. I w tych kategoriach patrzyłem również na to, co się stało w piątek. Widok skruszonego biskupa jest zawsze przejmujący, tak jak przejmujący jest widok każdego, kto ma do czynienia z innymi, i kto przez swoją postawę daje poznać, że twarzą Bożej miłości jest Boże Miłosierdzie, i przebaczenie.

W sobotę wysłuchaliśmy tego listu, który był pełen skruchy, który rozpoczynał jakiś nowy etap. Tu jeszcze tas przypominam — ksiądz biskup nie przyszedł z pustyni, ksiądz biskup ma za sobą siedem lat posługi w Płocku. a więc już ci wszyscy, którzy chcieli wiedzieć jak wypełnia swoje zadania pasterskie, mogli już tam widzieć. Nie usprawiedliwiam tego, co się wydarzyło,

nie lekceważę, nie banalizuję. Odwrotnie — raz jeszcze podkreślam: Uważam za niezrozumiałe, niewłaściwe, w pewnym sensie naganne to lawirowanie, które miało miejsce wcześniej. Uważam zresztą, że ono w jakimś sensie przyczyniło się do tego, co się wydarzyło. Może potoczyłoby się inaczej, niż się potoczyło, ale stało się właśnie tak.

I dwie ostatnie ścieżki myślowe, jeżeli państwo pozwolą. Powiedziałem, że za nominacje biskupów za informowanie Stolicy Apostolskiej, odpowiedzialna jest nuncjatura apostolska. Zatem należy wnosić, że ze strony nuncjatury jakieś procedury nie zostały dopilnowane. I trzeba jasno powiedzieć, że ta część odpowiedzialności powinna być zbadana, podjęta, wyjaśniona i również wyprowadzone z tego konsekwencje. Dlatego, że Stolica Apostolska i Ojciec Święty mają prawo i obowiązek znać rzeczywistość taką, jaka ona jest, a nie taką, jaką się farbuję. Ale jest w tym wszystkim szczegół, o którym na razie się nie mówi, albo mówi się półsłówkami. Zadziałał ktoś jeszcze, ktoś drugi, ktoś trzeci, kto doprowadził do takiego wzrostu napięcia, że sprawa stała się w sobotę i w nocy z soboty na niedzielę sprawą niesłychanie gardłową. Wygląda na to, że zainspirowały to albo działały w tym władze państwowe. Na razie o tym się nie mówi. Sprawa ta musi się wyjaśnić. Gdyby tak było — stałoby się bardzo źle. Dlatego, że jakiegokolwiek były pobudki ludzi, którzy są u steru władzy, kimkolwiek oni są, to muszą pamiętać, że nominacje kościelne i życie Kościoła rządzi się własnymi prawami, które nie są prawami polityki i politycznymi, tylko są prawami sumienia. A to jest inny porządek. Można by powiedzieć tak. Gdyby w Kościele kierować się wyłącznie rozliczeniami, gdyby kierować się wyłącznie sprawiedliwością, to nigdy Maria Magdalena nie zostałaby świętą. Gdyby kierować się wyłącznie sprawiedliwością i karać od razu, to nigdy Szaweł nie stałby się Pawłem. Gdyby kierować się wyłącznie względem na przeszłość, to nigdy Augustyn nie zostałby księdzem i biskupem i nigdy by nie napisał swoich „Wyznań”. Podziwiamy życie św. Klary, podziwiamy życie małej św. Teresy, podziwiamy życie św. Maksymiliana, podziwiamy życie ludzi idących drogą niewinności. Ale także porusza nas życie ludzi, którzy zmierzają do Boga mając określony багаż życiowych doświadczeń. Zdarza się, że te życiowe doświadczenia sprawiają, że się topią jak Judasz, który zdradził Jezusa, i który poszedł i powiesił się. Zdarza się, że te życiowe doświadczenia sprawiają, że ludzie wydobywają się na powierzchnię, a słysząc chrystusowe „Czy ty Mnie miłujesz? Czy miłujesz Mnie więcej, aniżeli ci? Czy ty Mnie na pewno miłujesz?” odpowiadają Chrystusowi tak jak Piotr, i Chrystus przyjmuje to wyznanie. To jest droga sumienia, nie droga polityki. Jeżeli więc politycy nasi weszli tu i zadziałali, i swoimi działaniami spowodowali jakieś działania Stolicy Apostolskiej które sprawiły to, co sprawiły, to też stała się rzecz, której sprzeciwiał się mocno i za którą poszedł do więzienia kardynał Stefan Wyszyński. Bo na początku lat 50-tych, kiedy władze państwowe komunistyczne uzurpowały sobie prawo do mianowania biskupów, a nawet proboszczów, to kardynał Wyszyński powiedział „Non possumus” — tej granicy przekroczyć nie możemy. Trzymajcie się swojego podwórka! Kościół kieruje się prawami sumienia. Więc poszedł do więzienia. Tego dotyczyło „Non possumus” — właśnie rozdzielenia władzy, porządku świeckiego i porządku religijnego, porządku polityki i porządku sumienia. W polityce są rozmaite gry i gierki. W sumieniu człowiek rozstrzyga pewne sprawy sam. A inni wtedy, kiedy nie może sobie z tym sam poradzić bądź jego sumienie jest chore, zakłamanie. Więc gdyby się zdarzyło tak, że przyszłość bliższa czy dalsza ukaże nam, że w tej sprawie zadziałały czynniki polityczne, to powtarzam raz jeszcze, stałoby się bardzo źle. Bo w wolnej Polsce dokonałoby się coś, co przedtem nie dokonało się w Polsce zniewolonej.

Ktoś mógłby w takim razie postawić pytanie — i państwo pozwolą, że to będzie ostatni wątek, który podejmuję — powiedzieć tak: No to gdyby nie ta interwencja, której skutkiem była decyzja o rezygnacji i przyjęcie tej decyzji przez Ojca Świętego, to by doszło do ingresu. Mówię coś bardzo osobistego. Teraz każdy z państwa może mieć własny pogląd na ten temat. A ja odpowiadam: No to co? To doszłoby do ingresu, to byłby ingres. To nie byłibyśmy pośmiewiskiem na oczach całego świata. Bo my w Warszawie mówimy: nie było ingresu Wielgusa. Nazwisko jego staje się przysłowiem. W Europie mówią: W Warszawie nie było ingresu. Warszawa staje się przysłowiem. A w świecie mówią: W Polsce nie było ingresu. Polska staje się przysłowiem. To, co było kojarzone z Janem Pawłem II, z kardynałem Wyszyńskim, nabywa zupełnie nowych skojarzeń. Otóż jeżeli ktoś chce zmieniać pamięć o Polsce w świecie, to mu się to aż nazbyt udało. Nawet najwięksi wrogowie nie mogliby zafundować takiej hecy. Otóż to, co się zdarzyło, ma ogromne skutki w świadomości chrześcijan na całym świecie. Skutki dla nas, drodzy państwo, bardzo bolesne. Nasze

miasto — mówię to bez patosu, tylko mówię tak, jak to czujemy — nie zasłużyło na pewno na to, żeby mówić o nim w takim kontekście i w takich kontekstach. Są sprawy, które trzeba załatwiać inaczej, z godnością. Skoro ten człowiek w piątek został arcybiskupem warszawskim to to, co miało być wczoraj, to była tylko kosmetyka. To nie było wydarzenie o przełomowym znaczeniu. To miał być ingres, nazwijmy to: uroczystość w gronie przyjaciół. To, co najważniejsze, dokonało się w piątek. Nie jest rzeczą normalną, kiedy takie wieści otrzymujemy podczas mszy świętej, jej sprawowania, a tak było tego dnia. Nie jest rzeczą normalną kiedy biskupi, którzy wybierają się na ingres, w samochodzie dowiadują się, że ingresu nie ma. To nie jest sprawa panny młodej, która się rozmyśliła. Przyjechali na wesele, ślubu nie będzie, ale zjedzą, wypiją i się rozjadą, a ona i tak wyjdzie za mąż. Otóż to jest sprawa, która ma bardzo dramatyczne konsekwencje. Nie tylko dla tego jednego człowieka, tylko dla nas wszystkich. Dlatego, że ona też ukazuje jakąś część prawdy, nieprawdy o nas. Więc dokonało się to w tak dramatycznych okolicznościach — ostatnie godziny — że wszystkie dzienniki na całym świecie to podawały, co państwo mogą widzieć. I skojarzenia są z nami wszystkimi — i to jest niedobre. To powie ktoś: No to byłby ingres, i byłoby niedobrze! Byłoby, w moim odczuciu, niedobrze, ale nie aż tak. Bo można było tej sprawie po ingresie powoli przyjrzeć się, wypytać, przepytąć, wyjaśnić podjąć pokutę czy skruchę. Albo też powołując się na zły stan zdrowia, na jakiegokolwiek inne rzeczy, w Wielkim Poście, w Wielki Czwartek, na majowym nabożeństwie, w czerwcu albo w wakacje, jak ludzie pojechali na wakacje, powoli rzecz załatwić z godnością dla człowieka, którego ta sprawa dotyczy, dla samej sprawy gdzie prawda — zawsze o tym mówimy — musi być realizowana z miłością. Prawda bez miłości może zwyczajnie krzywdzić. I to jest moje zdanie na ten temat.

Stało się inaczej i oczywiście, żeby nie było niejasności takich jak te, które zarzuca się księdzu prymasowi niesprawiedliwie i krzywdząco, to nie jest tak, że ja czy ktokolwiek, kto tak myśli, kwestionuje decyzję Stolicy Apostolskiej. Absolutnie nie! Decyzja zapadła i naszym obowiązkiem, zgodnie z sumieniem, jest być tej decyzji posłusznym, przyjmując ją, uszanować i starać się wyprowadzić z niej możliwe dobro. Ale to, że ta decyzja zapadła i tak się stało, nie znaczy, że została otwarta w Kościele pewna furka, że właśnie tak można było to najlepiej załatwić, albo że tak należy to załatwiać.

Myślę, że wszyscy z państwa macie w oczach, ja też, twarz księdza arcybiskupa Wielgusa. Oczywiście można próbować domyślać się, jak ona wyglądała wtedy, kiedy prowadził rozmowy z UB. Można zadać sobie pytanie, że wyglądała inaczej, kiedy miał inne sytuacje swojego życia. Ale widzieliśmy wczoraj człowieka, do którego ksiądz prymas odniósł wzór czytań wczorajszej niedzieli. Te czytania były o Słudze Pańskim. Prymas nazywał go Sługą Bożym, to jest trochę mylące. Otóż czytania dotyczyły Pieśni Sługi Pańskiego z Księgi Izajasza. To są bardzo poruszające czytania, bardzo poruszające Pieśni. I rzeczywiście w tym człowieku było wczoraj coś ze Sługi Pańskiego. Cena, jaką zapłacił, jest, można by po ludzku powiedzieć, wystarczająca. Otóż to, co się wydarzyło wczoraj, chyba nikomu nie może nasuwać poczucia satysfakcji, że oto dopełnił się jakiś rodzaj sądu, który się należał czy który był sprawiedliwy. Ja, żeby było jasne — po raz trzeci — broń Boże nie chcę usprawiedliwiać tego, co się niegdyś wydarzyło, a czego ja nie znam. Na szczęście Pan Bóg oszczędził mi czegoś takiego, jak jakieś tupania, krzyczenia, nawoływania, namawiania i współpracowania. Ale doskonale wiem, próbuję odgadywać, co się działo w sercu tego człowieka wczoraj. Bądź co bądź stojącego nie na sali sądowej tylko na mszy świętej, na której wszyscy, którzy tam byli, czy prawie wszyscy, przyjmowali komunię świętą. I on też. A więc człowieka, kapłana i biskupa, który staje przed wiernymi, na którego patrzą oczy setek, tysięcy ludzi tam i miliony ludzi przed telewizorem, śledząc każdy jego grymas, każde zmęczenie twarzy, zmęczenie oczu itd. To nie jest tak, że myślę tylko teraz o tym jednym momencie. Tylko sądzę, że to również jest prawda o nim i o jego życiu. I że na tę prawdę trzeba również zwrócić uwagę, bo to jest również prawda o człowieku. Powiem dosadnie — jeżeli ktoś popełnia wielką zbrodnię: zabija, gwałci, krzywdzi, to pokazuje się jego pasek od spodni i ręce, a twarzy nie, i inicjały: Jan S. skądś tam. A tu na widok publiczny został wystawiony człowiek w całości, z twarzą, z oczami, ze wszystkim. Każdy z nas ma w życiu chwile z powodu których nie chciałby być sądzony. One nie dotyczą tylko współpracy, dotyczą rozmaitych aspektów naszego życia. Więc myślę, że to, co się wczoraj wydarzyło, powinno nas wszystkich nauczyć jeszcze większej odpowiedzialności, dojrzałości, mądrości, obecności w Kościele. Nikt z nas nie może czuć satysfakcji, że oto spełniła się sprawiedliwość, bo byłoby to bezduszne. Sprawiedliwość

pozbawiona miłosierdzia może być jedną wielką krzywdą. Z kolei miłosierdzie bez sprawiedliwości może być naiwnością. Umiejętność godzenia jednego i drugiego to jest cecha świętych, bo ona odwzorowuje sprawiedliwość i miłosierdzie samego Boga. I myślę, że kiedy będziemy nadal śledzili to, co się dzieje, to trzeba nam będzie popatrzeć z bardzo różnych perspektyw.

Ja nie poruszałem wielu innych wątków, bo one mają inny jeszcze charakter, i jeszcze raz powtarzam, niech państwo wybaczą, że o czymś nie wspomniałem — nie dlatego, że nie mam tego w głowie, ale dlatego, że nie mam tego na języku, bo nie na to czas i nie na to miejsce. Ale to dało nam sporo do myślenia. Wbrew wszystkim, czy większości komentarzy. Sporo do myślenia dało również to, co powiedział ksiądz prymas. Ksiądz prymas jest starym człowiekiem. Przed nim już nie ma żadnej kariery. On wrócił do rzeki, z której już wyszedł. Kiedy wczoraj patrzyliśmy na niego to musimy tymi oczami spojrzeć, że go zawrócono i w jakimś sensie przymuszono, żeby drugi raz wszedł do tej samej wody. On to zrobił. On nie przygotowywał tego kazania, bo dowiedział się o nim za piętnaście jedenasta, że ma coś powiedzieć. Nie poruszał wszystkich wątków, które chciałby poruszać, tylko poruszył niektóre. Ci, co chcieliby układać mu kazania, proponują inne wątki. Ale to on sam ułożył kazanie. I warto się wsłuchać nie w to, czego nie powiedział, tylko w to, co powiedział, bo to ma swój głęboki sens. On jest ponad 25 lat biskupem, i rozmaite sytuacje współpracy, podejrzenia o współpracę, oskarżeń o współpracę, podrzucania materiałów, podrzucania rozmaitych plotek, inwigilacji — on to wszystko zna lepiej, niż ktokolwiek inny. Bo całe te brudy przewijały się zawsze przez niego. I on pracował bardzo często obok szamba i musiał udawać, że się nic nie dzieje. I na podstawie również tych doświadczeń mówił. A poza tym miał obok siebie konkretnego człowieka. I kiedy myślimy o rozmaitych trudnych sprawach, to musimy jedno mieć na względzie. Podkreśla się ciągle chrześcijański personalizm — osoba ludzka, człowiek. Człowiek jest drogą Kościoła, najważniejsza jest osoba, najważniejszy jest człowiek. To, kim on jest. To, co on czuje. Skoro tak, to i wczoraj najważniejszy był człowiek. Zawsze, w każdych warunkach. Kiedy ktoś popełni wielką zbrodnię, przestępstwo, daje mu się psychologa, daje mu się opiekę, daje mu się adwokata, daje mu się pomoc. To co? To my w naszej wspólnocie Kościoła mamy zostawić kogoś bez pomocy, bez współczucia, bez opieki? Nie po to, żebyśmy go usprawiedliwiali, tylko po to, że mamy go przekreślić?

Mówimy wiele razy, że największym wrogiem człowieka jest rozpacz. Jeżeli ktoś straci sens życia i popada w rozpacz, to dopiero wtedy kończy jak Judasz. Natomiast jeżeli ktoś choćby z najgorszego zła potrafi wyprowadzić drogę do Boga, to kończy jak Piotr. Ja myślę, bilansując to wszystko, że w jakimś sensie także od nas zależy jak kończą się drogi tych ludzi, którzy w rozmaity sposób — nie tylko tam, bo to wszystko dotyczy to także naszych rodzin, naszych bliskich, innych płaszczyzn życia, jak my obchodzimy się z ludźmi, którzy chcą wejść na drogę nawrócenia. Którzy chcą podjąć drogę pokuty. Nigdy nie jest za późno na nawrócenie. Dlatego droga sumienia jest inna niż droga polityki. Z punktu widzenia politycznego możemy kogoś wykluczyć ze stronnictwa, bo nie pasuje do danej partii. Partia go nie chce. To było w PZPR, to było w SLD, to było w PiS, to było w UW, w UD, teraz w Samoobronie i Bóg wie gdzie. W Kościele nikogo nie możemy wykluczyć z Kościoła — chyba, że sam z niego wyjdzie. Natomiast w Kościele klęka obok siebie i święty i grzesznik. I jeden drugiemu jest potrzebny. I jeden od drugiego się uczy. Bo świętość bez tego drugiego nie byłaby aż tak atrakcyjna. Natomiast nawrócenie bez świętości byłoby niemożliwe. I to jest również droga do tego wszystkiego, co wydarzyło się w ostatnich dniach.

Co nam zostaje? Nie słuchać bzdur, głupot o pęknięciu, o kryzysie, o nie wiadomo czym w Kościele. Kościół wtedy pęka, kiedy pęka człowiek, ten konkretny pojedynczy człowiek. Kościół zawsze się odnawia, kiedy w tym Kościele jest silna wiara choćby jednego człowieka — to on jest załącznikiem nowej przyszłości. A jeżeli tych ludzi będzie więcej, to oczywiście i siła Kościoła jest znacznie większa. Zatem wszystko to, co się dzieje, nawet rzeczy tak trudne jak wczorajsza, mogą stawać się felix culpa, mogą stawać się błogosławioną winą. I kiedy przychodzi nam oceniać te rzeczy, patrzeć na nie, to zawsze pamiętajmy, miejmy wzgląd na swoje własne życie. A jeżeli ktoś dochodzi do wniosku, że należy coś zmieniać, trzeba coś zmienić — teraz bez przerwy słyszą państwo, że trzeba zmienić — to zapytajmy tak, jak św. matka Teresa z Kalkuty. Kiedy wskazano na rozmaite słabości i grzechy w Kościele i zapytano: «Matko, co trzeba zmienić, kto musi się zmienić?» to ona odpowiedziała: „Ty i ja najpierw. A potem inni.” I to jest znów droga sumienia. Więc z tego wszystkiego wyprowadzamy również wnioski dla siebie. Dla nas samych. A myślę, że największą

siłą i największą odpowiedzialnością nas wszystkich jest wielki dar modlitwy. Jeżeli ktoś jeszcze nie potrafił się modlić to myślę że w tych warunkach modlitwa przychodzi łatwiej, niż kiedykolwiek.

Wprowadzając zatem w konferencję, do której przejdziemy na następnym spotkaniu: *Czy w Kościele potrzebni są biskupi?* A może Kościół mógłby obejść się bez biskupów? Może wystarczyłoby: ot wierni, Pan Jezus, ja? Może wystarczyłby ołtarz, może wystarczyłaby pobożność indywidualna, obrazy, statuetki? Dlaczego w Kościele potrzebni są biskupi? Otóż biskupi są potrzebni z trzech powodów.

Jeden powód, jedna przyczyna — to zadaniem biskupów jest nauczanie. Nauczanie o Chrystusie i troska o czystość Ewangelii. Jeżeli nie byłoby troski o czystość Ewangelii, o jej wierny przekaz, to Ewangelia i jej głoszenie poszłyby w bardzo różnych kierunkach, tak jak stado koni, zaprzęgniętych do jednego powozu. Państwo widzą doskonale ile w naszych czasach, a i dawniej, ukazują się rozmaitych tekstów religijnych, pseudoreligijnych, antyreligijnych, parareligijnych, parodiujących religię itd. Wystarczy zajść do pierwszej lepszej księgarni żeby zobaczyć, że potrzebna jest troska o nauczanie. Zadaniem biskupów jest troska o nauczanie. Ja dam państwu tylko jeden przykład tego, najbardziej wymowny, który mnie dotyczy. Uczę na Wydziale Teologicznym. Ale każdego roku na Wydziale Teologicznym każdy z nas, kimkolwiek jest — świeckim czy duchownym, mężczyzną czy kobietą — musi mieć tzw. misję kanoniczną. Czyli musi mieć zgodę biskupa na to, że może wyklądać. Ponieważ to, co wykląda, jest nauką Kościoła. My nie możemy głosić własnych pomysłów, hipotez, interpretacji. Gdyby to w tym kierunku poszło, to wierni otrzymaliby bigos, który byłby całkowicie niestrawny. Obowiązkiem biskupów jest troska o czystość nauczania na każdym szczeblu. To jest pierwsza powinność biskupów.

Druga powinność biskupów to jest uświęcanie. Otóż biskup jest jak drogowskaz, który pokazuje kierunek ku Chrystusowi. Ale jednocześnie biskup jest pierwszym, który powinien w tym kierunku pójść. On sam w sumieniu rozstrzyga czy i na ile podejmuje i wykonuje to, czego naucza. Uświęcanie polega na tym, żeby to, co mówi, odnosić do siebie, brać do siebie, przeżywać, i być wzorem dla innych. To znaczy żeby życie biskupa, żeby jego postawa, żeby jego czyny, były odbiciem, odwzorowaniem świętości Boga. Po to potrzebni są biskupi. Jedni robią to tak czytelnie, że porywają wiernych. W życiu innych może to być zamazane. Ale tak jest w życiu każdego z nas. Z tego jednak będą zdawać sprawę przed Bogiem.

I wreszcie trzeci wymiar biskupiej posługi to jest rządzenie. Biskup rządzi diecezją. Otóż żeby coś dobrze rządzić to trzeba być człowiekiem prawym, szlachetnym, sprawiedliwym, dalekim od podlizywania się i od otwartości na podlizywaczy — bo tam, gdzie jest władza, to zawsze jest pełno tych, którzy chcą się jej podobać. I może być tak, że rację ma ten, kto wychodzi ostatni. Jeżeliby coś takiego się biskupowi przydarzyło to znaczy, że nie umie rządzić. Biskup musi umieć rządzić. Musi być w tym prawy, logiczny, sprawiedliwy. I jeszcze jedno — nie może być pamiętliwy. Musi odróżniać pamięć od pamiętliwości. Wyobraźcie sobie państwo: gdyby kardynał Glemp, który jest ponad dwadzieścia parę lat biskupem, uprzedził się do jakiegoś księdza, który w młodości, nie wiem, co tam zrobił, jakiś drobiazg czy nie drobiazg, i gdyby przez całe ćwierć wieku patrzył na niego tylko przez pryzmat tego, co się dowiedział. To przecież byłoby dla tego człowieka nieszczęście. Rządzenie polega na tym, żeby nie być pamiętliwym człowiekiem. Żeby dać szansę każdemu pamiętając, że każdy człowiek może zawsze zaczynać od zera.

Jeżeli to weźmiemy pod uwagę, to proszę zwrócić uwagę na to, że bardzo trudno jest znaleźć dobrych kandydatów na biskupa. Jeszcze trudniej bardzo dobrych — takich, którzy umieją uczyć, którzy umieją uświęcać i sami są święci, i takich, którzy umieją rządzić. Połączenie tych kwalifikacji tworzy postaci absolutnie charyzmatyczne, niezwykle, jak kardynał Stefan Wyszyński. Normalnie osiągnięcie tego ideału jest trudne. Co pozwala biskupom wykonywać ten ideał? Co pozwala iść tą drogą? Odpowiedź jest jedna: sukcesja apostołska. Świadomość, że swoją władzę otrzymują nie z politycznego nadania — wracam tu do momentu, o którym mówiłem — tylko otrzymują wszczepieni w długą tradycję Kościoła dzięki której, kiedy biskup nakłada rękę na jakiegoś kapłana, księdza, i przez to konsekruje go, to ten gest nałożenia rąk sięga początkami czasów apostołskich. To można go prześledzić aż do Piotra, Pawła, Andrzeja, Jana, Jezusa. Nie zawsze można go prześledzić z imienia i nazwiska, ale w Kościele troska o sukcesję jest sprawą podstawową. I świadomość, że biskup jest spadkobiercą apostołów, świadomość pozwala mu czerpać to same światło Ducha Świętego, które kierowało apostołami w dzień Zesłania Ducha Świętego.

I na koniec: kto może być biskupem? Biskupem może być, powiada kodeks prawa kanonicznego, wyświęcony na kapłana mężczyzna, ksiądz jednym słowem. Świecki człowiek musiałby najpierw otrzymać święcenia kapłańskie, a potem być wprowadzony w posługę biskupią. Stosownie do tego są cztery typy księży. Jedni, typ pierwszy, to chcą być biskupami, i nimi zostają. I zdarza się, że to jest dobrze, i zdarza się, że to jest źle. Druga grupa to są księża, którzy chcą być biskupami, ale nimi nie zostają. I zdarza się, że to jest dobrze, i zdarza się, że to jest źle. Trzecia grupa to są księża, którzy nie chcą być biskupami, a nimi zostają. I zdarza się, że to jest dobrze, i zdarza się, że to jest źle. I czwarta grupa to są księża, którzy nie chcą być biskupami, i nimi nie zostają. I zdarza się, że to jest dobrze, i zdarza się, że to jest źle. Kiedy więc państwo patrzą na księdza, to pomyślcie sobie do której kategorii należy.

Na dzisiaj tym spokojniejszym, o ile można go spokojnym nazwać, akcentem kończymy. Mam nadzieję, że te następne dni dadzą nam wszystkim wytchnienie, przyniosą uspokojenie, przyniosą również wyjaśnienie. Pamiętamy w naszych modlitwach w intencji całego Kościoła warszawskiego, o tych, którzy chwieją się w wierze, bo dla nich to szczególny czas próby. Także w intencji wszystkich osób, których cała ta bardzo bolesna sprawa dotyczy. I miejmy nadzieję, że z tego wszystkiego Pan Bóg też wyprowadzi jakieś dobro.

Natomiast za miesiąc podejmę z państwem — nie wiem, czy będzie już biskup nowy — refleksję nad tym, jak Nowy Testament patrzy na posługę biskupa. Kim jest biskup według Nowego Testamentu? Jaki powinien być, jak powinien spełniać swoje zadania? Na tę konferencję zapraszam w trzeci poniedziałek lutego, czyli 19 II. Miejmy nadzieję, że wtedy nasza refleksja, pogłębiona o Nowy Testament, nabierze nowej treści.

A teraz pomódlmy się na koniec w intencji tego, kto był głównym bohaterem naszej dzisiejszej refleksji. Pod Twoją obronę . . . Królowo Apostołów . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . .

5 Przymioty biskupa wg. św. Pawła (19 lutego 2007)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Dobry wieczór. Ojciec nasz ... Stolico Mądrości ...

Jeszcze raz, kolejny raz bardzo serdecznie państwa witam. Tym razem mamy już luty 2007 roku, okoliczności nam się ciągle zmieniają. Chyba najtrudniejsze spotkanie, jakie do tej pory mieliśmy w ciągu tych dwudziestu lat, od kiedy prowadzę spotkania, konferencje biblijne w parafii Opatrzności Bożej i tutaj w parafii Zwiastowania Pańskiego, najtrudniejsze spotkanie mamy — tak mi jej przynajmniej nadzieję — za sobą. To było to spotkanie przed ponad miesiącem, kiedy to dane nam było wspólnie spotkać się nazajutrz po niedoszłym ingresie księdza arcybiskupa Stanisława Wielgusa. Myślę, że państwo dobrze pamiętają atmosferę tamtej niedzieli 7 stycznia, dobrze pamiętamy również atmosferę naszego spotkania. Dzisiaj upłynęło już od tamtej pory znacznie ponad miesiąc, prawie półtora miesiąca. I wracając na chwilę do tego, co się wtedy wydarzyło, bo też problem czy też wydarzenia mają związek także z treścią naszych tegorocznych konferencji, wracając do tego na chwilę chciałbym zwrócić uwagę państwa na dwie, może na trzy rzeczy. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że to wszystko przedmiot do dyskusji. Te dyskusje odbywały się w domach, te rozmowy były na pewno w miejscach pracy, ze znajomymi, z przyjaciółmi, z najbliższymi, z przypadkowymi osobami. Takich rozmów mamy za sobą pewnie wiele, dziesiątki, a niektórzy jeszcze więcej, i nie będziemy się nad tym dzisiaj więcej zatrzymywać. ale myślę, że są rzeczy, które dają do myślenia.

Rzecz pierwsza, która daje do myślenia, to niech państwo zwrócą uwagę, że przez te półtora miesiąca już nikogo prawie wyjaśnianie tej sprawy nie interesuje. Nikt nie próbuje dowieść co się wydarzyło, nikt nie próbuje dowieść jaki charakter miała ta domniemana czy rzekoma współpraca. Nikt nie próbuje dowieść szczegółów, nikt nie próbuje analizować dokumentów, nikt nie próbuje odnajdować ludzi, którzy te dokumenty produkowali. Przecież ci ludzie żyją wśród nas. Być może niektórzy umarli, ale zdecydowana większość na pewno nie. Mają dobre, wysokie emerytury, na pewno państwo wiedzą, że niektóre z tych emerytur dochodzą do 6 tys. zł na miesiąc — to jest duży pieniądz w naszych warunkach. Nikt tego nie dochodzi, nikt tego nie dowie, i to jest pierwsza sprawa. Dlaczego przedtem było to tak bardzo ważne? Dlaczego w momencie, kiedy do ingresu nie doszło, to przestało być ważne? To nam daje bardzo, bardzo dużo do myślenia. Powinniśmy tę okoliczność mieć na względzie — że jest w tym to coś, nad czym nie można przejść do porządku dziennego.

Okoliczność druga. Kiedy sam arcybiskup poprosił o lustrację, o auto-lustrację, okazało się że to jest trudne, a nawet podnoszą się głosy, że to jest niemożliwe. Otóż zatem można człowieka podeptać, można człowieka ośmieszyć, można go zohydzić, wyszydzić, można go ustawić na celowniku, można doprowadzić wręcz do śmierci publicznej — a kiedy się to wszystko zdarzy to potem on nie może swojego dobrego imienia w żaden sposób oczyścić. Co prawda arcybiskup złożył papiery i prośbę o dokonanie tej auto-lustracji, o przegląd i staranną analizę wszystkich dokumentów, które jego dotyczą, ale na razie nie widać chętnych, którzy by się tego podejmowali. A pojawiły się tam bardzo poważne wątpliwości co do autentyczności części z tych dokumentów. I przypomnijmy raz jeszcze to, co powiedzieliśmy przed miesiącem, że były sprawy, które ksiądz arcybiskup sam już teraz, w styczniu, powinien był inaczej, przynajmniej w moim przekonaniu, lepiej załatwić. Ale z całą pewnością także ma prawo do tego, żeby wystąpić i tę sprawę, która go bezpośrednio dotyczy, wyjaśnić.

I okoliczność trzecia, która też daje do myślenia. Mówił o tym parę dni później po naszym spotkaniu ksiądz prymas na spotkaniu z nami, z kapłanami dekanatu ochockiego. Zwrócił uwagę, że nigdy w dotychczasowych dziejach naszej archidiecezji, a zapewne i w dziejach Polski, nie miała miejsca podobna sytuacja, jaka wydarzyła się właśnie 7 stycznia. Nigdy, nawet w okresie zaborów nie było tak że biskup, który został wyznaczony przez papieża, w ostatnich godzinach został z urzędu odwołany a ingres, którego szczegóły zostały drobniogowo przygotowane, ten ingres się nie odbył. Otóż coś podobnego, wydarzenie o takim zasięgu, o takiej randze, o takiej sile destrukcji, weszło do annałów, jeżeli tak można powiedzieć, Kościoła katolickiego w Polsce. Jestem przekonany, że niezależnie jak dalej się sytuacja potoczy, muszą znaleźć się ludzie, którzy tę sytuację, to, co się wydarzyło, wyjaśnią do samego końca. Wyjaśnią kto i dlaczego doprowadził do takiej sytuacji. Wyjaśnią dlaczego tak się stało, czy mogło też stać się inaczej. Czy nie można było tego wszystkiego

ewentualnie wyjaśnić później, jeżeli były jakieś problemy. Wreszcie jaki z tym wszystkim — bo trzeba nazywać rzeczy po imieniu, bo w środkach masowego przekazu o tym ani słowa — jaki był w tym wszystkim udział władz państwowych. To znaczy kto i na ile maczał palce, bo czy — to na pewno tak. Kto i na ile maczał palce w tym, żeby w ostatnią noc przed ingresem metropolity warszawskiego doprowadzić do tak wielkiego zamieszania, do tak wielkiej konfuzji, która właściwie wszystkim w tej chwili tak służy mniej więcej, jak stary budyń. Otóż nikt o tym specjalnie nie mówi. Zwróćmy uwagę, że także w Warszawie, także w Kościele jest taka atmosfera, jak w domu przedpogrzebowym. Tzn. to, co najgorsze, mamy już — tak przynajmniej mamy nadzieję — za sobą, ale jednocześnie nie wiadomo, jak się wobec tego wszystkiego zachować. Mogę państwu powiedzieć też z pełnym przekonaniem, że taka swoista konfuzja, takie zamieszanie, taka konsternacja istnieje także w środowiskach i poza warszawskich, i na terenie Polski, i również w Rzymie. Dlatego, że nie jest to rzecz normalna, żeby coś podobnego miało w Kościele miejsce.

Z tego wszystkiego nasuwa się jeden wniosek. Myślę, że nie jest to wniosek ani przesadzony, ani niesprawiedliwy. Ten mianowicie, że raz jeszcze staje się wyraźne, że Kościół nie ma samych tylko przyjaciół. Że są ludzie, są środowiska, są kręgi, i to dysponujące różnymi możliwościami w różnych dziedzinach życia, które są gotowe do destrukcji, także Kościoła i w Kościele za wszelką cenę. Tak było w tzw. minionym okresie — czy i na ile on minął to osobna sprawa — i tak jest niestety w tej sytuacji, w jakiej żyjemy i z którą mamy do czynienia dzisiaj. Nie jest to specjalnie obiecujące. Ale z drugiej strony nie jest to specjalnie zatrważające jeżeli się zważy, że właściwie zawsze tak było. Zawsze Kościół stanowił znak sprzeciwu, podobnie jak znak sprzeciwu stanowił Chrystus. I stąd trzeba się liczyć z tym, i to podkreślamy sobie z państwem zwłaszcza, bo to jest szczególnie audytorium, trzeba się liczyć z tym, że Kościół potrzebuje takich ludzi, którzy są mężnymi świadkami swojej wiary, którzy mają świadomość, rozeznanie na tema tego, co się dzieje, którzy umieją do tego wszystkiego podchodzić z dystansem, i którzy przede wszystkim widzą, upatrują, przeżywają duchowy wymiar Kościoła. Ja muszę państwu powiedzieć — to ostatnia uwaga do tego — że jeszcze jedna rzecz mnie zastanawia, która ma z tym związek. Mianowicie że kiedy w telewizorze, zwłaszcza w Wiadomościach, które zrobiły się w ciągu tego półtora miesiąca niesłychanie zagadkową audycją, zagadkowym programem, mniej informacyjnym a bardziej formacyjnym, można by tak to powiedzieć, prowadzą przedziwną politykę. Otóż w tych Wiadomościach jedynymi komentatorami tej sprawy księdza arcybiskupa Wielgusa są ciągle te same dwie osoby, które to — jeżeli tak można powiedzieć — wzniciły, zapoczątkowały, podgrzewały i dzisiaj podgrzewają to tak, jak podgrzewa się smażoną jajecznicę kolejny raz, robi się to niestrawne. To też jest jakoś znaczące.

Ja muszę powiedzieć państwu, że i w naszych kręgach, duchownych, w Kościele, na uczelniach jest taka atmosfera swoistego oczekiwania. Oczekujemy ciągle na nominację nowego księdza arcybiskupa, chociaż nie jest to oczekiwanie, jeżeli tak można powiedzieć, takie żarliwe, takie gorące, takie radosne. Dlatego bo po tej konsternacji, po tym upadku to trochę tak jak bokser, który musi się podnieść, i musi dojść do siebie bo otrzymał dość potężny cios. I myślę, że był to dość potężny cios dla Kościoła katolickiego w Polsce. Po śmierci Jana Pawła II jesteśmy postawieni wobec bardzo trudnej próby, wobec bardzo ciężkiej próby, z której Kościół powinien i musi wyjść zwycięsko. To państwu kiedyś powiedziałem: „Jeżeli nas nie złamią, to nas umocnią”. I musi tak być, że z tego starcia, bo to jest jakiś rodzaj konfrontacji, trzeba będzie wyjść obronną ręką i z godnością. Oczywiście któregoś dnia arcybiskup warszawski będzie. Ksiądz prymas, który jest teraz i sprawuje tę funkcję, bardzo to wszystko też przeżywa, to nie jest sytuacja normalna. I z tego powodu również tym więcej potrzeba wzajemnego zrozumienia pomiędzy tymi, którzy w Kościele sprawują władzę, a wiernymi. Dlatego że najgorszym owocem czy najgorszym rezultatem tego rodzaju trzęsienia ziemi byłoby to, gdyby został wbity klin między tymi, którzy są odpowiedzialni za Kościół, i tymi wszystkimi, którzy ten Kościół tworzą razem z odpowiedzialnymi, no właściwie z wiernymi. Jest to bardzo ciężka próba, której pewnie i Jan Paweł II nie przewidział. Próba, do której trzeba by raz jeszcze mieć kogoś tak niezłomnego, tak wielkiego, tak dalekowzrocznego, jak kardynał Stefan Wyszyński. Być może któregoś dnia taki człowiek się pojawi, który przeprowadzi nas przez te rafy i zawirowania.

Dzisiaj wróćmy raz jeszcze do Pisma Świętego, do Nowego Testamentu. I temat, który podejmiemy, bardzo ściśle w gruncie rzeczy łączy się z tym. Mianowicie podejmiemy pytanie, które

postawiliśmy sobie parę tygodni temu, ale odpowiadając na nie w kontekście tych dramatycznych wydarzeń. Dzisiaj podejmiemy je bardziej spokojnie. Mianowicie czy w Kościele potrzebna jest hierarchia, dlaczego potrzebny jest biskup. I jaki powinien być biskup, jaki jest wzorzec, model, ideał biskupa. Kto to jest biskup? Dlaczego musimy mieć biskupa? Czy nie moglibyśmy wyobrazić sobie Kościoła bez biskupa? Otóż lektura Nowego Testamentu nie zostawia wątpliwości, że od samego początku struktura Kościoła, budowa Kościoła pojmowanego jako społeczność ludzi wyznających Chrystusa, jako społeczność wiernych, którzy wyznają Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego i zmarłego, że ta struktura zawiera w sobie również ten wymiar, który byśmy nazwali pionowy, wertykalny, mianowicie ten wymiar, który po grecku nazywano *episkopos*. Słowo „episkopos” znaczy po polsku „nadzorca”. Nie tyle „dozorca”, bo to bardziej fizyczna funkcja, ile „nadzorca”, „pasterz”, „strażnik”, „ktoś, kto dogląda”. To greckie *episkopos* zostało spolszczone po długiej ewolucji w wymowie, zostało spolszczone i brzmi *biskup*. *Episkopos* i *biskup* to wbrew pozorom jeden i ten sam rdzeń, tylko nasz język ma swoją specyfikę. Więc ta ewolucja była dość ciekawa że zaowocowała słowem *biskup*. *Biskup* znaczy po polsku „nadzorca”, „ktoś, kto strzeże”, „ktoś, kto pilnuje”. Można by powiedzieć, że w osobie biskupa i w posłudze biskupa najpełniej widać obecność Chrystusa w Kościele. Chrystus bowiem jest Pasterzem Kościoła. Patrzymy dzisiaj, mówiąc o tym, nie w kategoriach socjologicznych, psychologicznych, jakichś czysto społecznych, ekonomicznych, politycznych. Patrzymy na Kościół w kategoriach duchowych, bo właśnie w kategoriach duchowych i religijnych Kościół jest tą rzeczywistością, gdzie specyfika Kościoła zaznacza się najbardziej. Otóż Kościół jest po to, Kościół istnieje po to, żeby łącząc wiernych umacniać ich między sobą, scalać, integrować i właśnie w tej wspólnotce wyznawania tej samej wiary prowadzić ich do Pana Boga. Dlatego, że we wspólnotce jesteśmy silniejsi. We wspólnotce jesteśmy mocniejsi, we wspólnotce jesteśmy bardziej bezpieczni niż indywidualny człowiek. Można wyznawać Pana Boga, można wyznawać Chrystusa indywidualnie, pojedynczo. I zdarza się tak np., że w jakichś okolicznościach życia przychodzi człowiekowi tę wiarę wyznawać właśnie na podobieństwo samotnej wyspy. Ale najnormalniejszą sytuacją jest sytuacja wspólnotowego wyznawania wiary. Bo wtedy sami dla siebie nawzajem jesteśmy zachętą, jesteśmy siłą, jesteśmy wsparciem, pocieszamy siebie nawzajem, dajemy sobie nawzajem otuchę. Zatem Kościół stanowi społeczność, i ten Kościół porównany jest w Starym Testamencie jako wspólnota Ludu Bożego Pierwszego Przymierza, a w Nowym Testamencie już jako Kościół Chrystusa, porównany jest do trzody. I trzoda ma pasterza. Ale tu musimy użyć pewnego obrazu, który mógłby być humorystyczny, gdybyśmy tylko na poziomie zewnętrznym pozostali. Otóż kiedy my mówimy, myślimy sobie w naszym regionie świata: „pasterz” to wyobrażamy sobie pasterza tak, jak pasterza krów dla przykładu. Bo to jest widok, który tu w naszej części Polski, w naszej części Europy, jest najczęstszy. Widzimy więc, poczynając od wiosny, przez całe lato do wczesnej jesieni, widzimy krowy, za krowami idzie pasterz. I on idzie za nimi! To jest nasz widok! Czasami on te krowy pogania, czasami je uderza, czasami je zabiega, żeby gdzieś tam nie chodziły na bok. Ja myślę, że paradoks polega na tym, że może się zdarzyć, że zarówno wierni jak i duchowni pojmują posługę pasterza w naszych warunkach właśnie tak. Pojmują wiernych jako takich, których się pędzi gdzieś. Którzy gdzieś tam idą w jakimś kierunku, a ten pasterz — czy to będzie biskup czy to będzie kapłan, o czym za chwilę — jest za nimi i ich goni. Jeżeli trzeba, to gdzieś tam smagnie po plecach. Nie musi to być bicz, wystarczy, że to słowo będzie, ono będzie jeszcze mocniejsze i jeszcze bardziej bolesne niż bicz. Że gdzieś zwróci uwagę na niedogodności. I zawsze patrzy, ma tych wiernych przed sobą.

Otóż nie o takiego pasterza na Bliskim Wschodzie i w Piśmie Świętym chodziło. To nie jest pasterz od krów, to jest pasterz od owiec. A pasterz od owiec to zupełnie inna rzeczywistość. Tam pasterz idzie jako pierwszy. Być może państwo to widzieli, a kto był na pielgrzymce na Bliskim Wschodzie czy w krajach Śródziemnomorza, to na pewno widział. Pasterz idzie pierwszy, a owce idą za nim. Otóż to jest zupełnie inny model pojmowania swojej posługi, pojmowania duszpasterstwa. On idzie pierwszy w kierunku, który zna albo o którym sądzi, że zna, umacniany przez Tego, który go prowadzi. Natomiast wszystko to opiera się na zasadzie zaufania. Owce idą za nim, bo znają jego głos, bo słyszą jego głos. Owce idą za nim dlatego, bo znają jego przyzwyczajenia. Owce idą za pasterzem bo wiedzą, że tam są bezpieczne. I to jest model biskupa jako pasterza, to jest model nadzorcy, to jest model tego pilnującego, tego strzegącego.

Otóż najważniejszą rzeczą, najważniejszą rzeczywistością, która powinna łączyć biskupa z jego

wiernymi, biskupa a także innych duchownych, o czym za moment, z wiernymi, to jest zaufanie. Jeżeli nie ma zaufania, jeżeli nie ma tej ufności wiernych do tych, którzy im przewodzą, to oczywiście cała ta nasza ludzka, człowiecza, chrześcijańska trzoda przeobraża się bardziej w stado — przepraszam, musimy użyć tego porównania, tych krów nieszczęśliwych — które ktoś tam z tyłu pogania i popycha do przodu. Przy czym one nie zawsze wiedzą dokładnie, gdzie to pastwisko się znajduje. Otóż bardziej przypomina tamtą rzeczywistość niż tę rzeczywistość, kiedy wierni podążają w kierunku, który wskazuje człowiek któremu oni ufają. Otóż biskup, ów episkopos, ów nadzorca, to jest człowiek, który powinien wskazywać drogę. A cel jest zawsze jeden, mianowicie Chrystus. W Piśmie Świętym struktura jest jednak trójstopniowa. Mianowicie obok tego stopnia episkopos, biskup, mamy jeszcze drugi stopień. To są osoby nazywane *prezbiteros*, w liczbie mnogiej *prezbiteroj*, spolszczone jako *prezbiter*. My rzadko mówimy „prezbiter”, bodajże we wspólnotach neokatechumenalnych jest to nazwa używana. Mówimy po prostu *kapłan* lub prostu *ksiądz*. Otóż biskup jest znakiem jedności Kościoła. Natomiast zadaniem księdza, zadaniem kapłanów jest sprawowanie posługi sakramentalnej i sprawowanie posługi nauczania. Te dwie posługi: sakramenty święte i nauczanie, to są nieodłączne prerogatywy, przywileje kapłana. To jest to, co kapłan powinien czynić. Otóż czyni to w jedności ze swoim biskupem. Podobnie jak wierni przypisani są wszyscy do swojego biskupa. Zawsze to jest tzw. biskup miejsca.

I wreszcie trzeci stopień, który mamy w Piśmie Świętym wyraźnie wskazany. To jest stopień, który nosi nazwę *diakonos*. *Diakonos*, spolszczone jako *diakon*, to jest *sługa*, po prostu „sługa”. Oczywiście nie niewolnik, bo istniała w starożytności ogromna różnica między niewolnikiem a sługą. Sługa to był ktoś zaufany. Kto był domownikiem, kto wypełniał wszystkie polecenia pana nie dlatego, że pan mu nakazywał, ale dlatego, że on je doskonale znał. Komu w bardzo wielu okolicznościach życia to pan był raczej posłuszny bo dobrze wiedział, że sługa ma doskonale rozeznanie o tym, co w domu i w okolicy jest potrzebne. I w Kościele również od początku byli diakoni, którzy byli przeznaczeni przede wszystkim do posług materialnych. Tzn. do troski o ludzi chorych, cierpiących, biednych, o przysłowiowe sieroty i wdowy. Oni zajmowali się rozdzielaniem dóbr. Oni zajmowali się zbieraniem składek na potrzeby poszczególnych Kościołów, poszczególnych wspólnot. Oni to rozdawali, roznosili, pomagali. A więc troszczyli się o to, aby we wspólnocie wiernych nie było nikogo, kto by cierpiał. Był to praktyczny wyraz i wymiar solidarności.

Kiedy tak patrzymy na strukturę Kościoła, to państwo zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, że ten Kościół musiał mieć od samego początku owych episkopoj — nadzorców, owych prezbiteroj — kapłanów odpowiedzialnych za posługę sakramentów i słowa, i owych diakonoj — diakonów odpowiedzialnych za zaspokajanie potrzeb materialnych. Tak było od samego początku. W tym znaczeniu Kościół nigdy nie był jakąś instytucją „demokratyczną” (w cudzysłowie), takich zresztą instytucji w świecie nie ma. Są tylko nazwy, natomiast rzeczywistość jest daleko bardziej złożona, niż nazwy. Więc Kościół od samego początku miał tę strukturę. I na czym polegała pewne trudność, wyzwanie związane z tą strukturą?

Na tym mianowicie, że od tych, którzy piastowali jeden z tych trzech stopni: biskup, kapłan albo diakon, wymagano znacznie więcej, niż od innych, niż od przeciętnego wiernego. Wymagali wierni, znacznie więcej. I ci ludzie, którzy sprawowali te trzy posługi, i sprawują je nadal, byli powołani do tego, by wymagać od siebie znacznie więcej. Zatem można by powiedzieć, że takim znamieniem tej hierarchicznej struktury Kościoła jest przede wszystkim poczucie odpowiedzialności. Ci, którzy byli, i są, biskupami, kapłanami i diakonami, są przede wszystkim powołani do tego, by być świadkami Jezusa Chrystusa, by o Nim świadczyć. Zanim przejdę do przeczytania państwu fragmentu Listu św. Pawła do Tymoteusza, który opowiada, wskazuje jaki powinien być biskup, to zwróćmy uwagę na rzecz bardzo prozaiczną. Tę mianowicie, że od biskupów, od kapłanów, od diakonów zawsze wierni mają prawo wymagać więcej, i trzeba wymagać więcej. Bo taka jest cena świadectwa. Biskupami jak wiemy, że przechodzimy tutaj na płaszczyznę bardziej prozaiczną, mogą być w Kościele, w Kościele tradycyjnym, prawosławnym, katolickim, mogą być wyłącznie mężczyźni. Zaraz do tego jeszcze dojdziemy. Kapłanami — ten drugi stopień, prezbiteroj — mogą być wyłącznie mężczyźni. Coraz to podnoszone są, zwłaszcza w naszych czasach głosy, czy nie dopuścić do tej posługi prezbiteroj, i episkopoj również, kobiet. Ale Kościół opiera się tutaj na praktyce, która istniała od początku, od czasów Jezusa Chrystusa. Mianowicie na swoistym naśladowaniu Chrystusa polegającym na tym, że do swojego najbliższego grona wybrał On wyłącznie mężczyzn,

i że ci mężczyźni byli przy Chrystusie przez całe jego dorosłe życie. Chociaż nie znaczy to, że w Jego otoczeniu nie było kobiet, kobiety również były. Być może były nawet także podczas Ostatniej Wieczerzy, np. Najświętsza Maria Panna czy te kobiety, które były pod krzyżem. Być może. Maryja na pewno była w Wieczerniku. Ale jednak od samego początku w strukturze najbliższej Chrystusowi byli mężczyźni. Dlaczego tak się działo? Możemy odpowiedzieć tak: Być może były jakieś uwarunkowania kulturowe, społeczne, historyczne, taki był świat starożytny, taki był świat semicki, taki był świat żydowski. Być może jesteśmy tutaj dziedzicami kultury, spuścizny całej wielowiekowej, tradycji, przyzwyczajęń, stereotypów itd. Ale z drugiej strony pojawiają się też głosy — nie wiem czy i na ile, godne rozważenia czy rozsądne, że konstrukcja, jeżeli tak można powiedzieć, duchowa mężczyzny jest ze zrozumiałych względów inna niż konstrukcja duchowa kobiety. I kto wie czy, powiedzmy, sprawowanie zwłaszcza o charakterze bardziej społecznym, więcej przez kobiety tego rodzaju funkcji, czy dobrze by w Kościele zrobiło. To znaczy czy i na ile, w jakim sensie, zadawano sobie także i to pytanie. Ja go nie rozstrzygam, bo się na tym po prostu nie znam i szczerze mówiąc nigdy się nad tym bardzo nie zastanawiałem: ale czy i w jakim sensie kobieta mogłaby pełnić funkcję przywódczą. Zastanawiano się nad tym np. wśród Ojców Kościoła, wśród starożytnych jeszcze Ojców Kościoła. I tam pojawił się bardzo ciekawy głos, może troszeczkę złośliwy ale chyba nie do końca nieprawdziwy. Mianowicie że gdyby kobietom powierzyć funkcję przywódczą to być może mężczyźni by za nimi poszli — napisał Grzegorz z Nazjazu — ale inne kobiety nie! Więc to jakiś wymiar psychologiczny. Czy tak byłoby, czy nie, czy Grzegorz ma rację, czy nie ma racji, sprawa osobna, ale problem istnieje.

Jeżeli chodzi o diakonów, rzecz ma się inaczej. W starożytności był urząd diakonów oraz tzw. diakonis. A więc do posługi charytatywnej, do posługi solidarności, miłości bliźniego czynnej, byli dopuszczani zarówno mężczyźni jak i kobiety. Oczywiście to jest zrozumiałe, a nawet konieczne — można by powiedzieć. Konieczne dlatego, że przecież konkretna posługa charytatywna, konkretna opieka np. nad chorymi, biednymi, potrzebującymi dziećmi, kalekami, starcami itd. wymaga nie tylko męskiej perspektywy, męskiej obecności, ale wymaga także kobiecej obecności. Tu na tym poziomie rola kobiet jest nieodzowna. I myślę, że zawsze w Kościele było tak, że kobiety na tym stopniu, który — można by skądinąd powiedzieć, że jest on najniższy w tej hierarchii, to prawda, ale z drugiej strony jest najbardziej potrzebny, najbardziej newralgiczny od strony codziennych kontaktów — to kobiety zawsze na tym stopniu były obecne. I dzisiaj też, zwłaszcza po Soborze Watykańskim II, nastąpiło to mocne dowartościowanie roli i obecności kobiety tak, że bardzo ta rola mocno jest podkreślana. Uczynił to również Jan Paweł II w swoim liście do kobiet.

My zostawiamy dzisiaj na boku diakonów. Zostawiamy na boku kapłanów. Natomiast przyjrzyjmy się biskupom. Dlatego, że na ten temat, zazwyczaj się nad tym najmniej zastanawiamy. I możemy patrzeć na biskupów przez pryzmat, który ich posłudze jest w gruncie rzeczy obcy. Utrwaliło się wiele zwyczajów czy też wiele elementów celebracji obecności biskupa, które czasami z tym, co powinno być w Kościele obecne, mają mało, niewiele albo nic wspólnego. Tym niemniej człowiek, który w Kościół jest głęboko wszczepiony, powinien wiedzieć jaki powinien być biskup, kto powinien być biskupem, i dlaczego należy się nasze przywiązanie a także nasza lojalność wobec biskupa. Św. Paweł tłumaczył to tak w swoim Liście do Tymoteusza. Napisał tak:

Nauka to zasługuje na wiarę:

Otóż to słowo: „wiarę” należałoby po polsku przetłumaczyć raczej „zaufanie”. A więc Paweł wprowadzając ten fragment mówi tak. To, co teraz powiem, zasługuje na zaufanie. Otóż będziemy dotykać, będziemy zastanawiać się, jaki w czasach św. Pawła powinien być biskup, kto mógł być biskupem, a Paweł powiada: to nie jest kwestia wiary religijnej, to jest kwestia zaufania. To jest kwestia uznania, że takiego właśnie człowieka potrzebujemy. Otóż w Kościele, jak w każdej społeczności, potrzebne jest zaufanie. Największym wrogiem wspólnoty jest podważanie, kwestionowanie zaufania. Otóż jeżeli ludzie przestaną ufać jedni drugim, i przestaną ufać tym, którzy ich prowadzą, to oczywiście prowadzi to do destrukcji życia zbiorowego. Więc Paweł powiada: Jeżeli chcecie posłuchać, zaufać, przyjąć kogoś, kto będzie was prowadził do Chrystusa, to posłuchajcie co mam wam do powiedzenia. I napisał tak:

jeżeli ktoś dąży do biskupstwa, to pożąda dobrego zadania.

Nie jest zatem rzeczą niewłaściwą pragnąć, chcieć być biskupem. Możemy mieć w głowie czasami taki fałszywy stereotyp, że pokora na tym polega, żeby nie chcieć tego, do czego człowiek się nadaje. Albo żeby nie chcieć tego, czego pragnienie nosi w swoim sercu. Otóż pokora to jest przede wszystkim prawda o sobie, przyjęcie prawdy o sobie, i jest to akceptacja tej prawdy, uznanie jej i życie wg tej prawdy. Są zatem osoby powołane, odczuwające powołanie kapłańskie i powołane do tego, czy czujące szczególne powołanie do tego, że chcieliby być biskupami, chcieliby sprawować ten urząd nadzorcy. Muszę państwu powiedzieć, że spotkałem w życiu takich właśnie kolegów, przyjaciół w różnych miejscach, zwłaszcza na studiach, zwłaszcza w Rzymie, którzy w przypływie szczerości dawali poznać, że bardzo chcieli być biskupami. Otóż musi to być ogromne przeżycie, tak się domyślam, być biskupem. Musi to być ogromna odpowiedzialność, poczucie odpowiedzialności, a jednocześnie musi to być poczucie jakiejś — chyba nie znajduję lepszego słowa niż — takiej głębokiej dumy w najgłębszym duchowym tego słowa znaczeniu. Pamiętam, jak dobrze kilka lat temu jeden z moich kolegów został mianowany biskupem, i pamiętam jak on bardzo głęboko się tym cieszył. Powiedział, że on zawsze chciał, żeby mieć to miejsce pasterza. Miejsce pasterza za którym pójdzie trzoda, która będzie mu ufała. A on zrobi wszystko, żeby być jak najlepszym biskupem. Rzeczywiście robi wszystko, żeby tak było. Więc w Piśmie Świętym, w Nowym Testamencie mamy wyraźnie powiedziane: „Jeżeli ktoś pożąda biskupstwa, pragnie biskupstwa, chce biskupstwa, to pragnie dobrego zadania”. Otóż:

Biskup powinien być nienaganny,

I teraz mamy katalog cnót biskupa. Państwo posłuchają: „nienaganny” czyli taki, którego nie można ganić za coś złego, bo stara się żyć dobrze. Więc „nienaganny”. I zaraz potem:

mąż jednej żony,

Ta pawłowa wstawka bardzo zaszkodziła temu tekstowi. Do tego stopnia, że kiedy są święcenia biskupie, konsekracja biskupia, to bardzo rzadko ten tekst jest czytany. No bo trzeba by było tę „jedną żonę” usunąć. A nikt przy zdrowych zmysłach tego nie robi. Wobec tego bierze się inne teksty z Nowego Testamentu. My, ponieważ to nie jest konsekracja biskupia, nie mamy aż takich zobowiązań, takich zahamowań, musimy sobie tę sprawę wyjaśnić. Otóż w początkowym okresie, w pierwszych kilku wiekach ci, którzy stali na czele tej struktury Kościoła, byli ludźmi, mężczyznami żonatymi. Dlaczego tak było? Dlatego, że wyrosli z wiary, z kultury, z religii biblijnego Izraela. W świecie żydowskim, być może poza jednym jedynym wyjątkiem, którego nie jesteśmy pewni, mianowicie tzw. wspólnoty z Qumran, nie była znana bezżenność. Nie ceniono bezżenności. Ceniono przede wszystkim to, że człowiek, który osiągnął określony wiek, dziewczyna, chłopiec, po prostu wychodziła za mąż i żenił się. I największe błogosławieństwo to było zawsze błogosławieństwo płodności. Zatem bezżenność nie była w cenie. Od tego, jak się wydaje, był jeden wyjątek, którego zakres i charakter nie jest do końca jasny. Mianowicie polegało to na tym, że jeżeli ktoś poświęcił się, czy chciał poświęcić się rozważaniu Pisma Świętego, studiowaniu, czytaniu Biblii w starożytnym Izraelu, to oczywiście w grę nie wchodził szybki ożenek — bo wtedy żeniono się mając kilkanaście lat. I gdyby się taki młody chłopak ożenił, to ze studiowaniem tak, jak i w naszych czasach, jest kłopot. Daleko bardziej ze studiami, które były tak głębokie i które wymagały tak intensywnej pracy, jak studia nad Pismem Świętym. Do tego były specjalne szkoły. W tych szkołach byli tylko chłopcy, tylko mężczyźni. Nie było mowy o żadnych szkołach koedukacyjnych. I oni rzeczywiście, aby posiąść tę wiedzę nie mogli się żenić, czy odkładali myśl o ożenku. A być może, trzeba by to wręcz powiedzieć, tak bardzo pochłaniało ich zgłębianie spraw bożych i religijnych, że sprawa ożenku nie była dla nich pierwszej wagi, nie była dla nich najważniejsza. A może dla wielu z nich nie była w ogóle ważna. W związku z tym w świecie żydowskim istniał zwyczaj, że do trzydziestego roku życia, a więc dość długo jak na starożytne warunki, można było odkładać decyzję o ożenieniu się. Natomiast kiedy ktoś osiągnął 30 lat, to już wtedy należało definitywnie wybrać. A więc definitywnie się zadeklarować, definitywnie również znaleźć sobie żonę — poza bardzo rzadkimi wyjątkami, kiedy ktoś stał się cenionym, znanym, uznanym autorytetem, wielkim nauczycielem Prawa. I wtedy uważano, że związek z żoną można mu darować. Normalnie biorąc ożenienie się było obowiązkiem. Ale w bardzo rzadkich wypadkach wyglądało to inaczej.

Państwo zwrócą uwagę na życie Pana Jezusa, bo ono bardzo dobrze przystaje do tego przykładu, do tego modelu, do tego wzoru. Być może kiedyś przyszło państwu do głowy to, że skoro Jezus był prawdziwym człowiekiem, od początku do końca, z wyjątkiem grzechu, to przecież rósł jako małe dziecko, to przecież dorastał, to przecież miał w swoim otoczeniu chłopców, miał w swoim otoczeniu dziewczynki, to miał rodziny. I być może przyszło państwu do głowy jak wyglądało Jego życie jako człowieka dorastającego, nastoletniego itd. Niestety na ten temat nic nie wiemy i naszą ciekawość mogą zaspokoić tylko filmy. Ale jedno daje do myślenia. To mianowicie, że kiedy Jezus miał 30 lat, wtedy wystąpił i rozpoczął publiczną działalność. Otóż te 30 lat przygotowywał się do tego publicznego wystąpienia. Z całą pewnością przygotowywał się od strony duchowej również, jako człowiek. Natomiast wtedy, około tej trzydziestki, pojawiłby się nacisk jego otoczenia: Właściwie dlaczego Ty się nie żenisz? Dlaczego Ty nie zakładasz rodziny? Rozumiemy, zgłębiasz Pismo, uczysz, czytasz, studiujesz, jesteś kimś mądrym, kimś dobrym itd. To dlatego tym bardziej powinieneś się ożenić! I w momencie, kiedy ten dylemat powstaje, Jezus rozpoczyna publiczną działalność. I zdają sobie sprawę ci, którzy Go znają, że podejmuje się misji, która jakby przenosi całą uwagę na to, co robi i kim jest, z tego, jak zachowuje się, jak żyje, jak wygląda życie normalnego, zwyczajnego człowieka. I proszę zauważyć, że nigdzie w Ewangeliach nikt Jezusowi nie robi wyrzutów: „Dlaczego Ty się nie żenisz? „Dlaczego Ty się nie ożeniłeś?” Robią Mu mnóstwo rozmaitych zarzutów, ale tego nie dotyczą. Dlatego, że w tej tożsamości, tym posłannictwie Jezusa dostrzegają już jego współcześni coś absolutnie wyjątkowego.

Otóż w pierwszym Kościele biskupi, kapłani, diakoni oczywiście też, byli ludźmi żonatymi. Mało tego, że byli żonaci. Wydaje się, że ożenienie się było nawet warunkiem tego, że dopiero człowiek żonaty mógł sprawować wyższe tzw. funkcje, urzędy w Kościele, takie jak biskup, jak kapłan. Jak długo to trwało? Trwało na pewno wiele stuleci. Potem w Kościele pojawiła się od IV wieku nowa forma życia, mianowicie forma życia ascetycznego. Mężczyźni udawali się prowadząc życie ascetyczne, mnisze, bezżenne. To samo wybierały kobiety. Ale zawsze zdawano sobie sprawę, że jest to coś o tyle wyjątkowego i w pewnym sensie nienormalnego, że odbiega od normalnych prawideł natury i stworzenia. Wobec tego motywacja, która leżała u podstaw bezżeństwa, zarówno mężczyzn i kobiet, musiała być bardzo silna i mogła to być jedna jedyna motywacja. Mianowicie naśladowanie przykładu Jezusa Chrystusa, który dla skuteczności swojej misji, dla skuteczności swojego posłannictwa, dla skuteczności swojego słowa i dla skuteczności swojego świadectwa dołożył także i ten wymiar, że żył w celibacie. W związku z tym to ceniono. Ale na tym etapie, na jakim jesteśmy, czyli w pierwszym, drugim, trzecim pokoleniu chrześcijan, Paweł mówi, chociaż sam Paweł też był bezżenny, inaczej niż Piotr, który miał żonę tylko nie wiemy co się z nią stało — tradycja chrześcijańska mówi, że bardzo wcześnie owdowiał i tak już później żył. Na tej podstawie tradycja prawosławna powiada trochę inaczej niż tradycja katolicka — proszę zauważyć, kiedy się to wszystko rodziło. Że jeżeli ktoś chce być biskupem, to musi być bezżenny, albo w prawosławiu może, czy musi, być wdowcem. I to jest warunek tego, żeby mógł być dopuszczony do przyjęcia biskupstwa. Ale w pierwszych wiekach miało to być „mąż jednej żony”.

Tylko co to znaczy: „mąż jednej żony”? Można to pojmować na kilka sposobów, przynajmniej na dwa sposoby. „Mąż jednej żony” — to ma po prostu jedną żonę. Ktoś może pomyśleć: no to co za problem? Otóż problem jest, bo w starożytnym świecie istniało wielożeństwo. Zatem nie dopuszczano do tych stanowisk, do urzędów w Kościele osób, mężczyzn, którzy ewentualnie — to w świecie żydowskim się zdarzało, a pewnie w świecie pogańskim, z którego wywodzili się chrześcijanie, również — mieli np. dwie lub trzy żony. Mogły być takie przypadki, jak dzisiaj w świecie arabskim dla przykładu. Można to pojmować również na inny sposób. Mianowicie, że komuś zmarła żona, albo ktoś oddalił żonę, czy żona odeszła od niego, związał się z inną — taki też nie mógł być biskupem. Więc ten warunek, który stawia Paweł, to „mąż jednej żony” w tym znaczeniu, że bądź ta jedna, jedyna żona żyje, bądź jest wdowcem. Musiało to być jakoś ważne, skoro pojawia się to na samym początku: „nienaganny, mąż jednej żony”, a dalsze kwalifikacje będą za chwilę. Raz jeszcze powtarzam, że z naszej perspektywy, jeżeli na to patrzymy, to zdajemy sobie sprawę z tego, że wymóg celibatu, wymóg bezżenności jest wymogiem, który wprowadził Kościół, i motywowanym wolą naśladowania Chrystusa. W Kościele katolickim ten wymóg celibatu jest bezwzględny. W Kościele prawosławnym również biskup musi być bezżenny, ewentualnie jak powiedziałem, może być wdowcem, ale to bardzo, bardzo rzadka rzecz. Do tego dodam, że w Kościele katolickim obo-

wiązuje prawo, tzw. prawo kanoniczne, które tych spraw dotyczy i które określa, że biskupem może być mężczyzna, który skończył przynajmniej 30 lat i ma za sobą co najmniej 5 lat kapłaństwa. Więc to są dwa warunki, które trzeba spełnić, żeby można być kandydatem do biskupstwa. Tutaj taka ciekawostka dla państwa. W naszych czasach które znamy, nowożytnych, współczesnych, najmłodszym biskupem w Polsce, który kiedyś został mianowany, był biskup Bogdan Bejze, biskup pomocniczy łódzki, który zmarł 3 - 4 lata temu. Natomiast kiedy został mianowany biskupem miał 33 lata, a więc był bardzo młodym człowiekiem. Miał za sobą 8 lat kapłaństwa i zaledwie 33 lata życia. Jeżeli państwo się interesowali życiem Kościoła, wtedy to w latach 60-tych, 70-tych to była słynna sprawa. Ona pokazuje też, że Kościół przed Janem Pawłem II, papieże byli bardzo otwarci. Bo przecież czy to Jan XXIII czy Paweł VI mianujący tak młodych biskupów mieli postawę dużej otwartości i zaufania wobec tego, co się w Polsce działo. Przypomnijmy dla przykładu, że ksiądz Karol Wojtyła kiedy został biskupem miał lat 38. Więc to wszystko są przykłady, które potwierdzają, że Kościół katolicki również miał bardzo duże otwarcie w kierunku ludzi młodych. Jeżeli więc dzisiaj zostają biskupami osoby, które są po 60-ce czy dalej, to już nie jest taka sytuacja specjalnie normalna. Dlatego, że ujmując rzecz może humorystycznie, biskupstwo to nie jest nagroda za coś, np. za lata dobrego sprawowania się, lecz biskupstwo to jest wyraz zaufania do człowieka, i takiego dowartościowania tego człowieka, że widzi się w nim kogoś, kto potrafi owocnie poprowadzić ludzi ku Chrystusowi. Taka jest więc praktyka w Kościele, że tej nowotestamentowej zasady „mąż jednej żony” zastosować nie można. Dla odmiany niektóre kościoły protestanckie, właściwie większość z nich, powołując się na ten fragment dopuszcza do święceń biskupich również mężczyzn żonatych, co jest powodem dość silnych kontrowersji pomiędzy Kościołem katolickim a kościołami protestanckimi. Natomiast w ostatnich latach doszło do tego, że w niektórych kościołach lub organizacjach kościelnych protestanckich, bo to nie wszystko są kościoły, do święceń biskupich również dopuszczono kobiety. Co stało się przedmiotem bardzo silnych kontrowersji, również w tamtych kościołach, spowodowało odchodzenie wielu wiernych, ale także do napięć między kościołami protestanckimi a Kościołem katolickim, i spowodowało duże zahamowanie ekumenizmu. Bo tłumaczy się, że dopuszczenie kobiet do święceń kapłańskich i biskupich uderza w oczywisty sposób w tzw. sukcesję apostołską.

Bo dodać do tego trzeba jeszcze rzecz jedną, bardzo ważną. Mianowicie warunkiem tego, żeby ktoś mógł być biskupem, żeby święcenia były ważne, jest to, by zostały udzielone przez biskupa innego i jeszcze dwóch tzw. współkonsekratorów, którzy zostali dopuszczeni do tej posługi w taki sam sposób, i których sukcesja, których następstwo sięga czasów apostołskich. Zatem można by posuwać się do tyłu, i do tyłu, i wyprowadzić to wszystko od Apostołów aż do naszych czasów. Właśnie sukcesja apostołska jest warunkiem ważności święceń biskupich. Jeżeli jakimś mężczyźnie zostałyby udzielone konsekracja przez biskupa, który przedtem nie był włączony w tę nić sukcesji, to tego rodzaju konsekracja jest zupełnie nieważna. Kościół przykładą do tego ogromną wagę. Natomiast strażnikiem tej sukcesji apostołskiej jest oczywiście papież. Dlatego nie może być w Kościele katolickim biskupa, który by został nominowany i konsekrowany bez wiedzy, bez aprobaty każdorazowego papieża. To właśnie papież jest strażnikiem tej czystości sukcesji apostołskiej. Posłuchajmy dalej. Św. Paweł w tym samym liście napisał tak: Ma być

trzeźwy,

— to następne wymaganie. Najwidoczniej w starożytnym świecie też różnie pod tym względem bywało, co udzielało się również chrześcijanom. Chodzi nie tylko o trzeźwość w tym sensie od rozmaitych napojów, ale na pewno również — to greckie słowo, które tutaj zostało użyte na to wskazuje — o trzeźwość myślenia, o trzeźwość rozeznania, o coś, co moglibyśmy nazwać rozsądkiem — „rozsądny”. Dalej:

rozsądny,

— to następne określenie. Dalej:

przyzwoity,

dalej:

gościnnie,

— to wszystko przymioty, które ukazują ideał. Gościnność również. Muszę państwu powiedzieć, że zawsze biskupi kładą na to ogromny nacisk, na tę gościnność również. Dalej:

sposobny do nauczania,

a więc ktoś, kto chce nauczać, umie nauczać, potrafi nauczać. To jest bardzo ważna rzecz. Państwo zwrócą uwagę — kiedy obserwujemy naszych biskupów, naszych archidiecezjalnych i innych, to widać to zamiłowanie do nauczania. Dalej:

nie przebierający miary w picu wina,

— to też ważne było. Kolejne:

nie skłonny do bicia,

— do bójk dokładnie. Tu po polsku jest niezbyt dobrze: „nie skłonny do bicia” w tym znaczeniu, że bije żonę, bije dzieci, czy bije sąsiadów. Nie skłonny do bójek — a więc nie żaden taki rozrabiaka. Są nieraz mężczyźni, którzy mają takie tendencje, zaczepni są — nie tyle w relacji do kobiet, ile w relacji do innych mężczyzn. Otóż Paweł zwraca uwagę, że taki zaczepny człowiek nie powinien, nie może, być biskupem. Że powinien być to człowiek „nie skłonny do bójek”, ale:

opanowany,

dalej:

niekłótlivy,

dalej:

nie chciwy na grosz,

Oczywiście nie było tam w Nowym Testamencie groszy ani złotych, tylko: „nie chciwy na pieniądze”. A ponieważ tu jest po grecku najmniejszy pieniążek możliwy, to tłumacz przetłumaczył: „nie chciwy na grosz”. To bardzo ważne. Dalej:

dobrze rządzący własnym domem,

— to też musiało być ważne. Dalej:

trzymający dzieci z całą uległością,

— oczywiście swoje dzieci, bo skoro żył w małżeństwie, to były i dzieci. Więc mający autorytet tej władzy ojcowskiej względem własnych dzieci. I Apostoł napisał tak:

Jeśli ktoś bowiem nie umie stanąć na czele własnego domu, to jakże będzie troszczył się o Kościół Boży?

Czyli jego życie w rodzinie, jego życie rodzinne, życie z najbliższymi, i te wszystkie cnoty, o których apostoł wspominał, to jest probierz jego troski o Kościół Boży, o Kościół Chrystusowy. Skoro tam jesteś dobry, to możemy ci powierzyć także troskę o innych. Zwróćmy uwagę, że ta logika, to myślenie, ma swoją rację bytu. Nie ma bowiem lepszego, wyraźniejszego sprawdzianu niż właśnie troskliwość o tych, którzy są najbliżej, przenoszona na odpowiedzialność względem wszystkich. Dalej:

Nie może być świeżo ochrzczony,

— to oczywiście w starożytności był problem, bo przyjmowano także chrzty ludzi dorosłych. Więc

Nie może być świeżo ochrzczony, ażeby wbiwszy się w pychę, nie wpadł w diabelskie potępienie.

Otóż urząd biskupa jest urzędem odpowiedzialnym, i urzędem ważnym, i urzędem na którym można wpaść w pychę dlatego, że jest to pasterz, jest to człowiek, jest to nadzorca, któremu powierzone są setki i tysiące ludzi. Zatem biskupem nie może być ktoś, kto jest podatny na pychę. Wreszcie:

Powinien też mieć dobre świadectwo ze strony tych, którzy są z zewnątrz, ażeby się na naraził na wzgardę i sidła diabelskie.

Czyli powinien mieć dobre świadectwo za strony tych, którzy nie są chrześcijanami, którzy nie są wyznawcami Jezusa Chrystusa. Tzn. powinien być autorytetem nie tylko dla swoich, ale autorytetem również dla innych. Można by powiedzieć — powinien mieć czytelne wartości nie tylko chrześcijańskie, ale dzisiejszym językiem byśmy nazwali je humanistyczne. Dlaczego tak? Żeby się nie naraził na wzgardę, na pogardę ze strony innych.

Otóż drodzy państwo, że na chwilę wrócimy do tego dramatycznego wydarzenia z 7 stycznia. Ksiądz arcybiskup, kiedy czytał wtedy — kto z państwa oglądał, to z pewnością ma w pamięci ten widok, bardzo dramatyczny — czytał ten krótki swój list do Ojca Świętego, to jako przyczynę rezygnacji podał, że w obecnych warunkach nie może sprawować swojego urzędu. To jest właśnie aluzja do tego, co tutaj mamy. Tzn. urząd biskupa wymaga szacunku wobec urzędu i szacunku wobec człowieka. A to, co się wydarzyło, doprowadziło do tego, że tego szacunku należnego urzędowi nie było. Trzeba, w moim przekonaniu, podziwiać arcybiskupa pomimo tych słabości, o których wiemy i o których nie wiemy, otóż trzeba podziwiać za to, że poszedł po tej linii, która jest głęboko apostołska. Tzn. w tej dramatycznej chwili uznał, że urząd biskupa wymaga autorytetu, potrzebuje autorytetu. Bardzo ciężka musiała być ta chwila dla niego. Bardzo to jest również ciężka chwila dla nas wszystkich.

Powiedziałem już wiele razy — można było to załatwić pewnie inaczej. Ale wtedy uznał, że cena, którą zapłaciłby urząd biskupi, byłaby zbyt wielka. Stało się tak, jak się stało. Ale w samych początkach Kościoła św. Paweł wyznaczył pewne ramy, wyznaczył pewien kanon. Słyszeli państwo przed chwilą kiedy czytałem, te wymagania, te ideały są naprawdę duże. Ktoś mógłby powiedzieć tak — na sam koniec naszej refleksji. No to wymagania są rzeczywiście stawiane bardzo wysokie. Ale kiedy przyglądamy się rzeczywistości, to bywa rozmaicie.

Tak jest w życiu, drodzy państwo. Otóż w życiu każdego z nas. Ale to nie znaczy, że ideały nie mają sensu. To nie znaczy, że wzorce nie mają sensu. To znaczy, że tym bardziej są potrzebne! Żeby tym, których to dotyczy, przypominać, że ideał właśnie jest taki. Nawet, jeżeli do niego nie dorastam, to wiem, że on jest, to wiem, że powinienem być inny. Bo biskup, kapłan, diakon tak, jak każdy człowiek, jak powtarzamy sobie wiele razy, zmierza do Pana Boga, albo realizując te ideały dosłownie, czasami przez heroizm, albo uświadamiając sobie także swoje porażki. I realizując te ideały nie przez heroizm niewinności, tylko przez heroizm ponawianego nawracania się. I to również w posłudze i biskupów, i w ogóle duchownych, jest dobrze widoczne. Otóż ideał jest taki. My wszyscy mamy ideały określone w Ewangelii, a wszystkich nas obowiązuje także ideał Ośmiu Błogosławieństw. Ale jednocześnie zdajemy sobie sprawę z tego, jakże bardzo trudno jest tym ideałom sprostać. Paweł, który pisał ten list, miał za sobą już wtedy całe życie. To już był stary Paweł, stary człowiek, który zwracał się do swojego młodego przyjaciela Tymoteusza, którego mianował biskupem, ustanowił biskupem, konsekrował na biskupa. I tłumaczy mu: Słuchaj, musisz być taki, i taki, i taki, i taki. I każdy biskup musi nie być obłudny, nie przebierający miary w picciu wina, musi być roztropny, rzetelny, czysty, i musi trzymać swoją rodzinę w karności — to jest ideał. Czy każdy jest w stanie dokładnie tak żyć? To jest tak, jak przy sakramencie małżeństwa: Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Ale prawdziwa porażka jest może nie tyle wtedy, kiedy coś z tego się łamie, tylko wtedy, kiedy całość pryska. Kiedy całość ginie. Kiedy słabość jakaś staje się przyczyną całkowitego rozpadu. Otóż kiedy obserwujemy życie biskupów w naszych czasach, naszych biskupów, trzeba przyznać, że znając te ideały, bo muszą je sobie przypominać, z całą pewnością starają się wg. nich żyć. I że kiedy obserwujemy życie biskupów, to możemy z

czystym sumieniem powiedzieć, ja przynajmniej mówię to z pełnym przekonaniem, że nawet jeżeli coś w tym życiu pęka, pojawiają się jakieś rysy, to z całą pewnością trwają w tym powierzonym im przez Chrystusa miejscu. Miejscu, którego być może sami chcieli, sami pragnęli. Widzimy także i w naszych polskich warunkach, że to się odbywa, że to się dzieje. I myślę, że to jest w tym wszystkim bardzo, bardzo pocieszające. Nie słyszymy dzięki Bogu, nie wiemy o tym, żeby któryś z tych, którzy zostali ustanowieni episkopoj, żeby któryś z nich do tego stopnia zwietrzył, żeby utracił ten smak soli, który jest potrzebny do świadczenia o Chrystusie wobec innych. I to jest bardzo w tym wszystkim pocieszające. Bo to również pokazuje, że w tym Kościele takim, jaki jest, żyje, kieruje nim, działa Chrystus. I że te ideały, które określił Apostoł u początku, że te ideały ciągle pozostają bardzo mocne, bardzo żywe, bardzo ważne. I może tam, gdzie czasami pojawiają się te trudności, kiedy musimy przeżywać takie ciężkie chwile, to wzgląd również na to, że tym ideałom jest dochowywana wierność, ten wzgląd jest również bardzo ważny i bardzo pocieszający.

Za trzy tygodnie, 12 marca zapraszam państwa na kolejną konferencję biblijną w której popatrzymy jak Paweł patrzył na swoje powołanie z perspektywy swojego życia. Czym jest Kościół w refleksji człowieka, który poświęcił mu całe życie? Więc będziemy się zastanawiać nad tą drugą stroną eklezjologii, kiedy człowiek zastanawia się ofiarowawszy Chrystusowi życie, stawia sobie pytanie: Czy było warto? I na to pytanie Paweł odpowiada. A my, ponieważ to będzie czas Wielkiego Postu, tę odpowiedź będziemy starali się poznać. Zapraszam więc 12 III, w drugi poniedziałek marca.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. A pod sam koniec myślę, że dobra to sposobność, żeby pomodlić się za naszych biskupów. Zdrowaś Maryjo . . . Wspomożenie wiernych . . . Królowo Apostołów . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . .

6 My i Kościół wobec trudności — wg. Św. Pawła (12 marca 2007)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Dobry wieczór państwu. I zaczynamy! Ojciec nasz ... Stolicę Mądrości ...

Bardzo serdecznie witam państwa i pocieszam się tym, że kiedy spotkamy się szczęśliwie na następnej naszej konferencji, to powinien być jeszcze dzień, kończący się — ale dzień. Tak, że tę najtrudniejszą porę, porę jesienną, zimową, mamy już za sobą. Bardzo się cieszę, że państwo raz jeszcze, także i dzisiaj, znaleźli czas i siły żeby przyjść, zastanowić się nad orędziem Pisma Świętego, nad jego przesłaniem, a także w gruncie rzeczy zastanowić się nad sobą, tzn. nad każdym z nas, nad naszym miejscem w Kościele, i nad Kościołem. Kiedy kilka miesięcy temu, jesienią ubiegłego roku, rozpoczynaliśmy tegoroczny cykl konferencji, opatrzony takim wzniosłym tytułem *Eklezjologia Nowego Testamentu*, to nie mogliśmy się nawet wtedy domyślać, że ta problematyka, którą chcemy poruszać, którą się zajmujemy, okaże się tak aktualna i potrzebna właśnie w tym czasie, w którym się znajdujemy. Bo Eklezjologia Nowego Testamentu to nic innego jak, mówiąc prostymi słowami, spojrzenie na Kościół w świetle Nowego Testamentu. W świetle tego, co stanowi normę i fundament naszej wiary. Spojrzenie na Kościół i na nasze miejsce w Kościele. A więc także na to, jak powiedziałem, kim jesteśmy. Chcemy się nad tym zastanowić dlatego, że jak kilka razy państwu podkreślałem, można w różny sposób podchodzić do Kościoła i na Kościół patrzeć, na swoje miejsce w Kościele również. Także od strony psychologii, socjologii, dziennikarskiej, obserwacji, a nawet plotkarskiej. I z tego nie musi wcale, z takiej refleksji, zbyt wiele wynikać. A my chcemy sięgnąć, i sięgamy rzeczywiście po to, co stanowi samo źródło naszej wiary. Co nas kieruje ku Chrystusowi i ukazuje nam najgłębsze na Kościół spojrzenie. Drodzy państwo, do takiego spojrzenia nie są zdolni wszyscy. Nie są zdolni nawet wszyscy wierzący w Jezusa Chrystusa. Dlatego, że ono wymaga pewnej głębi, pewnej dojrzałości. I należy się spodziewać, że ci wszyscy, którzy tego rodzaju refleksję podejmują, którzy słuchają słowa Pisma Świętego, jego interpretacji, komentarzy do Pisma Świętego, właśnie na tej drodze doskonalenia duchowego się znajdują. I stąd ta ogromna radość, że państwo właśnie ten wielki duchowy wysiłek podejmują.

Problematyka jest trudna, ale zarazem jest bardzo aktualna. Państwo dobrze wiedzą, jakie wstrząsy ostatnio przeżywa Kościół. I to, co jest paradoksem swoistego rodzaju, Kościół katolicki w Polsce. Dobrze wiemy, że co raz dochodzą nas rozmaite wieści, czasami zaskakujące, bulwersujące, dziwne, dramatyczne czy wręcz bolesne. I chyba nie ma miesiąca, a czasami nie ma tygodnia, kiedy dowiadujemy się czegoś, co nas szokuje i porusza. I oczywiście dla człowieka wiary jest to zawsze jakaś sposobność do tego, żeby tę wiarę przemyśleć, żeby zastanowić się nad tym, co się dzieje, i żeby spróbować to ocenić. Właśnie dzisiaj zwrócimy uwagę na ten aspekt naszej obecności w Kościele. Mianowicie co się dzieje, jak reagować wtedy, kim jesteśmy wtedy, kiedy w Kościele dzieje się coś niedobrego. Kiedy ktoś się łamie albo kiedy ktoś przeżywa trudności. Kiedy następuje jakiś upadek, jakaś klęska osobista. Jak zachować się, jak wtedy powinni postępować wierzący, jak wtedy powinna postępować wspólnota Kościoła, a więc również i my? Nie odnosimy się do konkretnych przykładów, bo nawet nie o to chodzi. Jeżeli idzie o Nowy Testament, i w ogóle o Pismo Święte, to mamy dość ciekawą i dość znaczącą pedagogię, na którą też kilka razy zwracaliśmy uwagę. A mianowicie — gdy chodzi o rzeczy dobre, to Pismo Święte zatrzymuje się nad tym więcej. Tam, gdzie przedstawia wysiłek pracy nad sobą, dokonania, osiągnięcia, gdzie mówi o postępie duchowym — wtedy mówi o tym dłużej. Wtedy jak gdyby chce radować się, cieszyć się tym dobrem, które przedstawia i o które chodzi. Natomiast gdy chodzi o rzeczy złe albo takie gnuśne, niedobre, nie warte naśladowania, Pismo Święte o tym mówi bardzo krótko, wzmiankuje bardzo lakonicznie. Dlatego, że autorzy biblijni znają prawidłowość tę, że zło jest zaraźliwe. Że zło lubi, kiedy się o nim mówi. Że zło lubi, kiedy jest głośnie. A jeżeli głośnie nie jest, to takim stara się być. I że jeżeli człowiek obraca się gdzieś tam na peryferiach zła, to czy chce czy nie chce to jakaś część tego zła, jakaś łata, jakieś skutki, jakieś konsekwencje do niego przylegają. Że zło ma to do siebie, że nawet jeżeli nie trafia do rozumu, to trafia do wyobraźni, trafia do podświadomości. Że żyje w człowieku wbrew jemu samemu. Że żywotność zła jest bardzo długa i nie zależy bardzo często od naszej woli. Bo oto jeżeli zetknijemy się z czymś radykalnie złym, to istnieje jakaś przedziwna, można by powiedzieć tajemnicza atrakcyjność zła. Nawet kiedy człowiek je odrzuca, to gdzieś w najgłębszych pokładach swego wnętrza za nim tęskni albo go pragnie. A więc zło ma to do siebie,

że człowieka deformuje, że człowieka zmienia. Zło nigdy nie jest bez skutku. I w Piśmie Świętym, gdy chodzi o rzeczy złe, to mamy je zawsze potraktowane bardzo krótko. Zapewne i dla nas to jest jakaś wskazówka, żeby nigdy nie igrać z tym, co jest złe, bo to nie pozostaje bez konsekwencji.

Popatrzymy zatem dzisiaj na fragment Drugiego Listu św. Pawła Apostoła do Koryntian. Ten list powstał w przedziwnych okolicznościach. Można by nawet porównać te okoliczności do czegoś, co od czasu do czasu – a ostatnio częściej niż rzadziej – zdarza się także wśród nas. Otóż kontekst powstania tego listu jest mniej więcej taki. Św. Paweł kontynuuje swoją trzecią podróż apostolską. Jak państwo wiedzą odbył trzy takie wielkie podróże apostolskie, które w starożytności, w latach 40-tych i 50-tych I wieku zaprowadziły go z Palestyny przez Azję Mniejszą, przez Cypr do Grecji, potem do Achai, do Macedonii wcześniej, i następnie z powrotem do Syrii i do Palestyny. Zatem objechał cały wschodni basen Morza Śródziemnego. Oblicza się, że w ciągu tych trzech podróży apostolskich przebył ok. 10 000 km. Pamiętajmy, że jest to starożytność, że były zupełnie inne warunki. I Paweł właśnie odbywa trzecią podróż misyjną. I w trakcie tej trzeciej podróży misyjnej znajduje się w Macedonii, na terenie dzisiejszej północnej Grecji, gdzieś tam blisko granicy z Bułgarią i z nowym państwem, powstałym kilkanaście lat temu, z Macedonią. Okazuje się, że Paweł tęskni za Koryntianami, mieszkańcami Koryntu, wśród których przebywał kilka lat wcześniej podczas drugiej podróży apostolskiej. To też jest bardzo znaczące, bo ten Drugi List św. Pawła odkrywa nam Apostoła, który jest bardzo uczuciowy, który przywiązuje się do ludzi których pozyskał dla Chrystusa, z którymi był. Paweł w Koryncie przebywał półtora roku w latach 52 - 53. Półtora roku — czy to dużo, czy mało — sami państwo muszą ocenić. To tak jak półtora roku pracy jakiegoś kapłana w parafii czy jakiegoś biskupa w diecezji. Półtora roku w przypadku Pawła to było bardzo dużo. Zostawił w Koryncie serce. A stało się tak dlatego, ponieważ ta parafia była bardzo trudna. Ta wspólnota, którą założył, wymagała jego ustawicznego wysiłku. I oto podczas trzeciej podróży misyjnej, kilka lat później, postanawia ich odwiedzić. Odwiedzić właśnie tę wspólnotę, którą założył, za którą tęskni, która już się ustabilizowała. I dowiaduje się, że wśród chrześcijan w Koryncie zdarzyło się jakieś przestępstwo. Nie wiemy na czym ono polega. Zdarzyło się coś bardzo poważnego. Do tego stopnia poważne było, że Paweł nie chce o tym pisać, nie chce o tym mówić. Musiała to być jakaś sprawa, która była bardzo dramatyczna, bardzo bolesna, bardzo wstydliva, która rzucała cień na cały tamtejszy Kościół koryncki. I w związku z tym apostoł podejmuje wyprawę do Koryntu, zamierza pojechać do Koryntu. Ale kiedy dowiaduje się, że tam są jakieś tajemnicze problemy — oczywiście on ten problem znał, ten problem dotyczył jakiegoś miejscowego chrześcijanina, najprawdopodobniej jednego z przełożonych tego Kościoła, powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem: jednego z biskupów tego Kościoła, albo jednego z jego przebiterów czyli kapłanów — coś wydarzyło się bardzo wstydlivego i bardzo niedobrego. To Apostoł pisze do tych wierzących, pisze list, który jest poufny. I potem ten list będzie nazywał „listem we łzach pisanym”. Tzn. kiedy pisał ten list, to wręcz płakał. Ubolewał nad tym, że coś podobnego się zdarzyło. Wysłał ten list, posłał przez swojego bliskiego przyjaciela, który miał na imię Tytus. On ten list do Koryntu zawiózł. Ten list został tam odczytany, chrześcijanie w Koryncie ten list rozważyli. Sprawa została załatwiona. A człowiek, który dopuścił się tego nadużycia — raz jeszcze podkreślam: nie wiemy jakiego — został przez miejscowych chrześcijan ukarany. Wydawać by się mogło, że sprawa została całkowicie załatwiona. Ale właśnie w tych okolicznościach, o których teraz powiedzieliśmy, Paweł zamierza udać się do Koryntu. Ale zanim tam pojechał, napisał list. Ten list do mieszkańców Koryntu tworzy tzw. *Drugi List św. Pawła do Koryntian*. Znamy go oczywiście z fragmentarycznych czytań w kościele, w świątyni, czy być może znają go państwo z prywatnej lektury. A teraz przeczytamy jego niektóre fragmenty żeby zobaczyć, jak zachowuje się Apostoł w sytuacji kryzysu. Jak zachowuje się Apostoł w takiej sytuacji, kiedy wspólnota wierzących, kiedy chrześcijanie dotknięci są jakąś niewiernością, jakimś występkiem, jakimś grzechem, jakąś skazą, z którą trzeba sobie poradzić i którą trzeba przewyciężyć. I Apostoł napisał tak:

Paweł, z woli Bożej apostoł Chrystusa Jezusa, i Tymoteusz, brat, do Kościoła Bożego, który jest w Koryncie, ze wszystkimi świętymi, jacy są w całej Achai.

A więc najpierw prezentacja, tu samo-prezentacja. Już państwo ją znają, bo kilka razy zwracałem na to uwagę: „Paweł, z woli Bożej apostoł Jezusa Chrystusa”! Paweł ma zawsze świadomość, że

jego apostołowanie, że jego miejsce w Kościele to jest dar Boży, to jest wola Boża. Państwo pamiętają kim był — był prześladowcą Kościoła. Był człowiekiem, który sprzeciwiał się chrześcijanom, który ich ścigał aż do Damaszku. I do końca życia Paweł miał świadomość jaki ogrom, jaka różnica, jaka przepaść istnieje między tym, kim był, a tym, kim jest. Zatem w patrzeniu na to wszystko, co się dzieje w Kościele, Paweł patrzył przez własny pryzmat, przez pryzmat swojego własnego życia. Otóż bardzo byśmy chcieli żeby ci, którzy w Kościele rządzą, byli ludźmi nieskażonymi. Żeby ich życie było od początku dobre, czyste, układne i pod każdym względem przykładne. I mamy do tego prawo, żeby tak chcieć. Ale zdarza się, że w Kościele apostołami i nauczycielami są także ci, którzy przeżyli w życiu rozmaite trudne chwile, i trudne czasy, trudne rzeczy, i też głoszą Jezusa Chrystusa. I patrzą na to wszystko, co się dzieje dookoła, przez pryzmat własnego życia, które nie było życiem niewinności tylko było życiem takiego spotkania się z Bogiem w nawróceniu i w łasce, która od Boga pochodzi. U Pawła mamy tę świadomość. Mamy świadomość człowieka, który przeżył swoje i z całą pokorą zawsze zwraca się do tych, do których kieruje swoje pismo.

I mamy pozdrowienie, takie typowo chrześcijańskie, które do dzisiaj przetrwało we mszy św., mianowicie:

Łaska wam i pokój od Boga, Ojca naszego, i od Pana Jezusa Chrystusa!

Wiemy, że ta tzw. doksologia, tak się to nazywa, to jest słowo pochodzenia greckiego, *doksa* znaczy po grecku *chwała*. *Doksologia* to *oddanie chwały Bogu*. I tę doksologię odmawiamy czy wymawiamy na początku mszy św., kiedy celebrans zwraca się i mówi: „Łaska wam i pokój od Boga Ojca naszego, i od Pana Jezusa Chrystusa”. A więc jest ta doksologia, która po dzień dzisiejszy stanowi modlitwę Kościoła. I czytamy dalej. Pamiętajmy — ta wspólnota koryncek jest zraniona. Tam dokonano się coś trudnego, coś złego, coś wstydlivego. I Apostoł, zwracając się do wierzących w Chrystusa, napisał tak:

Błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec miłosierdzia i Bóg wszelkiej pociechy,

Oczywiście najważniejsze jest to słowo na końcu: „Bóg wszelkiej pociechy”. Bo ludzie, którzy przeżyli jakieś trudności, zwłaszcza trudności które mają charakter społeczny, wspólnotowy, wymagają pocieszenia. Wymagają podtrzymania, wymagają utwierdzenia. Ja jestem pewny, jestem przekonany, że takim Kościołem, który wymaga w tej chwili pocieszenia, podtrzymania, dobrego słowa, wsparcia jest Kościół warszawski. Warszawa i cała archidiecezja warszawska z całą pewnością po tym wszystkim, co przeżyliśmy w ciągu ostatnich dwóch miesięcy i trochę wcześniej, to jesteśmy tak, zwłaszcza ludzie głęboko wierzący, jesteśmy tak jak ktoś, kto przeżył wypadek. Wszedł w tego wypadku cało, ale niezupełnie bez szwanku. Te rany się powoli goją, ale oczywiście zostaje pewien uraz, zostaje pewna trauma, pewne wspomnienie. Proszę zwrócić uwagę, że mamy już, dzięki Bogu, nowego biskupa. Ale radość, jaką mamy na tym poziomie czysto psychologicznym, jest u nas delikatnie stonowana. Że to wszystko, co przeżyliśmy prawie dwa miesiące temu, nie pozostaje bez skutków dla nas wszystkich. Stąd, pewnie tak jak w czasach św. Pawła, potrzebujemy swoistej pociechy. Pociechy która, jak mówi Paweł, pochodzi od Boga. Nie chodzi bowiem o pociechę w sensie psychologicznym. Nie takiej pociechy szukamy w Kościele, nie takiej pociechy potrzebujemy od Boga. Chodzi o pociechę duchową. Nie chodzi o dobre samopoczucie, nie chodzi o przywrócenie dobrego samopoczucia, ale chodzi o coś znacznie głębszego. I na to zwraca uwagę Apostoł kierując swój list do Koryntian. I napisał dalej tak:

Ten, który nas pociesza w każdym naszym utrapieniu, byśmy sami mogli pocieszać tych, co są w jakiegokolwiek udreće, pociechą, której doznajemy od Boga.

Ten język grecki św. Pawła, przełożony na język polski, jest bardzo piękny. Paweł powiada tak. Dlatego otwieramy się na pociechę, która płynie od Boga, abyśmy utwierdziwszy siebie pocieszali innych, którzy pociechy potrzebują. A więc każde odbudowywanie duchowe siebie ma ten wymiar, że ma służyć także innym, ma ten wymiar społeczny. Potrzebujemy nie jakiegoś czysto ludzkiego wsparcia, ale potrzebujemy pociechy, której dawcą, której autorem, której źródłem jest Bóg. I jeżeli tę pociechę przyjmujemy od Boga, to możemy nieść tę pociechę innym ludziom.

Czyż można powiedzieć to głębiej i piękniej także w naszej obecnej sytuacji? Czy nie jest tak, że i w dzisiejszym Kościele i w naszej ojczyźnie potrzebna są słowa pociechy skierowane, podejmowane, udzielane przez ludzi głęboko wierzących, przez ludzi dojrzałych, przez ludzi otwartych na Pana Boga po to, żeby tą swoją głębią, tym swoim bogactwem dzielić się z innymi. Paweł tutaj dotyka czegoś bardzo głębokiego. Człowiek, który chce odzyskać duchową równowagę, musi otworzyć się na Boga. Ale kiedy odzyska duchową równowagę, to nie może kierować się wyłącznie egoizmem czy poczuciem zadowolenia, tylko powinien zwrócić się ku innym, którzy tej pociechy również potrzebują.

Jak bowiem

napisał Apostoł

obfitują w nas cierpienia Chrystusa, tak też wielkiej doznajemy przez Chrystusa pociechy.

Otóż w człowieku, w życiu człowieka, w życiu chrześcijanina są zawsze te dwie strony życia. Jeżeli przeżywamy coś trudnego, czegokolwiek to dotyczy, powinniśmy to przeżywać z Chrystusem. Jeżeli przeżywamy cierpienie fizyczne, chorobę dla przykładu, ból, słabość naszego ciała, powinniśmy to przeżywać z Chrystusem. Ale jeżeli przeżywamy również cierpienia, które mają charakter duchowy, a z tymi mamy do czynienia zwłaszcza w ostatnich miesiącach w naszej sytuacji, to my to również powinniśmy przeżywać z Chrystusem. Św. Paweł bardzo mocno podkreśla że to, co trudne w życiu chrześcijanina, powinno być przeżywane ze Zbawicielem. A skoro tak — powiada — to również i od Niego będzie pochodziła pociecha, której w obliczu cierpienia otrzymujemy. Bo — i dotykamy tutaj czegoś, co jest bardzo wzniosłe, co jest bardzo szlachetne, co jest na pewno bardzo trudne, ale co powinniśmy starać się — jeżeli już nie zrozumieć, to przyjąć i zastosować do życia. Mianowicie w samym fakcie przeżywania naszych cierpień z Chrystusem, tego wszystkiego co trudne, z Chrystusem, jest już pociecha. Przez sam ten fakt, że nie cierpimy sami na poziomie duchowym, na poziomie fizycznym — w tych rozmaitych wymiarach, jest już pociecha, której nam Pan Bóg udziela. Bo w ten sposób przewyżczamy własny egoizm, przewyżczamy to zamknięcie się w sobie, i otwieramy się na Pana Boga. Brzmi to zapewne bardzo wzniosłe. Ale z pewnością każdego dnia chyba każdy z nas, jeżeli Pan Bóg nie sprawi inaczej, będzie w sytuacji, w której trzeba będzie zdać z tego egzaminu. Na razie zdajemy wtedy, kiedy spotyka nas jakaś choroba, jakieś niepowodzenie, jakieś nieszczęście. Ale proszę zwrócić uwagę — zdajemy ten egzamin także jako archidiecezja, jako wspólnota, jako parafia, kiedy dowiadujemy się o tym wszystkim, co w życiu Kościoła jest takie bardzo trudne. Zawsze było tak, w każdym pokoleniu chrześcijan, że przeżywali nasi poprzednicy rozmaite trudności, czasami bardzo dramatyczne. Zawsze były apostazje, zawsze były niewierności, zawsze był sprzeciw wobec Ewangelii ze strony tych, którzy powinni być jej wierni. Zawsze były rozmaite zgorszenia. Zawsze była niewierność polegająca na odchodzeniu od kapłaństwa dla przykładu. Wszystko było! Nie ma jakichś spraw, które w Kościele zdarzają się po raz pierwszy! Problem polega na tym, że każde pokolenie staje wobec tego wszystkiego po raz pierwszy — jako to pokolenie. I dlatego cały ten bagaż, całe te zmagania się z tym, co w Kościele jest takie trudne, co między nami jest takie trudne, powoduje, że to właśnie my jako my stajemy pierwsi. I stąd chrześcijańska dojrzałość polega na tym, żeby to, co trudne, przeżywać z Chrystusem. Paweł napisał — że raz jeszcze te słowa przypomnę, mianowicie — „Jak bowiem obfitują w nas cierpienia Chrystusa, tak też wielkiej doznajemy od Chrystusa pociechy”.

Otóż jeżeli nas gorszą, trują, smucą czy bolą rozmaite rzeczy zdarzające się w Kościele, trudne i złe, to znaczy, że w tym Kościele cierpi Chrystus. A my jesteśmy wezwani do współcierpienia z Chrystusem. A jednocześnie jesteśmy wezwani do otrzymywania tej pociechy, która od Niego pochodzi. Czyż nie jest to w gruncie rzeczy szczyt pewnego życia mistycznego? Często wydaje nam się, że do wzniosłych spraw powołani są ci, którzy są w zakonach, siostry zakonne, zakonnicy, ludzie duchowni, ci, którzy szukają Pana Boga w samotności, którzy ofiarują Mu — tak się przynajmniej wydaje — całe swoje życie itd. Ludzie świeccy: mężowie, żony, kobiety, mężczyźni, ojcowie, matki sądzą, że ta droga wielkiej chrześcijańskiej doskonałości jest nie dla nich dlatego, że już znaczną

część życia zatrzymali dla siebie. Tak się nam wydaje jak gdyby ojcostwo, macierzyństwo, małżeństwo i to wszystko, co wiąże się z normalnym ludzkim życiem, to było jednocześnie przywłaszczenie sobie części życia kosztem Pana Boga. Ale Apostoł zwraca się przeciw do zwyczajnych chrześcijan, bo przecież innych jeszcze nie było. I tym zwyczajnym chrześcijanom — nie było ani zakonnic, ani mnichów, ani klasztorów kontemplacyjnych, ani niczego, co mamy dzisiaj — tym zwyczajnym chrześcijanom on powiada tak: Przeżywasz to, co najważniejsze w twoim życiu, wtedy, kiedy cierpienia, które spotykają wspólnotę i które spotykają ciebie, odbierasz i przeżywasz jako współcierpienie z Chrystusem. Ale nie znaczy to, że na tym rzecz się kończy. Bo sama ta świadomość, że w tych cierpieniach jest obecny Chrystus, daje jednocześnie, przynosi jednocześnie człowiekowi pociechę.

Ale gdy znosimy udręki - to dla pociechy i zbawienia waszego a gdy pocieszani jesteśmy - to dla waszej pociechy, sprawiającej, że z wytrwałością znosicie te same cierpienia, których i my doznajemy.

Jeżeli w Kościele dzieje się coś złego, jeżeli Kościół przeżywa jakieś trudności, to nikt z nas nie jest tym obserwatorem z boku. Każde zło, które dotyczy kogoś spośród nas, ludzi, których nawet nie znamy, ale którzy są członkami Kościoła, dotyczy również i nas. Dlatego, że Kościół – o tym będzie mówił Apostoł później – stanowi przedziwną jedność. Jedność, która jest solidarnością w świętości, ale także jedność, która jest solidarnością w potrzebie nawrócenia. I św. Paweł, zwracając się do tych ludzi, do tej wspólnoty korynckiej, dotkniętych jakimś występkiem, powiada: Ja cierpię tak samo, jak wy cierpicie. I w tym cierpieniu łączymy się z Chrystusem. I z tego pochodzi również pociecha, jaką mamy, i jaką możemy się nawzajem obdarzać. W tym potrzebna jest wytrwałość.

Proszę państwa — dwa lata po śmierci Jana Pawła II można by powiedzieć, że cnota wytrwałości jest w Kościele katolickim w Polsce potrzebna bardziej, niż kiedykolwiek do tej pory. Że potrzebna jest wytrwałość ludzi dojrzałych, którzy potrafią przez to Morze Czerwone przejść. Być może stajemy wobec jednej z najtrudniejszych prób, przed jakimi stawał Kościół w naszej ojczyźnie. Być może jest tak, daję to państwu pod refleksję, że kilkadziesiąt lat wcześniej(?) było łatwiej pod wieloma względami, niż dzisiaj. Dlatego, że rzeczywistość była bardziej czarno-biała. Bardziej było widać kto jest kto. Bardziej było widać, bardziej była przezroczysta — tak się przynajmniej wydawało. Dzisiaj te kategorie są znacznie bardziej zachwiane. Ta rzeczywistość nie jest taka czarno-biała. Gorszi od nieprzyjaciół są fałszywi przyjaciele. I myślę, że to jest dylemat, przed którym staje w ogóle Kościół w Europie, w świecie, i u nas. Otóż po tych dwóch latach przychodzimy przynajmniej przez potok, przez rzekę, jeżeli już nie przez to morze, jak kiedyś Izraelici, w którym potrzeba po prostu wytrwałości. Potrzebni są ludzie, którzy bardziej świadomie niż inni zdają sobie sprawę z własnej odpowiedzialności za wiarę, i za to wszystko, co wiara niesie.

A nadzieja nasza co dla was jest silna, bo wiemy, że jak cierpienie jesteście współuczestnikami, tak i naszej pociechy.

Paweł był przedziwnym człowiekiem. Kiedy zastanawiamy się nad kimś takim, jak Apostoł Narodów, i kiedy próbujemy go jakby przybliżyć sobie, to czasami wydaje się, że wcale nie dzieli nas od niego 2000 lat, ale że Paweł pisze ten list dosłownie dziś, czy dosłownie wczoraj. Otóż chyba na tym polega natchnienie Pisma Świętego, na tym jego bezbłądność i obecność Pana Boga na kartach Pisma Świętego, że bierzemy te słowa, stosujemy je do okoliczności, w jakich my się znajdujemy — i te słowa są zadziwiająco aktualne, są zadziwiająco mocne. Paweł rozumiał, że wspólnota obolała, że ten Kościół koryncki obolały potrzebuje z jego ust słów miłości, zrozumienia, cierpliwości, zachęty. I z takimi słowami się zwraca. I powiada: Wyrażam silne przekonanie, że wyjdziecie z tego wszystkiego zwycięscy. Moja nadzieja — mówi o sobie — jest niezłomna. Moja nadzieja co do was jest silna. Czy nie takie słowa, takiej niezłomnej nadziei na wierność tych, którzy trwają przy Panu Bogu i przy Chrystusie, czy takie słowa nie są potrzebne również i dzisiaj? Czy wiara tych, którzy trwają jak gdyby wbrew wszystkiemu, czy ta wiara nie powinna być wsparta słowami takiej mocnej zachęty, że to jest droga, którą wybraliśmy, i na której trzeba stać? Tej zachęty możemy oczekiwać od tych, którzy dzisiaj są na czele Kościoła, którzy dzisiaj Kościołowi przewodzą. Ale tę zachętę możemy znajdować także na kartach Pisma Świętego tak jak teraz, w Drugim Liście św. Pawła do Koryntian, przypominając sobie, że nasza sytuacja jest zupełnie podobna. I skoro tamci wyszli z tej próby zwycięsko, to i nasz los może być zupełnie podobny.

Nie chciałbym bowiem, bracia, byście nie wiedzieli o udęce doznanej przez nas w Azji; jak do ostateczności i ponad siły byliśmy doświadczani, tak iż zwątpiliśmy, czy uda się nam wyjść cało z życiem.

Paweł przeżył coś trudnego, coś bardzo trudnego. Ale powiada: na terenie Azji byliśmy przesładowani. Na terenie dzisiejszej Turcji z tego wyszedłem, Pan Bóg mnie wyprowadził. Wyprowadził mnie raz, wyprowadzi mnie także i teraz, i również was wyprowadzi. Otóż to jest sam początek — pozdrowienie i dziękczynienie. Jego sens można by sprowadzić do dość prostego zdania. Mianowicie — jeżeli dzieje się coś trudnego, nigdy chrześcijanin nie jest sam. W tym, co jest trudne, cierpimy z Chrystusem, w wymiarach tego, co dotyczy naszego życia, zdrowia, w wymiarach tego, co dotyczy Kościoła. I już w samej świadomości, że cierpimy z Chrystusem, jest, mieści się pociecha, bo to od Niego przychodzi dla nas zbawienie.

Opuszczę kawałek tego listu, który dotyczy bardziej konkretnych okoliczności z okresu, kiedy Paweł ten list pisał, i nawiążemy teraz do fragmentu, w którym Apostoł odnosi się do trudności, których – jak powiedziałem – natury nie znamy, ale Apostoł te trudności podejmuje. I zwracając się do Koryntian napisał tak:

Sam to sobie postanowiłem, by nie przychodzić do was ponownie w smutku.

Otóż była jakaś krótka wizyta, krótkie odwiedziny, podczas których Paweł spotkał się z Koryntianami, i był bardzo smutny. Smutek zabija nadzieję. Smutek zabija również siłę, zabija pewność. Ci którzy głoszą Ewangelię, ci którzy głoszą wiarę, ci którzy głoszą Chrystusa, nie mogą być smutni. Zdarza się, że to, co czujemy, jest silniejsze niż to, w co wierzymy. Ale smutek nie jest dobrym towarzyszem ewangelizacji. Paweł okazał się smutny raz jeden, powiada: Nie chcę przybyć do was w takim właśnie usposobieniu. Również dzisiaj, jakkolwiek brzmi to być może odważnie, my nie możemy być smutni. Chrystus w Kościele w tym wszystkim, co słyszymy, o czym słyszymy, o czym się dowiadujemy, czym żyjemy, Chrystus jest i działa, jest obecny i zwycięża. Chociaż może być tak, że jak w potłuczonym lustrze — obraz Jego jest zamazany, to jednak jest nadzieja na to, że to lustro zostanie nie tyle złożone, co odmienione. I że w tym nowym lustrze wizerunek będzie z powrotem czysty, i będzie z powrotem dobry. Paweł odradza smutek. Chrześcijanie nie mogą być smutni. Wobec tego:

Jeżeli ja was zasmucam, któż mi radość sprawi, jeśli nie ten, którego ja zasmucam?

To są przedziwne sformułowania. Powiada tak: Przybyłem do was smutny, i to wam się udzieliło. Ale jeżeli wam się to udzieliło, to jeżeli ja mam być radośniejszy, to kto mi w tym pomoże? I odpowiada domyślnie; Wy! Wy wierzący! To wy macie mi pomóc. Przybyłem do was smutny, ale nie chciałbym być taki. Chciałbym, żebyście odmienili również i mój sposób widzenia. I tu dochodzimy do czegoś, co jest bardzo subtelne. Mianowicie w Kościele jest bardzo często tak, że stają przed wiernymi duchowni, stają kapłani, stają biskupi, stają zakonnicy, i pocieszają wiernych. Często skrywają, że sami potrzebują pocieszenia. Albo też mówią wiernym to, co odzwierciedla ogólne nastawienie, co jakby wzmacnia atmosferę smutku. I jeżeli coś ma być tutaj pomocą, to właśnie ta pomoc musi nadejść ze strony słuchaczy, ze strony wiernych. Paweł powiada: Powiedziałem wam, będąc u was, smutne rzeczy, i smutny wróciłem. Ale nie chciałbym być taki. Chciałbym, żebyście wy mnie podtrzymywali na duchu. Chyba dzisiaj, przenosząc to na nasze czasy, tak mi się wydaje doszło do tego, że nie tylko ci, którzy głoszą Ewangelię, nie tylko oni niosą słowa nadziei, słowa wzmocnienia, słowa pokrzepienia, słowa otuchy, słowa wytrwałości. Ale też potrzebują takich słów wzmocnienia, serdeczności, życzliwości, ciepła, dzięki którym ta radość, to wzmocnienie od wiernych mogłoby z powrotem do wiernych wrócić. Otóż powinna dokonywać się jakaś duchowa wymiana darów. Ona zawsze jest potrzebna. We wszystkich kontaktach między ludźmi zasadą sukcesu, zasadą powodzenia jest wzajemność. Nigdy nie odbywa się tak, że nauczyciel daje wszystko uczniom. Kto z państwa jest nauczycielem, doskonale wie, że największą radością dla nauczyciela jest to, co od uczniów otrzymuje, co jest niewymierzalne, niewypowiedziane, co przynosi duchową radość. To samo dotyczy rodziców względem dzieci, męża względem żony, i odwrotnie. To samo dotyczy przyjaciół — zasada wzajemności. I w Kościele również takim fundamentem powodzenia jest zasada

wzajemności. Polega ona na tym, że ci, którzy umacniają innych, też potrzebują umocnienia. Że ci, którzy dają innym słowa wsparcia, też takiego wsparcia potrzebują. I kiedy to wsparcie otrzymują, to wtedy to powraca do tych, którzy słuchają. I tworzy się więź, silniejsza niż kiedykolwiek. Dlatego, że siła głosicieli, siła nauczycieli w tym, co dotyczy wiary chrześcijańskiej, jest zawsze podwójna, dwojaka. Jedna, która pochodzi od Boga i z osobistego kontaktu z Bogiem. A druga, która pochodzi od ludzi i z tej osobistej wymiany darów. A więc to jest nie tylko tak, że apostoł, tak jak Paweł, pociesza Koryntian, ale sam oczekuje na pocieszenie od nich. Bo można wtedy tę pociechę nieść, kiedy się ją również otrzymuje. Kiedy odbywa się to, jak powiedziałem, na zasadzie wzajemności.

A napisałem to, aby nie doznać podwójnego smutku, gdy przybędę do tych, od których winienem doznawać radości;

Państwo zwróć uwagę — to są przedziwne słowa. Właściwie można byłoby ten list wziąć sobie na wieczór, zastanawiać się zdanie po zdaniu, i odnosić go nie tylko do sytuacji głosicieli, ale odnosić go do sytuacji w rodzinie, do sytuacji wśród przyjaciół, do sytuacji w kręgu najbliższych itd., itd. Paweł powiada bowiem tak. Że kiedy przybędę do was, to chciałbym doznawać od was radości. Żeby radość dawać, także tą radość ze spotkania z Chrystusem, to trzeba jej doświadczyć, trzeba jej doznać, trzeba ją mieć. Myślę, że w dzisiejszej sytuacji w naszym Kościele, także w Kościele warszawskim, ci, którzy stoją na czele tego Kościoła, i ci, którzy głoszą, którzy zbierają się, przygotowują się do niedzielnej mszy świętej, do kazania, do rekolekcji, do misji, bardziej niż do tej pory potrzebują życzliwości, serdeczności, wsparcia ze strony swoich wiernych. To wsparcie może przychodzić przez życzliwe słowa, może przychodzić przez nastawienie, przez ogólną atmosferę, przez modlitwę, rozmaite sposoby. Ale ci, którzy głoszą, są wtedy silni, kiedy jest to siła dziesiątek, setek, czy tysięcy tych, którzy ich wspierają. Bo jeżeli sam Paweł, który przecież był takim herosem wiary, jeżeli on potrzebował wsparcia ze strony tych, do których się udawał, no to daleko bardziej ci, którzy starają się go w tym, mniej czy bardziej udolnie, naśladować.

zresztą jestem przeświadczony co do was wszystkich, że moja radość jest także waszą radością.

Myślę, że wierni na ogół — może czasami państwu takie głosy, takie myśli przychodzą do głowy, nie wiem, ja jestem księdzem prawie 31 lat, więc już jest pewna perspektywa zachowana — ale być może państwu przychodzi do głowy coś, co można by określić takimi prostymi słowami: Co czuje ksiądz, który przygotowuje się w sobotę do niedzielnej mszy, do niedzielnej homilii, i który słyszał w telewizorze, w gazecie, w radio o jakimś kolejnym skandalu, o czymś kolejnym złym, o czymś kolejnym gnuśnym, o czymś kolejnym widowiskowym, co powiedzmy na klatce schodowej albo na ulicy jest przedmiotem plotek, może być szyderstwa, może być kpiny, może być ironii, cynizmu, czegokolwiek, a co dotyczy Kościoła tak czy inaczej. I teraz trzeba być przed wiernymi, i trzeba wiernym odprawić mszę świętą, sprawować mszę świętą, sprawować wszystkie sakramenty i wygłosić Słowo Boże, i patrzeć w oczy, stanąć naprzeciwko — co czuje, czy się nad tym zastanawia, co czuje. Jestem ciekawy jak, powiedzmy, człowiek świecki myśli sobie o tym kimś, kto jest głosicielem, nauczycielem, za pięć dwunasta. Otóż List św. Pawła do Koryntian daje tutaj wskazówkę. Wskazówkę, której być może nie zawsze jesteśmy świadomi. Mianowicie, że warunkiem skuteczności ewangelizacji jest życzliwa pomoc ze strony tych, którzy są jej odbiorcami i adresatami. Otóż miarą skuteczności ewangelizacji i tego dobrego, co ewangelizacja może przynieść, jest wspieranie tych, którzy stają pośród innych i niejako z obowiązku są świadkami słowa. Otóż siła — raz jeszcze podkreślam — głosicieli, ich powiedzmy jakość, wartość, ich wytrwałość, zależy od tych, do których się zwracamy. A więc raz jeszcze w grę wchodzi wzajemność. Ewangelizacja, wierność Chrystusowi odbywa się na zasadzie wzajemności. Kapłani, biskupi, głosiciele, nauczyciele zostawieni samym sobie mogą nie wytrzymać tej próby, której są poddani. Ta ewangelizacja może być mniej wartościowa albo nawet bezwartościowa wtedy, kiedy nie spotyka się z przychylną, z pozytywną, z dobrą, z życzliwą odpowiedzią. Oznacza to — chociaż brzmi to znowu pewnie dziwnie — że są sytuacje, w których słuchacze kazań muszą być, powinni być dojrzałsi, lepsi niż ci, którzy je głoszą. Oznacza to że ci, do których adresowane są słowa Ewangelii, którzy słuchają tych słów Ewangelii, muszą mieć czasami więcej podatności na wierność tym słowom niż ci, którzy te słowa Ewangelii przekazują,

którzy je głoszą. Na tym polega owa wzajemna duchowa wymiana darów, żeby także ci, którzy są głosicielami, umacniali się w swojej wytrwałości przywiązaniem i obecnością swoich wiernych. Paweł napisał:

Pisałem bowiem do was będąc w wielkiej rozterce i ucisku serca, wśród wielu łez, nie po to, aby was zasmucić, lecz żebyście wiedzieli, jak tym bardziej was miłuję.

Nie ma niestety takiego języka w dzisiejszych wystąpieniach kościelnych, albo jest tego języka za mało. Bo to nie jest język rozumu, to jest język emocji. To nie jest język rozumu, ale język serca. Państwo jeszcze raz posłuchają tych słów, bo one odkrywają ogromną wrażliwość św. Pawła:

Pisałem bowiem do was będąc w wielkiej rozterce

To, co się wydarzyło w Koryncie, Paweł bardzo przeżył. Czasami ci, którzy głoszą Ewangelię, przeżywają rozterki. Czasami przeżywają trudności o których ci, którzy ich słuchają, nie mają w ogóle pojęcia. I Paweł pisząc list przeżywał wielką rozterkę. Ta rozterka spowodowała i ucisk serca, jak napisał, to spowodowało, że pisał wśród wielu łez. Kiedy mężczyzna płacze, a Paweł był twardym mężczyzną, bo wiele razy znosił prześladowania, był bicowany, policzkowany, kamienowany, omal nie stracił życia, miał kłopoty za wzrokiem, był silnym człowiekiem — jeżeli mężczyzna pisze czy mówi, że płacze, to należy te słowa brać ze szczególnym nastawieniem. Trzeba je traktować szczególnie poważnie. A Paweł tak właśnie mówi, że po tym, co się stało, pisał list wśród wielu łez. Ale „nie po to, żeby zasmucić, ale żebyście wiedzieli, jak najbardziej was miłuję”. Oto jest relacja między głosicielami a słuchaczami.

Paweł pisze swoje słowa. Dzisiaj większość duchownych, biskupów głosi swoje słowa. Ale państwo zwróć uwagę, że w gruncie rzeczy pomiędzy tymi, którzy mówią, i tymi, którzy słuchają, powinna istnieć więź miłości. Że w gruncie rzeczy jesteśmy po to, żeby dawać sobie poznać, że tym bardziej siebie nawzajem potrzebujemy albo, jak mówi Paweł wręcz, że chcę „żebyście poznali, że tym bardziej was miłuję”. Otóż Kościół w którym przebija się, w którym jest obecny język miłości, taki Kościół przetrwa wszystko. Bo jak powiedzieliśmy, od początku w Kościele były rozmaite rzeczy trudne. I żeby je przezwyciężyć potrzebne jest zaufanie pomiędzy tymi, którzy głoszą, i tymi, którzy słuchają. I wtedy kiedy ci, którzy głoszą, gdy oni przeżywają rozterki, to dla nich wsparciem są ci, którzy słuchają, czyli zwyczajni wierni. Kościół bardzo potrzebuje wiary i siły miłości zwyczajnych ludzi. Bo w sytuacjach kryzysowych i trudnych to właśnie ta wspólna wiara zwyczajnych ludzi stanowi o sile Kościoła. I dalej:

Jeżeli zaś ktoś smutek sprawił, to nie mnie, lecz po części - by nie przesadzać - wam wszystkim.

Otóż skoro w Kościele działo się coś złego, najprawdopodobniej to polegało na jakimś bardzo silnym nieposłuszeństwie wobec Apostoła, może na sprzeciwieniu się Apostołowi, a Paweł mówi: To nie mnie, ale wam wszystkim. To, co dzieje się w Kościele złego, dotyczy nie tylko jednego człowieka, ale dotyczy nas wszystkich. To, co złe, nigdy nie ma jakiegoś odniesienia głęboko indywidualnego. Ma zawsze odniesienie wspólnotowe. I Paweł to bardzo mocno przypomina. Jeżeli słyszymy, że w Kościele problemy przeżywa biskup, że odchodzi kapłan, zwłaszcza powszechnie znany, wychowawca seminaryjny itd., to jest to ból dla wszystkich, dla każdego. W Kościele nikt nie jest jakby obserwatorem. Bo Kościół jest tak jak rodzina — to, co dotyczy dzieci, dotyczy rodziców, i na odwrót. To nie są tylko więzi jakiejś wspólnoty czysto ludzkiej, którą zawsze można zmienić, odmienić. Otóż Kościół to są więzi wspólnoty, która sięga samych tajników naszego sumienia. Gdy w Kościele ktoś się raduje, jest radością nas wszystkich. Gdy w Kościele ktoś cierpi, to cierpimy także my wszyscy. Gdy w Kościele ktoś okazuje niewierność, to jej skutki dotyczą każdego z nas. Otóż nieporozumieniem, jest czy wielkim bólem, jeżeli o tym, co trudne w Kościele, mówimy językiem plotek. Bo w gruncie rzeczy język plotek to jest jakby przyganieanie samemu sobie. I Paweł na to zwraca uwagę. To, co się wydarzyło tam w Koryncie, bardzo trudnego, dotyczy nas wszystkich. Ale zarazem dodaje zdanie, które jest bardzo ważne:

Niech już takiemu wystarczy, kara, wymierzona przez większość spośród was. Raczej wypada teraz wybaczyć mu i podtrzymać go na duchu, aby nie popadł ów człowiek w rozpaczliwy smutek.

Oto jest pedagogia chrześcijańska. Gdybyśmy stosowali tę pedagogię, to nasze życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Bo zło wtedy zwycięża, gdy właśnie do zła należy ostatnie słowo. Gdy za tyn, co złe, idzie mściwość, idzie żądza zemsty, idzie kara, idzie wrogość, idzie niechęć, idzie nienawiść. Jeżeli tak się dzieje, to zło zwycięża. Otóż zło wtedy zostaje przezwyciężone, kiedy skutkami tego, co złe, staje się przebaczenie, miłosierdzie, wyrozumiałość, miłość. Przychodzi to strasznie trudno, wiemy o tym doskonale. Ale słowa Pawła nie zostawiają żadnej wątpliwości. Ten ktoś, kto dopuścił się czegoś złego, został ukarany. Ta kara została wymierzona przez większość. Nie wiemy, na czym polegała. Nie potrafimy powiedzieć dlatego, że mamy tutaj realia Grecji z 57 roku naszej ery, a więc ponad 1950 lat temu. Nie znamy szczegółów, ale rozumiemy ogólną tonację. Paweł mówi: Został ukarany. Zostawmy go w spokoju. Zemsta nie jest niczym chrześcijańskim. Ale więcej — raczej wypada mu teraz wybaczyć i podtrzymać go na duchu. Wybaczyć i podtrzymać na duchu tego, który dopuścił się jakiegoś zła, który dopuścił się czegoś niedobrego. Bo, powiada Paweł, „żeby ten człowiek nie popadł w rozpaczliwy smutek”. Ileż to razy powiedzieliśmy, że rozpacz jest wrogiem człowieka. Bo rozpacz jest siostrą samotności. Człowiek skazany na rozpacz to człowiek, który idzie losem Judasza. Judasz popadł w rozpacz, bo gdy popełnił coś bardzo, bardzo złego, mianowicie sprzedał swojego Mistrza za 30 srebrników, zrozumiał to, poszedł do arcykapłanów, rzuca te pieniądze pod nogi i powiada: „Winien jestem krwi tego Sprawiedliwego!” A oni odpowiadają: „A co nas to obchodzi? To twoja sprawa!” I z jego bólem, w jego nieszczęściu zostawili go samego. A on poszedł i powiesił się. Otóż jeżeli mielibyśmy dzisiaj do czynienia z ludzkimi upadkami, ludzkimi trudnościami, to nawet tych, którzy dopuszczają się czegoś złego, nie można postawić w sytuacji rozpacz. Bo rozpacz nie pochodzi od Pana Boga. Ani samotność nie jest czymś, czego Pan Bóg chce. Otóż wtedy zło zostaje pokonane, gdy zostaje przezwyciężone przez dobro. A większe od wszelkiego grzechu, od wszelkiego występku, jest miłosierdzie i przebaczenie. Gdybyśmy poszli tą drogą to nawet to, co złe i niedobre, staje się takim drogowskazem ku temu, co dobre. Czy państwo widzą, że ten list do Koryntian, Drugi List do jakiegoś stopnia jest aktualny i do jakiegoś stopnia wyznacza nam horyzonty duchowe, za którymi i dzisiaj powinniśmy pójść. I dalej jeszcze kawałek:

Dlatego napominam was, abyście jego sprawę rozstrzygnęli z miłością.

Czy nie tak trzeba było zachować się na początku stycznia? Czy nie tak trzeba było zachować się przy wielu innych sytuacjach, rozstrzygać trudne sprawy ludzi z miłością? Czy nie tak należy zachowywać się w małżeństwie? Czy nie tak należy zachowywać się wobec dzieci? Czy nie tak należy zachowywać się we wszystkich sytuacjach naszego życia? Życie przynosi nam trudne sprawy. Ale ich rozstrzyganie bywa łatwiejsze wtedy, kiedy dokonuje się z miłością. Czy też nie jest jakoś symptomatyczne, że zawołanie biskupie naszego dotychczasowego biskupa kardynała Glempa brzmi: „Caritate in iustitia” czyli „Pełnić sprawiedliwość z miłością”. Te słowa nawiązują do tego fragmentu listu św. Pawła, do Drugiego Listu do Koryntian. I pamiętają państwo, że także w tej decydującej chwili, kiedy staliśmy wobec tej trudnej próby, usłyszeliśmy z ust prymasa słowa, w których sprawiedliwość łączyła się z miłością. Myślę, że to też jest jakiś znak dla nas wszystkich, bo przecież w życiu tak naprawdę przypadków nie ma. Więc „napominam was wszystkich, abyście jego sprawę rozstrzygnęli z miłością”.

W tym też celu napisałem, aby was wypróbować i aby się przekonać, czy we wszystkim jesteście posłuszni.

Dlatego, że w tym, co dotyczy przebaczenia, posłuszeństwo przychodzi najtrudniej. Możemy mówić sobie wzniosłe nauki, wzniosłe wskazówki, ale właściwie dopiero tam, gdzie dotykamy istoty przebaczenia, to dopiero widać czy ktoś idzie drogą chrześcijańską. W gruncie rzeczy modlimy się o to codziennie: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. To jest sedno chrześcijaństwa. Odmawiamy tę modlitwę dziesiątki tysięcy razy przez całe życie, ale za każdym razem musimy ją sobie przypominać wtedy, kiedy przychodzi ją zastosować w życiu. Bo ta modlitwa

ma także swoją drugą stronę. Mianowicie jeżeli my nie przebaczymy naszym winowajcom, nie mamy prawa prosić Boga o to, aby nam przebaczył. Czyli istnieje znów wzajemność w przebaczeniu, którego doznajemy od Boga, i którego narzędziami jesteśmy względem innych ludzi. I w Kościele droga przebaczenia jest drogą, którą w każdym pokoleniu chrześcijanie iść powinni.

Komu zaś cokolwiek wybaczyliście, ja też [mu wybaczam]. Co bowiem wybaczyłem, o ile coś wybaczyłem, uczyniłem to dla was wobec Chrystusa, ażeby nie uwiódł nas szatan, którego knowania dobrze są nam znane.

Otóż tam, gdzie nie ma przebaczenia, mówi Paweł, tam jest miejsce dla szatana, którego knowania dobrze są wam znane. Trzeba zatem przebaczać, żeby ostatecznie słowo należało do Boga. Bo nie ma rzeczywistości bardziej bożej, niż umiejętność przebaczenia. I to jest światło, które w Wielkim Poście z tego listu czerpiemy także w naszych czasach. Myślę, że ta refleksja w jakiś sposób stanowi taki wielkopostny drogowskaz dla nas wszystkich, że pokazuje nam horyzonty bardzo wzniosłe, pokazuje nam – można by powiedzieć – krainę bardzo odległą. Nie stać nas na co dzień na takie życie, ale wiemy, że jest możliwe, wiemy, że jest potrzebne, i wiemy, że tak powinniśmy żyć.

A dla państwa, myślę że z tego wszystkiego co powiedziałem, jedna myśl jest szczególnie ważna. W tak trudnych czasach, bo są trudne, państwa wiara, państwa świadectwo, państwa obecność w Kościele, modlitwa, wsparcie, które dajecie, to wszystko ma wartość bezcenną. Bo to wszystko sprawia że ci, którzy stają przed wami — a trzeba powiedzieć, że i ja również — na zasadzie wzajemności otrzymują siłę, którą mogą się potem jeszcze lepiej, jeszcze pełniej dzielić. I właśnie na tym polega przedziwna dobroć Pana Boga, który daje nam siebie, udziela nam siebie, ale jednocześnie sprawia, że i sami nawzajem dla siebie możemy i powinniśmy być takim zbudowaniem. Paweł to widział, Paweł o tym pisał, a o prawdziwości jego słów przekonujemy się również i my.

Czeka nas teraz druga część Wielkiego Postu, będzie nas czekało objęcie rządów archidiecezji warszawskiej przez naszego nowego biskupa. To z całą pewnością będzie znów bardzo wielkie przeżycie.

Natomiast ja państwa zapraszam na następną konferencję w dzień symboliczny i dla nas bardzo wzruszający. Mianowicie w pierwszy poniedziałek kwietnia, bo drugi to będzie poniedziałek wielkanocny. To jest poniedziałek 2 kwietnia — w drugą rocznicę śmierci Jana Pawła II. I właśnie wtedy — sam zastanawiam się już dzisiaj o czym będziemy mówić, co sobie rozważymy, ale postaram się żeby ten temat, który podejmiemy z Pisma Świętego dobrze przystawał do tej niezwykłej atmosfery drugiej rocznicy śmierci Jana Pawła II.

Bardzo państwu dziękuję. Pod Twoją obronę . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . .

7 W drugą rocznicę śmierci Jana Pawła II (2 kwietnia 2007)

Pochwalony Jezus Chrystus ... W imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolico Mądrości ...

Drodzy państwo, o ile od ponad 20 lat, od 21 lat nasze wspólne spotkania, konferencje nazywane konferencjami biblijnymi zawsze budzą mój szczerzy szacunek, uznanie, podziw dla państwa za cierpliwość w słuchaniu, uczestnictwie, w woli, tym pragnieniu wyjścia z domu i uczestniczenia w tych konferencjach, o tyle to, co dzisiaj się dzieje, ma dla nas wszystkich wymiar absolutnie szczególny i wyjątkowy. Bo zbieramy się, gromadzimy się wspólnie w drugą rocznicę śmierci Ojca Świętego Jana Pawła II. I oczywiście nie sposób sobie wyobrazić innego scenariusza niż ten, byśmy w tej wyjątkowej godzinie wrócili jeszcze raz myślami, pamięcią, słowami, wspomnieniami, sercem do jego osoby i jego pontyfikatu. I żebyśmy w ten sposób uczcili naszego wielkiego rodaka, także Chrystusowego Namiestnika, i byśmy w ten sposób, także gdzieś tam z głębi swoich serc, ze swojego wnętrza wydobyli te nuty, te odcienie, te niuanse, które chcielibyśmy dzisiaj przede wszystkim do Pana Boga skierować.

Dzień jest wyjątkowy. I proszę mi wierzyć, zastanawiałem się od czasu naszego ostatniego spotkania czemu poświęcić to spotkanie. Bardzo długo chodziła mi w głowie myśl, by poświęcić je refleksji nad męką Pana naszego Jezusa Chrystusa, czyli żeby w Wielkim Tygodniu, na początku Wielkiego Tygodnia dokonać takiej biblijnej refleksji nad opisami męki i śmierci Zbawiciela. Nawet do wczoraj jeszcze nosiłem się z tą myślą. Ale od wczoraj, gdy atmosfera staje się coraz bardziej intensywna, kiedy nasza zbiorowa pamięć społeczna, publiczna również, w środkach masowego przekazu, coraz bardziej nas scala, jednoczy, integruje, to oczywiście wydawało mi się rzeczą zupełnie stosowną a nawet potrzebną, byśmy raz jeszcze nawiązali do Jana Pawła II i byśmy zastanowili się, w gruncie rzeczy, nad jego miejscem w naszym życiu. Trudno jest mówić o papieżu dlatego, że bardzo wiele zostało o nim powiedziane. Nie chciałbym więc, żeby w całości było to powtórzenie myśli, które państwo znają. Ale z drugiej strony nie sposób przecież uniknąć pewnych wspomnień, powtórzeń, które muszą się pojawić, bo chodzi o życie i o pontyfikat tego jednego konkretnego człowieka i o nasze z nim związki. Można by dzisiaj szukać różnych kluczy do tego pontyfikatu tak jak mamy różne klucze do kilku zamków w drzwiach po to, żeby otworzyć to samo wejście. Ta różnorodność kluczy jest bardzo widoczna dookoła, także w naszych świątyniach.

Można byłoby zacząć od samego początku. Raz jeszcze zwrócić uwagę na niezwykle biografię Karola Wojtyły, a potem Jana Pawła II. Można byłoby zacząć od samego początku, który już doskonale znamy, a więc od maja 1920 r., od Wadowic, od dzieciństwa, od młodości. I w tych początkach jest coś, co — można by powiedzieć — ogarnia i spaja życie młodego Karola Wojtyły, mianowicie jest to obecność cierpienia. Zwracaliśmy uwagę na to wiele razy. Bardzo wcześnie stracił matkę, bardzo wcześnie stracił swojego brata, stracił drugiego brata, stracił także ojca. Stracił ojca w niezwyklej okolicznościach, bo powrócił w okresie okupacji z pracy do domu i zastał ojca martwego. Pisał o tym w swoich wspomnieniach. Musiało to być dla dwudziestoparoletniego Karola ogromne przeżycie. Kiedy pochował ojca, napisał, że nie ma już nikogo bliskiego jak tylko ciotkę, która jest z dalszej rodziny. A więc miał wrażenie już wtedy, że Pan Bóg go w jakiś przedziwny sposób ogołocił z bliskich po to, żeby mógł poświęcić się temu, czemu się poświęcił całkowicie.

Moglibyśmy mówić o latach okupacji, niezwyklej przecież, i o wielkich fascynacjach Karola Wojtyły. O fascynacjach polską kulturą, polskim językiem, romantyzmem, o jego zaangażowaniu w teatr, życie uniwersyteckie, akademickie. Wszystko to brutalnie przerwała II wojna światowa.

Moglibyśmy mówić o niezwyklej okolicznościach jego święceń kapłańskich. Otrzymał je sam, otrzymał je w uroczystość Wszystkich Świętych 1946 roku. I można byłoby tutaj dopatrywać się, i kiedyś próbowaliśmy to robić, analogii z innym wielkim Polakiem, mianowicie kardynałem Stefanem Wyszyńskim, który również swoje święcenia kapłańskie otrzymał sam, i to po wszystkich już kolegach. A biskup, który go miał święcić, a za chwilę wyświęcił, zwracając się do niego wyraził swoją wątpliwość, czy z takiego chorobliwego księdza może być jakiś pożytek na dłuższą metę. Taką też wątpliwość wyraził kościelny katedry we Włocławku. Okazało się, że ten pożytek był, i kościelny na szczęście racji nie miał.

Moglibyśmy wspominać i mówić o rzymskiej drodze Karola Wojtyły, o jego kapłaństwie, o tym, że bardzo wcześnie został biskupem — też w niezwyklej okolicznościach. Moglibyśmy mówić o tym czasie, kiedy był arcybiskupem metropolity krakowskiej, kardynałem, kiedy był uczestnikiem

Soboru Watykańskiego II. A więc pisał historię Kościoła, i Kościoła w naszej Ojczyźnie również. Moglibyśmy zatem poświęcić się omawianiu tamtego życia, tego życia przed pontyfikatem, i to by nam zajęło bardzo wiele czasu. Tych biografii powstało mnóstwo. Oglądaliśmy również zdjęcia i można by powiedzieć, że w jakiś sposób przyzwyczailiśmy się do tego wszystkiego i się z tym opatrzyliśmy.

Można byłoby wreszcie skoncentrować się na samym pontyfikacie. Można byłoby powrócić myślami przede wszystkim do tego, co wyznaczało początek i koniec tego pontyfikatu. A więc raz jeszcze wrócić myślami do 16 X 1978 r., aczkolwiek to już jest historia, bo prawie 30 lat temu i wyrosło pokolenie, dla którego nie są to wspomnienia ale prawdziwa, spisana historia, przejmowana z podręczników, z opowiadań, a więc przejmowana z drugiej i z trzeciej ręki. Ja myśląc o tym, o początkach pontyfikatu, nie mogę powstrzymać się przed jednym wspomnieniem, które zawsze, bardzo często mi wraca. Mianowicie opowiadałem o tym kiedyś państwu, i dzisiaj jeszcze raz przywołuję, że na bardzo krótko przed konklawe do Instytutu Polskiego w Rzymie, gdzie mieszkałem, na ulicy Pietro Cavallini, przybył kardynał Karol Wojtyła, a ponieważ kardynał Wyszyński tam przebywał podczas swoich pobytów rzymskich, to obaj przyszedli do refektarza, do miejscowej jadalni na posiłek. Obaj wspólnie jedli obiad. To był dosłownie przedostatni dzień przed pójściem na konklawe. I oczywiście w takiej luźnej rozmowie, bo była tam tylko mała grupa księży, pytano o to, jaki będzie rezultat tego konklawe — tak, ak gdyby ktokolwiek wtedy mógł ten rezultat przewidzieć. I pod koniec obiadu wstał kardynał Wyszyński i zaczął mówić, że trzeba aby Kościół miał znowu papieża. Dlatego że to, co się wydarzyło, było swoistym szokiem. Jan Paweł I sprawował pontyfikat tylko 33 dni i dlatego potrzeba wybrać nowego papieża po to, żeby Kościół mógł nadal żyć i oddychać. I że papież, który zostanie wybrany, papież, którego kardynałowie wybiorą, to będzie Jan Paweł II. A będzie tak dlatego, ponieważ misja Jana Pawła I nie doczekała się spełnienia, nie została zwieńczona. Jan Paweł II zatem podejmie dzieło Jana XXIII i Pawła VI, swoich wielkich poprzedników, i podejmie także dzieło Jana Pawła I. I mówił jeszcze kardynał Wyszyński dłużej na ten temat. A kardynał Wojtyła siedział tak bardzo mocno wciśnięty w krzesło, nogi wyciągnięte bardzo daleko pod stół, z głową zwieszoną na piersi, i tego wszystkiego słuchał. A kiedy kardynał Wyszyński skończył, to kardynał Wojtyła podniósł się i mówi: „No to chodźmy!” I takich właśnie mam ich w oczach obydwu, jak wstawali i wychodzili z tego refektarza, i mieli się wkrótce udać na konklawe. Potem za parę dni z tego konklawe powrócił kardynał Stefan Wyszyński. Ten, który powiedział na krótko przed, że papież to będzie Jan Paweł II, aczkolwiek zapewne nie przeczuwał ani nie myślał, że ów przyszły Jan Paweł II siedzi obok niego, siedzi tuż, tuż. Więc to jest takie wspomnienie, które mi się bardzo nasuwa.

Moglibyśmy wrócić więc do początków pontyfikatu i przypomnieć sobie te pierwsze zdjęcia, które obieły świat miliony i miliardy razy być może, i to historyczne „Habemus papam”. I moglibyśmy rozważać sens tego, co się wydarzyło w Wiecznym Mieście właśnie wtedy.

Moglibyśmy przerzucić się na drugi kraniec i moglibyśmy raz jeszcze przypomnieć okoliczności śmierci i pogrzebu Jana Pawła II. Każdy z nas ma tutaj własne wspomnienia, a jednocześnie nasze doświadczenie, zwłaszcza doświadczenie Polaków, jest bardzo głęboko wspólne, głęboko ze sobą połączone z tej przyczyny, że te wszystkie wspomnienia przeżywaliliśmy w bardzo podobny sposób. Moje wspomnienia dotyczące tego etapu umierania i śmierci Jana Pawła II są prawdziwie dramatyczne. Państwo je w gruncie rzeczy znają. Otóż wtedy od dłuższego czasu była przygotowywana pielgrzymka księży studiujących w Rzymie do Egiptu na Synaj i do Ziemi Świętej. Miałem tę pielgrzymkę prowadzić. Do Rzymu przyjechałem w Poniedziałek Wielkanocny po to, aby nazajutrz wyruszyć z tymi księżmi do Egiptu i na Synaj. Oglądałem też przedtem, w samą Wielkanoc, państwo też może pamiętają, te obrazy telewizyjne papieża, który nie był w stanie nic powiedzieć. I pokazywano go właśnie po mszy św. wielkanocnej, i nie mógł zrobić tego błogosławieństwa „Urbi et orbi”. Miałem takie przecucie, że to już jest sprawa dni, a może nawet sprawa godzin. Że to już jest koniec pontyfikatu. Dlatego, z bardzo ciężkim sercem polecałem do Rzymu. Kiedy przyjechałem do Rzymu, tam z kolei panowała taka opinia, że nie — że zdarzało się, że Ojciec Święty już wiele razy był w takim stanie, bardzo trudnym i bardzo ciężkim, że zdążyli się do tego nawet niejako przyzwyczaić, i że wszystko będzie dobrze. Mówiąc szczerze byłem tym strasznie zdziwiony. Byłem zdziwiony tym, że jakoś ta myśl o odejściu, o śmierci, nie jest jakby dopuszczana. Wydawało się mi to czymś niezbyt normalnym, a nawet, ja bym powiedział dosadnie, niezbyt chrześcijańskim.

Bo wydawało mi się, że stan Ojca Świętego jest taki, że trzeba poważnie liczyć się z tym, że to może być koniec pontyfikatu. Kiedy więc we wtorek, zaraz po Świętach, wyjeżdżaliśmy z Rzymu, lecieliśmy do Kairu, muszę powiedzieć, że właściwie całym sercem byłem w Rzymie i wydawało mi się, że wydarzy się coś, co będzie strasznie trudne. Każdego dnia będąc w Egipcie, będąc na Synaju dowiadywaliśmy się o stan Ojca Świętego z przekazów telewizyjnych i radiowych. Sam moment śmierci zastał nas na Synaju. Kiedy się o tym dowiedzieliśmy — była to tylko grupa księży, 40 księży — zapanował nastrój absolutnej żałoby. Dramatyczne było dla mnie, myślę, że dla tych młodych księży też, to, że przeżywaliśmy to wszystko z daleka od Polski. Nie było chyba dnia w moim życiu, w którym bardziej niż wtedy chciałem być w Polsce, tzn. wśród bliskich, wśród wiernych z którymi się spotykamy w niedzielę, wśród innych ludzi, wśród Polaków. Dlatego, że przeżywanie tego parę tysięcy kilometrów od domu niosło za sobą bardzo duży, olbrzymi ból. Naza jutrz, w niedzielę rano, udawaliśmy się z Egiptu do Izraela. Przekraczaliśmy granicę. W Egipcie, na Synaju — to jest szczerą pustynia — tej świadomości, kim jest papież, tak mocno nie było, chociaż ci miejscowi wiedzieli, że papież zmarł, i wiedzieli, że to jest człowiek ważny, i że ważny jest dla nas. Natomiast kiedy dotarliśmy na granicę, Izraelczycy byli dla nas wyjątkowo uprzejmi i wyjątkowo dobrzy. Powiedzieli od samego początku, że zdają sobie sprawę z tego, kim dla nas jest papież. A kiedy dowiedzieli się, że to jest grupa księży, to bez żadnych pytań i bez żadnej kontroli — co było wtedy nienaturalne — przepuścili na drugą stronę. Tam żeśmy sięgnęli po gazety. I pamiętam pierwszy napis w izraelskiej gazecie, ogromnymi literami, kwadratowym pismem wypisano: Atiflor met czyli „Papież umarł”. I te słowa były napisane na $\frac{3}{4}$ strony. I kiedyśmy sobie uświadomili, że papież nie żyje, uświadomili sobie już w tym świecie, który jest nam bliższy, to oczywiście wszystko to, co przeżywaliśmy, było jeszcze głębsze, jeszcze pełniejsze, jeszcze — można by powiedzieć — bardziej dramatyczne. Nie chciałbym wspominać następných dni, chociaż właściwie pamiętam je z telegraficzną dokładnością.

Natomiast chciałbym odnieść się do jednej chwili, która pozostała na całe życie i która zrobiła się jakoś symbolicznie wymowna. I być może to była ta jedna chwila, dla której musieliśmy być poza Rzymem, a w Ziemi Świętej — tak przynajmniej na to wygląda. Otóż ta chwila to jest pogrzeb Jana Pawła II. Ten pogrzeb odbywał się w piątek, a dopiero w sobotę, naza jutrz, mieliśmy wracać z Ziemi Świętej do Rzymu. Więc oglądaliśmy ten pogrzeb zapewne tak, jak ogromna większość państwa — w telewizji, i widzieliśmy ten sam przekaz. Właściciel hotelu zadbał, żeby telewizor był bardzo duży. Zadbał o to, żebyśmy mieli przed tym telewizorem to, co nam potrzeba, zadbał o jakąś wodę, o napoje, o herbatę, o kawę. Okazywał nam ogromnie dużo serca. Widział, że tych 40 mężczyzn, z których ogromna większość to ludzie koło trzydziestki, a dwóch nas było starszych — rektor Instytutu i ja, widział, że my przeżywamy to w sposób, który jest jakoś nieopisany. W związku z tym umożliwił nam przeżywanie tej żałoby, za co zawsze jesteśmy mu bardzo wdzięczni. A kiedy uroczystości pogrzebowe dobiegały końca, kiedy zobaczyliśmy tę trumnę wnoszoną do Bazyliki św. Piotra, autobus grzał już silnik, weszliśmy do autokaru, i za dosłownie 12 minut, bo patrzyłem na zegarek, byliśmy w Kościele Prymatu Piotra nad jeziorem Galilejskim. Czyli byliśmy w tym miejscu, w którym Jezus powierzył Piotrowi władzę pasterską. Byliśmy tam jedyną grupą, właściwie jedynymi ludźmi. Dlatego, że inni — jeżeli to byli chrześcijanie, katolicy — oglądali transmisje telewizyjne z pogrzebu w różnych miejscach, tam, gdzie było to dostępne. Natomiast my staliśmy się jedyną grupą, która w momencie, kiedy ciało papieża było składane do podziemi bazyliki watykańskiej, była nad Jeziorem Galilejskim. Mieliśmy tę wodę obok, pod nogami, w miejscu, w którym Chrystus pytał Piotra: „Czy ty Mnie miłujesz?” i usłyszał trzykrotne „Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię miłuję”, i w którym Piotr usłyszał od Chrystusa: „Paś baranki moje!” Te słowa były jednocześnie cytowane przez kardynała Józefa Ratzingera na mszy świętej pogrzebowej, w homilii pogrzebowej — i myśmy w tym miejscu stali! Może więc, powtarzam, było tak, że musieliśmy znieść ten Egipt i ten Synaj, i tę rozłąkę, i tę nieobecność w Polsce, tę prawdziwie dramatyczną nieobecność po to tylko, żeby w ciągu tego krótkiego czasu, ok. godziny, być właśnie tam, w tym wyjątkowym miejscu, i być jako rodacy Ojca Świętego, nad Jeziorem Galilejskim. Tak w każdym razie to traktuję.

Każdy z nas patrzy na pontyfikat Jana Pawła II w sposób bardzo osobisty. Bo nawet ci wśród nas, którzy są najmłodszy, to nawet oni mają swoje wspomnienia, skojarzenia, czasami zdjęcia, fotografie — czasami u stóp Ojca Świętego, czasami w Watykanie, czasami tutaj w Polsce. Mamy my wszyscy jakieś skojarzenia i wspomnienia, które się z papieżem łączą, i każdy z nas mógłby

coś ciekawego powiedzieć, co by się składało na taką wielką księgę życia Jana Pawła II gdzieś tam w naszych sumieniach i w naszych wnętrzach. Moglibyśmy rozważać najważniejsze elementy czy najważniejsze momenty z życia, z pontyfikatu papieża. Z pontyfikatu nie sposób ich wyliczyć. Ale tak dramatyczne, jak zamach na życie Ojca Świętego, tak ważne, jak rozmaite spotkania międzyreligijne, jak przygotowania do Wielkiego Jubileuszu, jak przeżywanie Wielkiego Jubileuszu Roku 2000.

Myślę, że wśród tych wspomnień szczególne znaczenie mają te, które wiążą się z cierpieniem papieża. Dopiero teraz, z książki kardynała Stanisława Dziwisza, dowiedzieliśmy się, że pierwsza diagnoza o tym, że Jan Paweł II cierpi na chorobę Parkinsona, pojawiła się już w pierwszej połowie lat 90-tych. Otóż tego nie wiedzieliśmy, nawet nie dopuszczaliśmy tej myśli, jeżeli jakieś skojarzenia się budziły. Ale od tamtej pory stan zdrowia Ojca Świętego systematycznie się pogarszał. Można by powiedzieć, że był ogołaczany ze wszystkiego, co miał, co lubił. Nie były to rzeczy materialne — lubił przyrodę, lubił jeździć na nartach, lubił korzystać z życia, z jego uroków w tym najlepszym tego słowa znaczeniu. Choroba sprawiła, że musiał z tego wszystkiego zrezygnować. Lubił podróżować, lubił rozmawiać, lubił się spotykać, lubił się uśmiechać — także i z tego wszystkiego miesiąc po miesiącu musiał zrezygnować. Lubił się poruszać, lubił wszędzie być obecny, wychodzić do ludzi, brać dzieci na ręce — i z tego też musiał zrezygnować. Kolejne operacje, kolejne pobyty w szpitalu. Do tego stopnia, że pod koniec lat 90-tych na pół żartobliwie, a na pół boleśnie powiedział, że ma właściwie trzy Watykany. Jeden to ten Watykan z placem św. Piotra, drugi to Castell Gandolfo, gdzie rezyduje, a trzeci to Poliklinika Gemelli. I że między tymi trzema Watykanami rozgrywa się jego życie. I tak już pozostało do końca tego pontyfikatu, przy czym coraz więcej miejsca zaczął zajmować ten Watykan numer trzy, do którego po raz pierwszy trafił w maju 81 r., a później już trafiał wielokrotnie.

Ja pamiętam szczególnie mocno, jeżeli chodzi o ten aspekt pontyfikatu, wydarzenie, które bardzo przeżyłem. Mianowicie 15 grudnia 2001 r. Ojciec Święty przyjął doktorat honoris causa od Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Miałem zaszczyt chodzić koło tego doktoratu, przygotowywać tę uroczystość, a potem być na tej uroczystości, kiedy Ojciec Święty ten doktorat zechciał przyjąć. Nazajutrz zostaliśmy zaproszeni w gronie rektorów, i bp Piotr Jarecki, zostaliśmy zaproszeni do papieża na obiad. To była niedziela, 15 XII. Nie sposób sobie wyobrazić tego, kiedy człowiek wchodzi do Watykanu i przechodzi już nie na sale audiencyjne, te, na które od czasu do czasu mogą trafić ludzie zaproszeni na audiencję z papieżem, tylko kiedy przechodzi się do apartamentów papieskich, tych najbardziej prywatnych, i wchodzi się w te okna, które widzimy z Placu św. Piotra, i stamtąd ogląda się Plac św. Piotra. To jest naprawdę widok wstrząsający. Pamiętam, że stałem przy oknie i patrzyłem na Plac św. Piotra, na Bazylikę św. Piotra, na ludzi, którzy tam przychodzą, aby oglądać papieża, aby czekać na niego, aby modlić się za niego. I w pewnym momencie podszedł bp Dziwisz i patrząc na to moje zapatrzenie — nawet go nie zauważyłem — w pewnym momencie je przerwał i pyta, co tak myślę. Podzieliłem się jakimiś myślami, m.in. i tym, że teraz, za tego pontyfikatu, pisze się absolutnie historia. Historia, która nigdy się nie powtórzy. I zapytałem go, jak on się czuje w tej historii. Odpowiedział mi mniej więcej tak — że nigdy te mury watykańskie nie słyszały tyle języka polskiego, co za pontyfikatu Jana Pawła II, że do niego się zdążyły niemal przyzwyczaić, zdążyły się go nauczyć. Ale że to nie będzie trwało wiecznie. I że pewnie nigdy, za naszego życia na pewno, ten czas się nie powtórzy. Zatem każda taka chwila tego pontyfikatu to jest wielki dar. I stałem, patrzyłem na Plac św. Piotra, i w pewnym momencie już było wiadomo, że jest czas obiadu. Ojciec Święty zwyczajem ludzi gościnnych, wielkich, zwyczajem staropolskim wyszedł, aby nas powitać. Czynił tak zawsze, nie był to żaden specjalny gest wobec nas, ale gest wobec każdego, kto był gościem papieża. I czekaliśmy, żeby podchodzić do Ojca Świętego. Wyszedł na korytarz, na taki mały korytarzyk, który przylegał do tego maleńkiego refektarza. I widziałem z jakim trudem opierał się jedną ręką o taką małą komodę. Z wielkim trudem stał. Po raz pierwszy, patrząc z bliska na tego człowieka, w którego oczach i na twarzy było widać ogromne cierpienie — był to rok 2001 — uzmysłowiłem sobie, że właściwie jest to już teraz pontyfikat cierpienia. I tak właśnie patrzyłem na ten pontyfikat do samego jego końca. Ojciec Święty starał się podać rękę, ucałowaliśmy tę rękę z szacunkiem. Patrzyliśmy na papieża, a papież z wielkim trudem wszedł również do tej jadalni. Tam usiadł i uczestniczył w naszej rozmowie poddając pewne wątki, pewne tematy, o których trzeba było rozmawiać, o których chciał czegoś więcej się dowiedzieć. I

jednocześnie zauważyłem wtedy wyraźnie, że nie może wypowiedzieć wszystkiego, co by chciał. Że to go krępuje. Ta niemoc wywołuje u niego dodatkowe cierpienie psychiczne bo ma pełną świadomość, że chce wypowiedzieć jakieś słowo, jakieś dłuższe zdanie, złożyć te sylaby w całość, żeby one brzmiały dobrze, poprawnie, po polsku — a jednocześnie ma z tym wielkie trudności. W związku z tym musi mówić krótko, musi mówić zdawkowo. Patrzyłem na to, i — przyznam szczerze — że to właśnie ten moment, ta chwila zbliżyła mnie do papieża najbardziej. Bo uświadomiłem sobie, że mniej teraz będzie znaczyło to, co papież robi, i mniej będzie znaczyło to, czego papież uczy. Natomiast najwięcej będzie znaczyło to, jak papież cierpi. Cały schyłek pontyfikatu stał się, w gruncie rzeczy, wielkim świadectwem cierpienia.

Moglibyśmy o tym wszystkim mówić jeszcze bardzo dużo. Moglibyśmy te wątki na różne sposoby i w różnych kierunkach rozwijać. Moglibyśmy posłuchać wielu innych przykładów tej bliskości, w której papież okazywał się kimś wielkim i pokornym zarazem. Ale przyszło mi do głowy, żeby podczas dzisiejszej refleksji zachować się trochę tak, jak zachowuje się człowiek po utracie kogoś bardzo, bardzo bliskiego. Myślę, że każdy z nas przeżył taki moment. Ten moment jest bodaj najtrudniejszy, wg. moich doświadczeń, w dwóch chwilach. Jedna — to sam dzień śmierci, kiedy człowiek wraca do domu, kiedy próbuje się położyć, próbuje spać. I próbuje sobie uświadomić, że oto ktoś bardzo bliski zmarł. I próbuje się oswoić z tą myślą. Ale wtedy — ja myślę, że to niemal wszyscy ludzie mają, a może wszyscy, bo wiele razy słyszałem to świadectwo — kiedy człowiek próbuje sobie zadać pytanie: Czy uczynił wszystko, czy zrobił wszystko żeby temu, zmarłemu już teraz, pomóc? Czy był dla niego wystarczająco dobry, czy był wystarczająco wyrozumiały? Ileż to razy jest tak, że potem powraca do nas myśl, że gdyby nam przyszło zacząć raz jeszcze, albo towarzyszyć raz jeszcze w tych ostatnich miesiącach, tygodniach, dniach, to byśmy zrobili to zupełnie inaczej? To byśmy dali z siebie znacznie więcej? To byśmy odłożyli to wszystko, co jest nieistotne, po to, aby się skupić, skoncentrować na tym, co jest naprawdę najważniejsze. Druga taka chwila, zupełnie podobna, to jest dzień pogrzebu. Kiedy już żałobnicy się rozejdą, kiedy rozejdzie się rodzina, kiedy rozejdą się inni najbliżsi, kiedy człowiek próbuje zgasić nocną lampkę i próbuje się położyć, znów wraca ta świadomość że ktoś jego bliski już od tej pory nie nocuje w domu, ani nie ma go pośród nas. Nawet nie ma jego ciała w szpitalu czy w kościele, w kaplicy czy gdziekolwiek, tylko że po raz pierwszy jest w miejscu, które oznacza ten stan po drugiej stronie życia. I raz jeszcze wraca to poczucie, że stało się coś absolutnie nieodwracalnego. A skoro stało się to coś absolutnie nieodwracalnego, bo już nigdy nie zobaczymy jego czy jej twarzy, nigdy nie będziemy mogli rozmawiać, nigdy nie będziemy mogli się poprawić, nigdy nie będziemy mogli zrobić nic dobrego. Bo skończyło się nawet to, że oddaliśmy nawet tę ostatnią przysługę.

Ten właśnie paradygmat, ten wzorzec żałoby najbardziej osobistej, wobec której każdy z nas kiedyś stanął albo stanie jeszcze, otóż ten model żałoby chciałbym przenieść na nasze rozważanie w drugą rocznicę śmierci Ojca Świętego Jana Pawła II. Mianowicie chciałbym, żebyśmy sobie uświadomili prostą prawdę, że z jednej strony gdyby — ale to „gdyby” jest absolutną historią wirtualną — gdyby ten pontyfikat raz jeszcze się powtórzył za naszego życia, właśnie ten pontyfikat, gdybyśmy raz jeszcze w nim brali udział, to byśmy spróbowali inaczej. To byśmy spróbowali jeszcze bardziej serdecznie, jeszcze bardziej świadomie. To byśmy chętniej odpowiadali na to, co papież mówił, czego papież dokonywał. Więc gdybyśmy mogli raz jeszcze towarzyszyć papieżowi, może bylibyśmy mądrzejsi, może bylibyśmy lepsi.

I ta myśl druga. Papież, jego ciało spoczywa w grotach watykańskich. Otóż nigdy go już tu nie będzie między nami, nigdy go nie zobaczymy. Widzimy go tylko w przekazach telewizyjnych co czasami nas troszeczkę ogłupia, bo tworzy wrażenie, że nic wielkiego się nie stało. Ten przekaz telewizyjny to jest oczywiście ponawianie tylko czy przywoływanie rzeczywistości, której nie ma. Otóż nie będzie już papieża między nami! Nie będzie go z nami, bo to jest niemożliwe — w taki sposób, w jaki był obecny. A więc musimy nauczyć się żyć bez niego. Tak jak musimy nauczyć się żyć bez matki, bez ojca, bez męża, bez żony, bez brata, bez siostry, bez dziecka, bez kogoś bardzo bliskiego wtedy, kiedy ta żałoba na nas przychodzi. Więc musimy się nauczyć żyć bez Jana Pawła II. Jakże ciężko to nam wszystkim przychodzi, to widać doskonale przez te dwa lata. Ileż w tym czasie okazało się potencjału słabości, ileż okazało się potencjału zła, niechęci, jątżenia, podejrzliwości. Wszystkiego tego zła, które można byłoby długo wyliczać w litanii. Ale zło ma to do siebie, że bardzo lubi, gdy się o nim mówi, więc połączmy temu tamę. Te dwa lata były dla nas bardzo trudne

i pozostają bardzo trudne. Musimy przejść pewnie przez tę próbę, czyli musimy nauczyć się na nowo, i musimy szukać na to jakiejś recepty, jakiegoś klucza, jakiejś pomocy, jakiejś drogi i jakiegoś wyzwolenia. A przede wszystkim musimy szukać tej przedziwnej, teraz już duchowej, obecności Jana Pawła II i również pamięci o nim.

I dlatego chciałbym, mając to na względzie, chciałbym, żebyśmy spojrzeli na ten pontyfikat zwłaszcza pod kątem głęboko polskim. To znaczy żebyśmy króciuteńko, na ile to jest możliwe, przypomnieli sobie te pobyty Jana Pawła II wśród nas. To, czego uczył. Droge, którą nam zalecał. Po to tylko, właśnie dziś, w drugą rocznicę, żebyśmy wiedzieli na jakim fundamencie mamy budować. Chodzi bowiem o to, żeby to, co dzisiaj przeżywamy, było nie tylko poruszeniem emocji, było nie tylko egzaltacją, było nie tylko — chociaż to bardzo piękne — lżą wzruszenia i pamięci. Ale żeby także temu towarzyszyła głęboka wiara, a wraz z nią dobre postanowienia, a przede wszystkim dojrzałość chrześcijańska. Świadomość tego, że nawet jeżeli nie jesteśmy lepsi, to staramy się być lepsi. Spójrzmy zatem wstecz, bo te pielgrzymki Jana Pawła II wyznaczają etapy nie tylko naszej najnowszej historii, ale wyznaczają również etapy w jakimś sensie naszej pracy nad sobą. Czasami pracy zaniedbanej, czasami odłożonej, czasami jakoś lekkomyślnie potraktowanej, ale przecież ciągle ona była obecna.

Ojciec Święty przybył do nas po raz pierwszy w czerwcu 1979 r., to już jest prawdziwa historia, 28 lat temu. Żeby to pamiętać, żeby mieć skojarzenia, trzeba dzisiaj w gruncie rzeczy mieć ok. 40 lat, pod czterdziestkę. Dlatego że ktoś, kto miał wtedy trzy, cztery, pięć, sześć lat oczywiście niewiele pamięta. Była to pierwsza pielgrzymka papieska w dziejach naszej ojczyzny. A od razu tak się stało, że był to papież Polak. Ja myślę, że jedna rzecz nam wtedy chyba wszystkim umknęła — mianowicie świadomość tego, kim Jan Paweł II jest. On jest — był — dobrym człowiekiem, wspaniałym chrześcijaninem, biskupem, kardynałem, poetą, dokonał bardzo wiele: uczonym, teologiem, wykładowcą. Można by jeszcze pewnie jeszcze mnożyć dalej przymiotniki i określenia, które Jana Pawła II dotyczą. Ale najważniejsze jest to, że był następcą św. Piotra i Namiestnikiem Jezusa Chrystusa. Taki człowiek jest zawsze tylko jeden, dzisiaj Benedykt XVI. Pośród miliardów ludzi, pośród ponad miliarda katolików, pośród milionów wierzących, pośród setek tysięcy księży i biskupów — ten jeden jedyny. Jedyny, który niesie na sobie ciężar jarzma Chrystusowego, ale jednocześnie jego słodycz. I papież przybył do nas. Przybył do nas, żeby nam wtedy powiedzieć o rzeczach najważniejszych. I tą rzecz najważniejszą, o której nam powiedział, można by streścić do słów, które zostały wypowiedziane w Warszawie i powtórzone w Gnieźnie. Mianowicie, że Kościół dał Polsce Chrystusa. I że Chrystus jest największym darem Kościoła dla Polski. Słowa te zostały wypowiedziane jeszcze w okresie tzw. PRL-u. Jeszcze w tym okresie, kiedy mówienie publiczne o sprawach religii nie było dobrze widziane. Nie zawsze jest dobrze widziane również dzisiaj, ale to jest sprawa osobna. Te słowa zostały wypowiedziane w tym okresie, kiedy Chrystus, Bóg, sprawy Boże były wypierane z życia publicznego. Papież to powiedział wyraźnie. I powie jeszcze, że właśnie z tym przeświadczeniem wyjechał z Polski do Watykanu. I jego pierwsza encyklika była poświęcona właśnie Chrystusowi. Chrystusowi, który jest Odkupicielem człowieka. Cały pontyfikat Jana Pawła II jest i był ukierunkowany na Jezusa Chrystusa. Papież był tak jak drogowskaz, który wskazuje drogę którą szły miliony ludzi. Dzisiaj Benedykt XVI na mszy św. celebrowanej o godz 17³⁰ podczas homilii użył bardzo pięknych słów zaczerpniętych ze św. Augustyna, którego zresztą Benedykt XVI bardzo lubi i często cytuje. Jak państwo wiedzą dzisiejsze czytanie, wyjęte z Ewangelii, przewidziane na Wielki Poniedziałek, to jest czytanie o tym, jak w domu Marii i Marty przebywając Jezus doświadczył gościnności polegającej na tym, że wzięto cały dzbanuszek alabastrowy wonnego olejku, złamano tę główkę, i wylała kobieta go hojnie na głowę Jezusa. „A cały dom” dodaje ewangelista „napenił się wonią, napenił się miłym zapachem”. I Benedykt XVI powiedział tak:

Dzięki Janowi Pawłowi II, za pontyfikatu Jana Pawła II cały Kościół, cały świat napenił się miłą chrystusową wonią. Ten papież był świadkiem Chrystusa, który pozwolił nam odczuć radość z bliskości z Chrystusem.

To była pierwsza pielgrzymka. Pierwsza pielgrzymka, podczas której ukazał centralną rolę i miejsce Chrystusa w naszych dziejach. Powiedział wyraźnie, że nie było Polski innej niż ta, która zaistniała wraz ze chrztem i której osią jest Jezus Chrystus. Dlatego też na Placu, wtedy Zwycięstwa, wołał głośno:

Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi!

Odnowi oblicze tej ziemi, czyli na powrót zbliży ją do Chrystusa, do Ewangelii. Te słowa okazały się pod wieloma względami bardzo, bardzo owocne. Kiedy wspominamy je dzisiaj, w drugą rocznicę śmierci Jana Pawła II, to powinniśmy zapamiętać rzecz jedną. Mianowicie najważniejsze miejsce w naszym życiu duchowym, religijnym, osobistym, społecznym powinien zajmować Jezus Chrystus. Życie człowieka o tyle ma sens, o ile jest ukierunkowane na Niego. Miłość człowieka o tyle ma sens, każda miłość – ta pomiędzy ludźmi, o ile prowadzi nas do życia z Nim. Wszystko to, co nas łączy i to, kim jesteśmy, i w ogóle to, że jesteśmy ludźmi, czyli stworzenie — ono jest zakorzenione w Odkupieniu, które przyniósł Jezus Chrystus. Albo życie człowieka ma sens, albo nie jest nic warte. Jeżeli nie jest nic warte, jesteśmy najniešťszeliwsiymi spośród wszystkich istot, jakie istnieją na ziemi. Bo mamy w sobie tęsknotę za nieśmiertelnością, która miałaby się nie spełnić? Gdyby tak było, to życie człowieka stanowiłoby jakąś wielką igraszkę, jakiś wielki żart, jakąś ponurą kpinę — i tak być nie może. Jan Paweł II uczył nas, że fundament naszego życia, i również naszego życia w Ojczyźnie, jest Jezus Chrystus. Warto wracać do tego wątku, warto się nad nim zastanowić. Wtedy też na Placu Zwycięstwa stali obok siebie dwaj: Jan Paweł II i kardynał Stefan Wyszyński.

Tych dwóch zabrakło cztery lata później, w r. 1983. Kardynał Wyszyński już wtedy spoczywał w bazylice św. Jana. Natomiast Jan Paweł II był niedługo po zamachu na jego życie. Bardzo chciał przybyć do Polski w 1982 roku na 600-lecie obecności cudownego obrazu jasnogórskiego. Ale to nie mogło dojść do skutku dlatego, że był stan wojenny. Podróż papieża, wizyta papieska została odłożona. Przybył zatem w roku następnym, 1983, i pierwsze słowa, które wypowiedział po wylądowaniu w Warszawie, to były słowa:

Pokój Tobie, Polsko, Ojczyzno moja!

Te słowa przyniosły rzeczywiście nam pokój, przyniosły rozmaite elementy pojednania. A papież przemierzając się z miasta do miasta powtarzał bez przerwy słowo „Ojczyzna”. Dawał poznać, że Polska, z której kilka lat temu wyjechał, jest jego ojczyzną, której los jest mu bliźszy, niż cokolwiek innego — poza oczywiście losem Kościoła, któremu przewodzi. To była bardzo wzruszająca podróż, podczas której powtarzał słowa wyjęte z Księgi Wyjścia, i z Pięcioksięgu Mojżesza, i z Ewangelii słowa Mojżesza i słowa Jezusa:

Nie lękajcie się!

I w ten sposób tworzył rozmaite pomosty. Pomagał ludziom zbliżać się do siebie. Czas był wtedy trudny, ponury. Setki tysięcy Polaków wyjechały ze swojej ojczyzny. Być może i państwo mają bliskich, którzy wyjechali właśnie wtedy, w początkach stanu wojennego. Inni pozostali. Była to wielka pielgrzymka, która budowała nadzieję. I tak się rzeczywiście stało. Myślę, że wobec tego wszystkiego, co się dzieje w Polsce, wobec rozmaitych brudów życia publicznego i politycznego, które czasami wołają o pomstę do nieba, które brudzą i szpecą nas wszystkich, że podstawowym obowiązkiem wszystkich, a przede wszystkim polityków, jest wzgląd na to, czego uczył papież podczas tamtej pielgrzymki. Że te słowa „Pokój Tobie, Polsko, Ojczyzno moja!” stanowią swoisty testament, wobec którego wierność powinni zachować wszyscy, a przede wszystkim rządzący.

Przybył Jan Paweł II po raz trzeci cztery lata później, w 1987 r. A sposobnością okazał się II Krajowy Kongres Eucharystyczny. I Ojciec Świety za motto swojego pobytu w Polsce, za motto swojego pielgrzymowania wybrał słowa:

Do końca nas umiłował.

Do dzisiaj mamy dziedzictwo tej pielgrzymki w postaci pieśni, którą ułożył ks. prof Kądziela i ks. bp Zawitkowski, biskup łowicki, i tę pieśń śpiewamy: „Do końca nas umiłował”. Bardzo piękna pieśń, która ukazała centralną rolę Eucharystii w życiu chrześcijanina. I w gruncie rzeczy właśnie to hasło eucharystyczne towarzyszyło Janowi Pawłowi II podczas jego pobytu w naszej ojczyźnie. Starał się odnowić pobożność eucharystyczną. Czyli starał się, żeby przywiązanie do Chrystusa i wierność Chrystusowi były nie tylko przekonaniem, przeświadczeniem, ale żeby stały się sposobem życia. Żeby stały się wewnętrzną więzią z Chrystusem. Zabiegał o to bardzo mocno.

A tym, co bardzo wstrząsnęło, była jego obecność na Westerplatte i spotkanie z młodzieżą. W tamtych jeszcze ciągle warunkach kończącego się PRL-u, wielkie spotkanie z młodzieżą, podczas której Ojciec Święty powiedział, że każdy młody człowiek musi przebyć, musi przejść, musi stanąć wobec swojego własnego Westerplatte. I że najtrudniejszym rodzajem zwycięstwa, jakie człowiek może osiągnąć, to jest zwycięstwo nad sobą. Zwycięstwo nad tym, co w człowieku złe i gnuśne. To wtedy papież powiedział, w każdym razie dał przykład słowom, że aby poznać dobro, to trzeba je czynić, a żeby poznać zło, to trzeba od niego stronić. I właśnie to nauczanie, te zachęty, te wskazówki, te drogowskazy miały nam wystarczyć na czas przemian społecznych i politycznych, które wkrótce nastąpiły.

Przyjechał papież czwarty raz w r. 1991, również w czerwcu. Wtedy była fala takiego podniosłego entuzjazmu. Zwłaszcza rządzący cieszyli się, że oto mamy papieża, mamy prezydenta którego wybraliśmy, mamy zmiany społeczno - polityczne, mamy dobrą koniunkturę w Europie, mamy dobrą koniunkturę w świecie. W związku z tym wydawało się, że jest aż nadto dużo powodów do świętowania. I temu właśnie narodowi, który wchodził na nowy etap swojej historycznej drogi, Jan Paweł II zaczął przypominać Dekalog. Podróżował z miasta do miasta i mówił o Dekalogu. „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”. „Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno”. „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił” — wtedy mówił o świętowaniu niedzieli. O konieczności adoracji Boga, którego trzeba uczcić w dzień odpoczynku po tygodniu pracy. Mówił:

- | | |
|--|---|
| 1. Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną. | 6. Nie cudzołóż. |
| 2. Nie będziesz brał imienia Pana, Boga swego, nadaremnie. | 7. Nie kradnij. |
| 3. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił. | 8. Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu. |
| 4. Czcij ojca swego i matkę swoją. | 9. Nie pożądaj żony bliźniego swego. |
| 5. Nie zabijaj. | 10. Ani żadnej rzeczy, która jego jest. |

Powtarzał nam na tych poszczególnych stacjach i omawiał przykazania. I okazało się po raz pierwszy za tego pontyfikatu, że nie wszystkim te słowa się podobały. Jedni powiedzieli, że już je dobrze znają. Inni powiedzieli, że to jest dość staroświeckie w Europie, która jest nowoczesna. Jeszcze inni powiedzieli, że właściwie Ojciec Święty ich zawiódł po raz pierwszy. A więc stawiają Ojcu Świętemu pułap, który w gruncie rzeczy papieża nie dotyczy. Ale papież przez całą swoją pielgrzymkę uczył właśnie tego i doskonale wiedział, co robi. Kiedy wyjechał, te głosy się nasiliły. Nasiliły się ze strony, z której być może, należało się spodziewać. Ale nie odpowiadało to należycie temu, żeby stamtąd przyszło. Okazało się, że i w Kościele są pęknięcia i że pod Kościół podszywają się ludzie, którzy w trudnym okresie jechali, że tak powiem, w tym namiocie Kościoła. Natomiast kiedy koniunktura się zmieniła, raptem potrzebowali nowej swobody, której Kościół dać nie może. Bo w Kościele można troszczyć się o wolność, ale nie o swobodę, tym bardziej o swawolę. I zapanowała swoista konsternacja.

Myślę, że jest to wciąż okres, nad którym warto się zastanowić. Jeżeli ci, którzy wracają do swojego domu po pogrzebie, i kładą się spać, i myślą, jak mogliby się zachować w tych warunkach, gdyby ktoś kochany nadal żył, to myślę że dla nas, wszystkich Polaków, mniej dla ludzi zwyczajnych i prostych, ale więcej dla rządzących — i w Kościele, i we władzach świeckich — jest tutaj obowiązek refleksji nad tym, co się wtedy wydarzyło. Ten swoisty sprzeciw wobec słów papieża i nauczania papieża nie znalazł wtedy takiego oporu, jaki powinien być temu sprzeciwowi dany. Papieża bardzo to bolało. Wiedział o tym. Wiedział, że takie głosy się rozlegają, i bardzo go to bolało.

Kiedy miał przyjechać swoim zwyczajem co cztery lata do Polski, a wypadało to w 1995 r., okazało się, że nikt go tak specjalnie mocno, gorąco nie zaprasza — z władz, co innego zwyczajni ludzie. Okazało się, że są jakieś takie wahania. Jak gdyby wszyscy się przyzwyczaili, że mamy papieża. Ojciec Święty bardzo to przeżył. Faktem jest, że w 1995 r. do Polski na długą pielgrzymkę nie przyjechał. Przebywał tylko kilkanaście godzin, przebywał w Skoczowie, w Bielsku - Białej, i w Żywcu, blisko granicy z Czechami, bo przebywał wtedy właśnie w Czechach, gdzie dokonał kanonizacji błogosławionego Jana Sarkandra. Mówiono nawet tak nieformalnie, ale myślę, że psychologicznie prawdziwie, że papież nie mógł znieść myśli, że byłby tak blisko Polski i do Polski nie przyjechać. Więc przyjechał jak gdyby na własne życzenie, żeby choć trochę otrzeć się o polską ziemię, bo tak

bardzo do niej tęsknił. Zmieniła się w tym czasie władza polityczna, jednego prezydenta zastąpił inny prezydent. I Ojciec Święty miał wrażenie, że Polska przesunęła się znacznie w lewo. Że jego głos nie jest w Polsce słuchany. Były też informacje, które docierały do Ojca Świętego, które wprawiały go w niejaki zakłopotanie — bo nie zawsze informatorzy mieli dobre rozeznanie o tym, co myślą ludzie. I raczej nie odzwierciedlali tego, co wierni myślą, tylko starali się opinię kształtować według swoich własnych priorytetów i swoich własnych zamysłów. Był to chyba najtrudniejszy okres tego pontyfikatu, z tej perspektywy postrzegając.

Ojciec Święty przybył w roku 1997. Był to wtedy pierwszy raz podczas długiej wizyty, podczas której nie przyjechał do Warszawy. Mógł to być przypadek, mógł to przypadek nie być zważywszy, że Warszawa jest siedzibą władz politycznych, i że w tamtej sytuacji mogło to być jakoś dla Ojca Świętego duchowo, wewnętrznie, psychicznie kłopotliwe. Myślę, że to jest znów szczegół, nad którym warto od czasu do czasu się poważnie zastanowić. Niekoniecznie gazetowo, radiowo i telewizyjnie, ale zastanowić się w najgłębszym tego słowa znaczeniu.

Przybył w 1997 r. i ta jego podróż odbywała się w klimacie przygotowań do Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Hasło tych przygotowań brzmiało:

Jezus Chrystus wczoraj, dziś i na wieki!

Własnemu narodowi Jan Paweł II powtórzył to, co powiedział podczas pierwszej pielgrzymki. Mianowicie Jezus Chrystus jest osią dziejów ludzkich, osią dziejów narodu polskiego, osią dziejów każdego człowieka. Życie ludzkie ma o tyle sens, o ile jest ugruntowane i zakorzenione w Chrystusie. Powiedział jeszcze więcej. Tym wszystkim, którzy idą drogą Dziesięciu Przykazań papież wskazuje i przypomina drogę jeszcze lepszą, mianowicie drogę Ośmiu Błogosławieństw. I przypominał Ojciec Święty na poszczególnych stacjach tą właśnie drogę Ośmiu Błogosławieństw pokazując, że jeżeli kogoś stać na to, żeby być dobrym, to powołanie polega na tym, że powinien być bardzo dobry. Nam w głowie i w pamięci zostało wiele z tych stacji, zwłaszcza obecność Ojca Świętego we Wrocławiu. A potem obecność Ojca Świętego w Gorzowie Wielkopolskim. Parę razy przypominaliśmy słowa. Papież wtedy zwrócił się, właśnie podczas tej pielgrzymki w 1997 roku prosząc:

Proszę was na kolanach, abyście się za mnie modlili. Bo mam do tego prawo, bo jestem jednym z was.

I po tej pielgrzymce — przyjmowany serdecznie, przyjmowany zwłaszcza przez górali, w Zakopanem, ten słynny śpiew, te dzieci, ta serdeczność, ta troska — spowodowały, że Ojciec Święty zobaczył, że istnieje silny rozdźwięk pomiędzy tym, co polityczne, a tym, co pochodzi od ludzi. I, myślę, ustąpiły jakiegokolwiek obawy, które zapewne wcześniej jakoś były obecne. I Ojciec Święty poczuł się z powrotem kochany, chciany we własnej ojczyźnie.

Był kochany i chciany zawsze. Tylko, że miłość ma to do siebie, że trzeba o niej mówić. A wydaje się, że wtedy takich zapewnień o wzajemności zabrakło.

Przyjechał przedostatni, siódmy raz Ojciec Święty do Polski w 1999 r. To było już na krótko przed Wielkim Jubileuszem. Papież już był coraz słabszy. Słowa, które wybrał i które nam głosił, okazały się profetyczne, prorockie:

Bóg jest Miłością

— takie właśnie hasło miała ta pielgrzymka. Podróżował papież wtedy w Gdańsku, w Pelplinie, w Bydgoszczy, w Toruniu — wyliczam te miasta dlatego, że Ojciec Święty chciał być w jak największej liczbie miast. Chciał, żeby wszędzie pozostał jakiś ślad obecności papieża. Dzisiaj mówi się, że niepotrzebne są spiżowe pomniki, najważniejsze są pomniki z ludzi. Ale ci, którzy tak mówią, nie zawsze troszczą się, by te pomniki z ludzi były. A występuję przeciw pomnikom spiżowym. Dzięki Bogu, że mamy również spiżowe pomniki, bo one nam przypominają. My musimy mieć znaki orientacyjne, tak jak mamy znaki drogowe. Ktoś może znać Kodeks Drogowy na pamięć ale musi mieć znak, który jeszcze mu to uprzytamnia. Te pomniki są znakiem. Dzięki tym pielgrzymkom mamy pomniki papieża w miejscach, gdzie nigdy do tej pory ich nie było. I być może kogoś skłaniają do refleksji, do zastanowienia, do przemyślenia, do postawienia świeczki, kwiatka, do modlitwy. A kiedyś w przyszłości będą takimi zwornikami. W moim przekonaniu te pomniki są tak jak kapliczki. One będą świadkami naszego czasu. Patrząc więc z podejrzliwością na tych krzykaczy, którym

pomniki się nie podobają. Być może w ich przekonaniu również i kapliczki nie są na tyle estetyczne, żeby można było o nie się troszczyć — ale tego nie odważą się powiedzieć. Więc pomniki są kapliczkami naszych czasów. Dobrze, że one są. Jedna są lepsze, drugie są trochę słabsze, mniej i bardziej udane — bo tacy my wszyscy jesteśmy. Ale Ojciec Święty chciał nawiedzić jak najwięcej tych miast nie ze względu na siebie, bo to nie była wycieczka, tylko ze względu na te tysiące ludzi, którzy w tych miejscach żyją i dzięki którym te miasta również zyskały bardzo wiele. Pamiętamy te bardzo poruszające momenty w Wadowicach, i owe papieskie kremówki. Pamiętamy, że zostało to jako jedno z najsilniejszych i najbardziej wzruszających wspomnień papieża, już wtedy starszego człowieka bo liczącego sobie 78 lat, który wracał pamięcią do krainy młodości. Takie wspomnienia, wyliczające okoliczne wzgórza, wycieczki, sklepy, i kremówki właśnie.

Ostatnia papieska podróż miała miejsce w dniach od 16 do 19 sierpnia 2002 r. Trwała tylko trzy dni, a i to zastanawiano się czy powinna mieć miejsce dlatego, że Ojciec Święty czuł się bardzo, bardzo słabo. Przyjechał do Polski i odwiedził to, co było dla niego wewnątrz i osobiście najważniejsze. Zobaczył Kraków, zobaczył sanktuarium w Kalwarii Zebrzydowskiej. I nawiedzając to sanktuarium w Kalwarii Zebrzydowskiej powtórzył słowa, które wypowiedział kilka lat wcześniej w Gorzowie. Ale do tych słów dodał coś nowego. Mianowicie:

Proszę

powiedział w Kalwarii Zebrzydowskiej

żebyście się za mnie modlili, teraz i po mojej śmierci.

To jest fragment papieskiego testamentu wypowiedzianego w Kalwarii Zebrzydowskiej. I osiągnęła ta pielgrzymka swoje apogeum w krakowskich Łagiewnikach, w sanktuarium Miłosierdzia Bożego. Ojciec Święty był wielkim czcicielem Bożego Miłosierdzia, i to sanktuarium zostało w szybkim tempie wybudowane po to, żeby on jeszcze zdołał je konsekrować. I tam właśnie, w tym sanktuarium wypowiedział wielkie słowa o Bożym Miłosierdziu. To była ostatnia pielgrzymka papieska. Kiedy Ojciec Święty miał opuścić Polskę, miał spotkanie na krakowskich Błoniach. I podczas tego spotkania, na krótko przed wyjazdem, powiedział tak:

Chciałbym dodać: „Do zobaczenia!” Ale to już jest całkowicie w Bożych rękach. Pozostawiam to bez reszty Bożemu Miłosierdziu.

A kiedy wchodził do samolotu, który miał go odwozić do Rzymu, to ostatnie słowa, jakie zanotowano na progu drzwi papieskiego samolotu an lotnisku w Balicach – Ojciec Święty odwrócił się i powiedział:

A na koniec — cóż powiedzieć? Żal odjeżdżać!

I z tymi słowami drzwi papieskiego samolotu zostały zamknięte.

Kiedy papież, starszy człowiek, mówi krótko, lakonicznymi, krótkimi słowami, to znaczy, że sprawy są bardzo ważne. Człowiek, który cierpi. człowiek, który coś przeżywa, nigdy nie buduje długich zdań, mówi krótko. I papież też wypowiedział krótko to: „Żal odjeżdżać!” Z tymi uczuciami opuścił Polskę. Nigdy już potem do Polski nie wrócił.

Mijają dwa lata od jego śmierci. I myślę, że przypomnienie tych papieskich słów to jest chyba najlepsze zwieńczenie tego, co dzisiaj wszyscy przeżywamy. Może też kiedy przyjdzie 21³⁷, to ta refleksja pobudzi nas do pamięci, ale nade wszystko do wdzięczności Panu Bogu, że staliśmy się świadkami takiego właśnie pontyfikatu i takiego wielkiego życia. Bo najwznioślejszą formą modlitwy, i to w każdych warunkach, nawet wtedy, kiedy odbywa się to przez łzy, najwznioślejszą formą jest zawsze adoracja. Zachęcam więc również państwa, aby kto tylko może to jeszcze na chwilę — na górze jest adoracja Najświętszego Sakramentu — by tam krótką swoją obecnością dopełnił tej naszej refleksji.

A kiedy przyjdzie czas śmierci i wejdziemy w trzeci rok po śmierci Jana Pawła II, to też pamiętajmy, że zaciągnęliśmy zobowiązania, które każdego dnia trzeba spłacać.

Bardzo dziękuję. Następne nasze spotkanie, na które bardzo serdecznie zapraszam, będzie w drugi poniedziałek maja, 14 V. Wrócimy do naszego stałego tematu. Chwała Ojcu ... Wieczny odpoczynek ... Niech odpoczywa ... Pochwalony Jezus Chrystus! Dobrych, radosnych, spokojnych, błogosławionych Święt!

8 Czym jest Kościół w samych swoich początkach? (14 maja 2007)

Pochwalony Jezus Chrystus ...Dobry wieczór państwu! W Imię Ojca ...Ojciec Nasz ...Stolico Mądrości ...

Bardzo, bardzo serdecznie państwa witam teraz w maju, po kilku tygodniach niewidzenia się. Ta przerwa była wyjątkowo długa i po części dotkliwa, także dla mnie, bo od początku kwietnia do połowy maja to sporo czasu. Tym bardziej więc i wyrazy uznania, zawsze te same, i wdzięczności za to, że państwo znów znaleźli czas aby być i aby Pismo Święte rozważać. Kiedy bierzemy je do ręki, bierzemy je zawsze w dwóch aspektach i rozważamy je w dwóch kierunkach. Jeden — rozważamy je jako słowo ludzkie, zagłębiając się w historię sprzed prawie 2000 lat i próbujemy poznać to i przybliżyć sobie to, co wydarzyło się w Ziemi Świętej, w Palestynie. Próbujemy przybliżyć sobie osobę, postać Jezusa, jego najbliższe otoczenie, początki Kościoła. I to jest jeden wymiar — historyczny, mianowicie ludzkie dzieje Słowa Bożego. Ale jest także ten drugi wymiar — właśnie te teksty, które czytamy, które bierzemy pod rozwagę, które wspólnie staramy się poznawać i pogłębiać, to nie są zwyczajne teksty z odległej starożytności. Te teksty były cierpliwie, z pokolenia na pokolenie, przepisywane, rozważane, komentowane, objaśniane, przemodlone. Z tymi tekstami ludzie, nasi poprzednicy w wierze, przeżywali całe swoje życie, zmagali się z nimi, odmieniali swoje życie, z tymi tekstami przechodzili na drugą stronę życia. Te teksty były cierpliwie podawane z pokolenia na pokolenie tak, że te księgi święte wyznaczały ramy życia wierzących, i tak pozostaje po dzień dzisiejszy.

Któregoś dnia nas zabraknie — najpierw tak pojedynczo, po kolei. A za lat kilkadziesiąt zabraknie ostatniej osoby spośród nas tutaj siedzących. A wtedy też tekst Pisma Świętego będzie przekazywany, podawany. I przyjdą nowe pokolenia, i też będą się w nim rozczytywać, i będą się nim modlić. Bo jest Pismo Święte Słowem Bożym przeznaczonym dla każdego człowieczego pokolenia. I właśnie dlatego każde pokolenie znajduje w nim coś dla siebie. I właśnie dlatego niezależnie od szerokości i długości geograficznej, niezależnie od kultury, od języka, od wykształcenia, od przyzwyczajęń, od wieku nawet, ludzie pochylają się nad księgami świętymi. Jedni spędzają nad nimi całe życie. Inni słuchają fragmentów, zwłaszcza podczas liturgii. Jeszcze inni siadają w domu, i czytają i rozważają. I pragną w ten sposób poznać nie tylko wejście Boga w świat, ale pragną też lepiej poznać i zrozumieć lepiej samych siebie. Bo znów te właśnie dwa wymiary — poznawanie bożej obecności w historii, a z drugiej strony poznawanie samego siebie i ustawianie swojego życia w nowym świetle — to są owoce czytania i rozważania Pisma Świętego.

Pismo Święte tłumaczone na wszystkie języki i na wszystkie dialekty świata. Do tej pory jest ich około dwa i pół tysiąca. Wydawane w milionowych nakładach. Nie ma żadnej księgi — pomimo tego, że są przecież wielkie zabytki ludzkiej kultury — ale nie ma żadnej księgi w dziejach ludzkości, która doczekałaby się tylu wielomilionowych wydań, i to w każdym pokoleniu. I my też zbieramy się dla tej księgi, ale zbieramy się również dla siebie. Gromadzimy się, bo ta księga rzuca światło na nasze życie, a my cierpliwie usiłujemy drażyć jej słowa, poznawać jej zawartość, i chcemy, by do nas przemawiała. Rabini żydowscy mówili, wspominałem o tym kiedyś państwu, że kiedy czytamy Pismo Święte, to trzeba czytać litery — czyli te czarne, zadrukowane fragmenty tekstu, w których znalazła wyraz wola Boża i pamięć ludzka. Ale trzeba także umieć czytać puste przestrzenie pomiędzy literami. A więc trzeba czytać to, co Pan Bóg nam mówi, co ma nam do powiedzenia. Ale trzeba również umieć czytać to, czego nie mówi, nad czym jak gdyby Pan Bóg się zatrzymuje.

My w tym roku postanowiliśmy jako przedmiot naszej refleksji mieć refleksję nad Kościołem, medytację nad Kościołem. Okazała się nie tylko aktualna, ale wręcz opatrnościowa. Bo kiedy zastanawiamy się nad różnymi aspektami, poziomami naszej obecności w Kościele i naszego bycia Kościołem, co trwa od jesieni, kiedy z różnych stron przyglądamy się tekstom świętym, to mam nadzieję również, że za każdym razem odkrywamy tę nieustającą aktualność Słowa Bożego, odkrywamy więź, która łączy nas z tymi, którzy prawie dwa tysiące lat temu uwierzyli jako pierwsi, na długo przed nami, w zupełnie innych warunkach, gdzieś tam w Ziemi Świętej, w Judei, w Samarii, w Galilei, potem na terenie Syrii, później na terenie Azji Mniejszej, Macedonii, Grecji, na terenie Cypru, Krety, Italii, Hiszpanii, Afryki północnej kładli podwaliny pod naszą wiarę, pod jej fundamenty. Kładli te pierwsze kamienie, a potem kładli fundament. I na tym fundamencie został zbudowany Kościół, w którym my również jesteśmy wszczępieni, i w którym my również jesteśmy

obecni. I ta nasza przygoda, jaką mamy z tekstem Pisma Świętego, to nie jest tylko przygoda dla intelektu, dla rozumu, dla ciekawości — po to, żeby się czegoś dowiedzieć — ale jest to przede wszystkim przygoda duchowa, a więc sięgająca gdzieś tam tajników naszego wnętrza i sumienia, zawsze coś poruszająca. I zawsze może zdarzyć się tak, że w momencie, którego człowiek się nie spodziewa, i w okolicznościach, których nie przewidzi, nagle jakieś myśli powracają. Nagle powraca coś, co zostało zasłyszane, i nagle okazuje nam się przydatne, pomocne, i okazuje się drogowskazem w naszym życiu. Zastanawialiśmy się więc na poprzednich sześciu konferencjach czym jest Kościół. Jedna z tych konferencji zyskała aktualność szczególną, na początku tego roku kalendarzowego, kiedy ta refleksja nad tym, czym jest Kościół, dotyczyła jednocześnie wymiarów, które były i nadal pozostają bardzo aktualne, i które wiązały się i wiążą z najnowszymi dziejami naszej archidiecezji.

Więc zastanawiamy się czym jest Kościół, bo chcemy lepiej zrozumieć siebie. Dlaczego my tu jesteśmy? Kim my jesteśmy? Dlaczego wyzwalamy z siebie takie duchowe energie? Dlaczego odkładamy inne rzeczy na bok, aby być Kościołem? Dzisiaj w naszej refleksji, siódmej z kolei — a siódemka to zawsze znak pełni, doskonałości w Piśmie Świętym, zatem wypadaloby, żebyśmy o tym co doskonale i pełne, mówili — skupimy się na tym *czym jest Kościół w samych swoich początkach i w samych swoich narodzinach*. Zrobimy to tym bardziej, że niedługo czeka nas uroczystość Zesłania Ducha Świętego. Zatem zastanowimy się, bierzemy jako punkt odniesienia na naszej refleksji tekst pochodzący z Dziejów Apostolskich, i opowiadający o samych narodzinach Kościoła. Było tak raz i drugi, że zwracaliśmy uwagę na ten tekst. Dzisiaj jednak spojrzymy na niego, postaramy się spojrzeć na drugi rozdział Dziejów Apostolskich z perspektywy, która – mądrze mówiąc – nazywa się eklezjologiczna. Czyli chcemy z tego biblijnego opowiadania, z opowiadania wyjętego z Dziejów Apostolskich, dowiedzieć się jak najwięcej o Kościele. Odpowiedzieć na pytania: Czym jest Kościół i dlaczego Kościół istnieje? A ponieważ za kilkanaście dni czeka nas uroczystość Zesłania Ducha Świętego, to tego rodzaju refleksja ma nas przygotować do tej właśnie uroczystości, która stanowi zarazem urodziny Kościoła. Można by powiedzieć, że w dzień Zesłania Ducha Świętego, w uroczystość Zielonych Świątek, Kościół obchodzi swoje urodziny.

Spróbujmy zacząć, jak zawsze, troszeczkę od podstaw, bo to jest bardzo ważne, żeby zrozumieć pewien problem. Otóż u samych początków naszej wiary jest Jezus Chrystus. To On nadaje sens temu, co się wydarzyło w Starym Testamencie, i On nadaje sens temu, co miało się wydarzyć w Testamencie Nowym, który my też oglądamy już z pewnej perspektywy. Wszystkie wydarzenia zbawcze Starego Testamentu, tego Pierwszego Przymierza, były ukierunkowane ku Chrystusowi. Pan Bóg cierpliwie Go zapowiadał i cierpliwie przygotowywał biblijnych Izraelitów na Jego rozpoznanie i przyjęcie. Jak wiemy Pan Bóg w spotkaniu z człowiekiem, i w spotkaniu z biblijnym Izraelem, również poniósł swoistą porażkę. Zawsze dzieje się tak — i to jest największy paradoks naszej wiary, największy paradoks religijności w ogóle — że Bóg niejako wydaje się w ręce człowieka. Że losy Boga zależą od człowieka — od człowieka, który Go wyznaje. Od człowieka, który Go głosi. Od człowieka, który jest Mu wierny, albo też od człowieka, który okazuje Mu niewierność i niewdzięczność. Bóg istnieje i jest obecny w świecie, ale jest obecny – można by powiedzieć – w jakimś uzależnieniu od ludzi. Nie może wejść w ten świat, bo niejako by go rozsadził. Nie może być w nim fizycznie obecny, bo przecież nie jest kimś fizycznym. Nie może się zamknąć jakby w wymiarach tego świata, bo to jest – gdybyśmy użyli jakiegoś porównania, które jest zupełnie banalne – to tak, jakby ktoś pomyślał, że można nadymać balon bez końca. Wiemy doskonale, że nie, że on ma swoją pojemność. Jeżeli zbyt dużo wtłoczymy tam powietrza, to on nie wytrzyma i pęka. Świat też nie wytrzymałby takiej namacalnej obecności bożej, bo Bóg przynależy do innego porządku. Jest w tym świecie obecny — ale jest obecny także dzięki temu i przez to, że jest obecny w wyznawaniu, w wierze, w postępowaniu, w głoszeniu, w uczynkach tych, którzy Go głoszą, tych, którzy starają się Mu być wierni. A ponieważ nie wszyscy wychodzą naprzeciw tej swojej powinności, zatem Bóg również z człowiekiem przegrywa. Czy przegrywa definitywnie i ostatecznie — tego nie potrafimy powiedzieć. Miejmy nadzieję, że nie! Miejmy nadzieję, że nie ma takich ludzi, którzy zostali postawieni na wieczność, na zawsze, poza nawiasem Bożego działania, poza nawiasem Bożej miłości. Bożego miłosierdzia — na pewno nie! A więc mamy nadzieję, że ostatecznie Pan Bóg przewycięży wszystko, co złe i gnuśne.

Ale jesteśmy także świadkami, jeżeli tak można powiedzieć, porażek Pana Boga w spotkaniu z człowiekiem. Za taką porażkę można by uznać los Jezusa. Jezusa, który jako Syn Boży stał się

człowiekiem. Mówiliśmy o tym kilkakrotnie, że człowiek zawsze poszukiwał bożej obecności. Chciał, żeby Pan Bóg mu się objawił. Bóg odpowiedział na to wołanie — i odpowiedział tak, jak się tego człowiek nie spodziewał, mianowicie stając się człowiekiem. I to stając się człowiekiem upokorzonym, wzgardzonym, zwyczajnym, w najzwyczajniejszym tego słowa znaczeniu. Więc człowiek obszedł się z Bogiem nie po ludzku, niemiłosiernie. W spotkaniu z Jezusem uzewnętrznił się cały grzech człowieka, cała jego złość, te wszystkie w nas pokłady, które są najsłabsze, najbardziej tragiczne, najbardziej dramatyczne. I Jezus poniósł skutki tej złości, tego grzechu. Przyjął na siebie to, co złe. A więc Bóg solidarny z człowiekiem posunął się, uniżył się tak bardzo, że to całe zło świata wziął w Jezusie jak gdyby na siebie po to, żeby je przemienić. I tej przemiany dokonał. Dzięki temu wina okazała się błogosławiona. Jezus przewyciężył śmierć, przewyciężył grzech, Jezus zmartwychwstał. Świadectwem i świadkami jego zmartwychwstania stali się ci, którzy mu towarzyszyli za jego ziemskiego życia.

I tak dochodzimy do istoty tego, co nas wprowadza w dzisiejsze rozważanie. Można by bowiem pomyśleć sobie tak. A może byłoby dobrze, gdyby Jezus ukazywał się w każdym pokoleniu tak, jak niegdyś ukazywał się swoim Apostołom, tym jedenastu, którzy pozostali Mu wierni. I ciągle potwierdzał swoją obecność. I ciągle potwierdzał że jest wywyższony, że jest w chwale, że przynależy do innego porządku życia. Może było by dobrze, gdyby nie było Kościoła? Po co właściwie jest Kościół? I czym właściwie jest Kościół? Czy nie można byłoby poprzestać na indywidualnym, na prywatnym wyznawaniu wiary? Czy nie mogłoby być tak, że oto Jezus ukazuje się wierzącym przynajmniej raz w życiu – a może częściej – i potwierdza im swoją obecność i swoje istnienie, i pociąga ich do siebie?

Ta myśl wydaje się banalna. I w gruncie rzeczy taka jest dlatego, że próbujemy sobie wyobrazić działanie boże nie takim, jakie ono jest w gruncie rzeczy, takim, jakie ono było, tylko takimi myślami, jakie nam do głowy przychodzą. To jest bardzo częsta pokusa w wierze polegająca na tym, że oto chcemy podpowiedzieć Panu Bogu jak On ma wobec nas zadziałać. Chcemy, żeby Pan Bóg zadziałał tak, jak my sobie tego życzymy. I tu dochodzimy do sprawy, która jest trudna, ale zarazem jej zrozumienie jest niesłychanie ważne. Otóż tam, gdzie człowiek usiłuje wyrzucić presję na Boga, i usiłuje w jakikolwiek sposób zmusić Go do tego, żeby Pan Bóg zadziałał tak, jak my sobie tego życzymy, tam kończy się wiara, tam kończy się religia, a zaczyna się magia. Magia ma to do siebie, że próbuje wymusić na bóstwie, na Bogu coś, wskutek czego Pan Bóg jest nam podporządkowany. Zapewne państwo słyszeli i wiecie dobrze, że na obrzeżach religijności, i poza nią, są też rozmaite formy przesądów, zabobonów, jakichś magicznych obrzędów. I to dzisiaj wcale nie mniej, niż kiedyś, tylko mają one inne kształty, inną formę, i ludzie w różny sposób próbują sobie Boga podporządkować i jak gdyby wymusić na Bogu określone zachowania. Gdyby udało się to zrobić, Bóg byłby nikiem więcej, jak tylko narzędziem w rękach człowieka.

Gdyby Pan Bóg odpowiadał na wszystkie ludzkie potrzeby tak, jak my tego chcemy, nawet jeżeli to są potrzeby dobre i godziwe, to przecież służyłby tylko zaspokajaniu tych naszych potrzeb. Bóg nie jest naszym instrumentem, nie jest naszym narzędziem, nie możemy Go wymusić. Zatem także Jego działanie wobec nas powinniśmy przyjąć takim, jakie ono jest. Pan Bóg ma własny plan wobec ludzkości i wobec każdego człowieka. A zarysy tego planu — może być tak — różnią się od tego, co myśmy przewidzieli.

Gdyby od nas zależały początki Kościoła i działanie Kościoła, to być może byśmy je sobie wyobrażali inaczej, niż w rzeczywistości się stało. Ale kiedy uważnie czytamy Ewangelie, a przede wszystkim Dzieje Apostolskie, wtedy przyjmujemy początki Kościoła takimi, jakimi one naprawdę były.

A było tak, że gdy Jezus zmartwychwstał, rozpoczyna od ukazywania się swoim bliskim. I okazuje się, że dochodzi do paradoksu. Paradoksu polegającego na tym, że z jednej strony ukazuje się w wymiarach tego świata i przynależy do tego świata, a z drugiej strony przynależy do porządku radykalnie nowego tak, że nawet ci, którzy Go znali przez jego ziemskie życie, czują się tym zaskoczeni i czują się niepewnie. Otóż to, co ponadczasowe, to, co ponad przestrzenią, to, co przynależy do wieczności, to wszystko nie da się wtłoczyć w ramy tego świata. Nam jest bardzo trudno zrozumieć to, co to znaczy duchowość. I dlatego duchowość może się obyć jak gdyby bez cielesności, jak gdyby obok nas. Ja nie potrafię powiedzieć czy ta analogia, na którą zwróć państwa uwagę, jest do końca trafna. Ale nic innego, nic lepszego nie przychodzi mi w tej chwili do głowy. Otóż wydawać

się może, że kiedy człowiek kładzie się spać, to całkowicie się wyłącza z wymiarów tego świata. I poniekąd tak się dzieje. Człowiek, który śpi, przestaje być świadomy tego, co się dzieje dookoła. Oczywiście żeby ten sen był dobry, człowiek musi mieć poczucie bezpieczeństwa, musi mieć jakieś poczucie spokoju itd. To wszystko wiemy. I kiedy się wydaje, że człowiek nie angażuje już ani swego rozumu, ani swojej woli, ani swoich uczuć, kiedy usnął, oto w człowieku pojawia się sfera, która dochodzi do głosu w postaci rozmaitych snów. Im bardziej wyobraźnia jest rozbudzona, im bardziej mamy życie jakoś napięte czy dramatyczne, tym najrozmaitsze są te sny. One są obok nas, bez nas jak gdyby — ale przecież z naszym udziałem. Do tego stopnia, że możemy to odtworzyć, możemy to opowiedzieć, możemy prześledzić logikę tego, co myśmy przeżyli we śnie. Może się też zdarzyć, że sen traktujemy tak, że wskutek tego, co się nam śniło, podejmujemy jakąś, taką czy inną, decyzję, choćby zupełnie błahą. Czy polegającą na tym, że oto mieliśmy sen, w którym śnił się nam jakiś człowiek, i przypominamy sobie o nim, przypominamy sobie nasze obowiązki czy nasze więzi z tym człowiekiem. Mówię to dlatego żebyśmy zrozumieli, że są w nas pokłady, na które nie mamy żadnego wpływu, które są tak samo nasze jak to, co dzieje się w dzień.

Otóż coś podobnego jest z tym, co najbardziej duchowe. Coś podobnego było z tym, co działo się z Apostołami po zmartwychwstaniu. Widzieli Jezusa, czuli Jezusa, a jednocześnie nie przynależał do tej rzeczywistości. Wszedł w historię, wszedł w czas, wszedł w przestrzeń, ale wszedł zupełnie inaczej. Czy mogło to tak trwać zawsze? Na to pytanie nigdy nie odpowiemy dlatego, że to jest pisanie historii wirtualnej. Faktem jest, że stało się inaczej. Mianowicie już za swojego ziemskiego życia Jezus zapowiadał Apostołom, że ich życie ulegnie odmianie, że ześle Ducha, który ich umocni, który doda im siły, który ukaże im prawdę, który pozwoli im zrozumieć to, co przeżyli, i to, co będą przeżywać. A przede wszystkim uzdolni ich do takiego życia, które będzie zgodne z nauczaniem Jezusa. Oni tego do końca nie rozumieli. Nie potrafili powiedzieć, co to znaczy. Żyli jeszcze w mentalności i w rzeczywistości Pierwszego Przymierza, Starego Testamentu. Pojmowali jeszcze wszystko tak, jak pojmowali ich ojcowie. A więc nie byli świadomi tego, nie wiedzieli do końca, kim jest ten Duch, którego Jezus zapowiada. Ale pamiętali! Pamiętali, że powinno wydarzyć się coś takiego, że ich życie ulegnie zmianie. Dlatego kiedy Jezus po zmartwychwstaniu im się ukazuje, to oni żyją jak gdyby w dwóch światach. Jeden to jest świat tego, co było. Przypominają sobie to, co przeżyli z Jezusem. Przypominają sobie to, co przeżyli od powołania, jego nauczanie, jego cuda, jego działalność. Przypominają sobie jego mękę, jego śmierć. Przeżywają jego ukazowania się — i to jest jeden wymiar.

A drugi wymiar — oczekują na coś nowego. Oczekują na przyszłość, którą zamierzył dla nich Pan Bóg. Nie wiedzą na czym ta przyszłość będzie polegała, ale przygotowują się do tej przyszłości. Na miejsce Judasza wybierają nowego Apostoła — dzisiaj mamy jego liturgiczne święto — mianowicie Macieja. Wybierają Macieja i uzupełniają grono dwunastu. Robią to, co do nich należy. Nawiązują symbolicznie do tego wszystkiego, co znają. A jednocześnie czekają żeby Pan Bóg wobec nich zadziałał, i żeby mogli żyć w tym świecie w nowy sposób. I tego właśnie dotyczy dzisiejszy fragment, z którego tylko pewne elementy weźmiemy sobie pod uwagę. Zwróćmy uwagę na to, co może nas dzisiaj, po prawie 2000 lat, interesować szczególnie. W Dziejach Apostolskich po rozdziale pierwszym, w którym opowiada się o tym, że Apostołowie zbierali się w Jerozolimie, gromadzili się w Wieczerniku, zbierali się na modlitwę, wspominali Jezusa — wszystko to trwa 40 dni, a więc czas dość długi, żeby utrwalić pewne wspomnienia. Ale oczywiście krótki — no bo cóż to jest 6 tygodni — przygotowują się do święta. To święto, które ich czekało, przypadało nazajutrz po 7 pełnych tygodniach. Siedem pełnych tygodni to 49 dni, nazajutrz — to 50-ty dzień, dlatego było nazywane Świętem Pięćdziesiątnicy. Pięćdziesiąty dzień! O ile Święto Paschy upamiętniało wyjście Izraelitów z Egiptu, o tyle Święto Pięćdziesiątnicy upamiętniało nadanie Prawa na Synaju.

Apostołowie pozostają więc w Jerozolimie. Do Jerozolimy również przybywają tłumy Żydów z całego świata, bo było to święto pielgrzymkowe, pielgrzymie. Należało do cyklu, który w języku hebrajskim nazywał się szalosz regalin, czyli *trzy razy na piechotę* — trzy razy pielgrzymujemy do Jerozolimy: na Święto Paschy, na Święto Tygodni czyli Pięćdziesiątnicę, i jesienią na Święto Namiotów, znane w naszej tradycji jako Święto Kuczek. Państwo zauważą, że ten rytm życia pozostaje jeszcze ciągle na poziomie Starego Testamentu. Jezus żył, Jezus umarł, Jezus zmartwychwstał, ale nie nastąpiło jeszcze pełne przejście do rzeczywistości Testamentu Nowego.

To nas prowadzi do pierwszej, bardzo ważnej konkluzji. Kościół, o którym za chwilę mowa, nie

wziął się znikąd. Korzeniem Kościoła są dzieje biblijnego Izraela. Dzieje Starego Testamentu, czasami nazywane – coraz częściej – jako dzieje Pierwszego Przymierza, to są również nasze dzieje. Wiara Abrahama, Izaaka, Jakuba, Mojżesza, wielkich królów, wielkich proroków — to są również dzieje, można by powiedzieć, przedchrześcijańskie, ale jednocześnie ukierunkowane ku chrześcijaństwu.

Zgłębiając tajemnicę Kościoła

napisał w dokumencie „Nostra etate” Sobór Watykański II

Kościół staje wobec rzeczywistości więzi z narodem Bożego wybrania, biblijnym Izraelem, i Pierwszym Testamentem.

Otóż my nie wzięliśmy się znikąd. Jesteśmy dziedzicami i spadkobiercami tamtej wiary. Znajomość Starego Testamentu jest tak samo istotna dla wiary, jak znajomość Testamentu Nowego. Aczkolwiek to właśnie przez pryzmat Nowego Testamentu rozumiemy tę rzeczywistość, która miała miejsce zanim był Jezus Chrystus. Dlatego bywało tak podczas naszych konferencji, że zwracaliśmy się do tej rzeczywistości Starego Testamentu. Dlatego jest tak, że podczas mszy św. niedzielnych i świątecznych zawsze słyszymy czytanie wyjęte ze Starego Testamentu. Dlatego bohaterowie wiary Starego Testamentu przynależą także do tej ekonomii zbawienia, w którą jesteśmy wszczepieni. Bo:

Wiele razy i na rozmaite sposoby

czytamy w Liście do Hebrajczyków

przemawiał niegdyś Bóg do ojców przez proroków, a w tych ostatecznych dniach

napisał autor tego listu

przemówił do nas przez Syna.

Mowa Boga do nas w Jezusie Chrystusie została poprzedzona tą rzeczywistością zbawczą Pierwszego Przymierza. Żeby to wiedzieć, trzeba być świadomym siebie i swojej godności, chrześcijaninem. Przeciętny chrześcijanin, który ma kiepskie pojęcie o swojej wierze, oczywiście ma też kiepskie pojęcie o rzeczywistości Starego Testamentu. Z drugiej strony powiedzieć trzeba, że ta rzeczywistość Starego Testamentu nie jest docelowa. To jest jak gdyby dzieciństwo naszej wiary. Wiara dojrzała przyszła wraz z Jezusem Chrystusem i z jego działaniem. Dlatego pomiędzy Starym Testamentem a Nowym Testamentem — i dochodzimy teraz do czegoś, co jest bardzo istotne — istnieje ciągłość, ciągłość Bożego działania, ciągłość Bożego planu, ciągłość Bożego zamysłu, ciągłość wiary. Ale istnieje też brak ciągłości — bo rzeczywistość Starego Testamentu należy już do przeszłości, rzeczywistość Starego Testamentu nie jest już do powtórzenia, nie jest naszym ideałem. Nie ma kultu ofiarnego, nie ma świątyni jerozolimskiej, nie ma obrzędów starotestamentowych. One mają dla nas wartość bardziej historyczną, niż jakąkolwiek inną. A więc — ciągłość — brak ciągłości — i nowość osoby i posłannictwa Jezusa Chrystusa.

Jezus to wszystko jak gdyby przekroczył. Nie przełamał, w sensie: zniszczył — ale wypełnił. Jezus jest wypełnieniem Starego Testamentu. Dlatego jeżeli ktoś chce naprawdę zgłębić swoją wiarę, poznać jej korzenie, poznać jej naturę, to powinien do Starego Testamentu się odwoływać. A szczególne miejsce w Starym Testamencie zajmuje księga modlitwy czyli Księga Psalmów. Psalmi są wielką modlitwą Ludu Bożego, która po dzień dzisiejszy może być na naszych ustach. I modlenie się psalmami, modlitwa psalmami przybliży nas do tego, co w Starym Testamencie było tak istotne.

Więc przychodzimy już do tego fragmentu tekstu. Wiemy że to, co za chwilę się wydarzy, jest osadzone w życiu Jezusa, w jego ukazywaniu się, ale także w całej tej ekonomii zbawczej Pierwszego Przymierza. I czytamy tak:

Kiedy nadszedł wreszcie dzień Pięćdziesiątnicy,

A św. Augustyn komentując te słowa napisał tak: „Tu najważniejsze słówko to jest *wreszcie*”. Widać zniecierpliwienie, widać czekanie, oczekiwanie. Apostołowie czekają na działanie Boże. Upłynęło 6 - 7 tygodni od męki, śmierci i zmartwychwstania. Tak dłużej być nie może — myślą

Apostołowie. Nie można żyć w dwóch porządkach: naturalnym, i czekać bez przerwy na Boży cud, na *chrystofanię* tak zwaną, czyli na ukazanie się zmartwychwstałego Chrystusa. Potrzebne jest takie życie, w którym człowiek wierzący staje w pełni na swoich własnych nogach. Wiara wymaga przede wszystkim zawierzenia. I ma dokonać się teraz przejście od wiary w Boga, w Chrystusa, w to, kim On jest, do zawierzenia Bogu i Chrystusowi, i temu, co On człowiekowi ofiaruje. Więc kiedy „nadszedł wreszcie” Apostołowie przyjmują ten dzień z ulgą. Ich życie było osadzone w realiach takich, jakimi one były. A oto dokonuje się coś nowego, i oni przyjmują to z radością.

znajdowali się wszyscy razem na tym samym miejscu.

Tradycja chrześcijańska umiejscawia to spotkanie na Syjonie. To jest góra, która znajduje się na południu starej Jerozolimy. Po dzień dzisiejszy zewsząd widoczna w Jerozolimie, bo wznosi się na niej bazylika Zaśnięcia NMP, obok jest Wieczernik — bardzo łatwo rozpoznawalne miejsce, jedna z największych świętości chrześcijańskich w Jerozolimie. Więc Apostołowie przebywają tam, na górze Syjon.

Nagle dał się słyszeć z nieba szum, jakby uderzenie gwałtownego wiatru, i napełnił cały dom, w którym przebywali.

Św. Łukasz, autor Dziejów Apostolskich, opisuje te zjawiska tak, jak je przeżywano, jak je zapamiętał, jak je czuł. Nie wszystko da się tutaj zracjonalizować. Nie możemy tego wytłumaczyć. Nie znamy natury tego wiatru, nie wiemy skąd się wziął. Autor mówi wyraźnie, Apostoł mówi wyraźnie: był to „jakby szum gwałtownego wiatru”. I znów to „jakby” jest najważniejsze. Nie można tego opisać inaczej. Doświadczenia wewnętrzne, przeżycia wewnętrzne pozostają na zawsze jakąś tajemnicą człowieka. To, co się stało, zostało przez Apostołów przeżyte jako dar wewnętrzny. Ale towarzyszyły temu także znaki zewnętrzne. Więc dokonuje się coś niezwykłego.

Ukazały się im też języki jakby z ognia, które się rozdzieliły, i na każdym z nich spoczął jeden.

Próbowano to objaśnić w ikonografii, w obrazach. Jak państwo wiedzą sztuka interpretacji Piśma Świętego nazywa się *egzegezą*. Słowo jest pochodzenia greckiego. Po grecku [egzegezis] znaczy wyjaśniać, objaśniać, interpretować, komentować. Egzegeza tekstu to jest wyjaśnianie tekstu. Można tekst wyjaśniać słowami tak, jak my teraz to robimy. Ale można też tekst objaśniać za pomocą obrazu, kiedy ten tekst przekłada się na język wzroku i na język tej wyobraźni, która ma charakter plastyczny. Można więc ten tekst malować jako obraz, można też tekst przedstawić w postaci rzeźby, można go wreszcie przełożyć na język muzyki. Mamy przecież motywy sakralne, które żyją w muzyce, i które wszyscy doskonale znamy. Można wreszcie dokonać egzegezy w języku architektury. Bywają wielkie zabytki kultury materialnej, które nawiązują do motywów biblijnych. Być może państwo przypominają sobie obrazy przedstawiające Zesłanie Ducha Świętego. Przedstawiają one Apostołów, a nad każdym z nich taki ognisty język — symbol Ducha Świętego. To właśnie ogień stał się symbolem Ducha Świętego. Bo funkcja ognia od początku jest dwójaka — ogień rozjaśnia, i ogień rozgrzewa. I jest to symbolem, że ogień stanowi światło, które ukazuje nam drogę. Ale jednocześnie ogień stanowi siłę i moc, która nas wyposaża do czegoś. Ogień stał się więc symbolem Ducha Świętego. I tak mamy tutaj ten język symboli: „jakby wicher”, „jakby ogień” — nie znaczy to, że wicher i ogień. Ale Apostoł – św. Łukasz Ewangelista i autor Dziejów Apostolskich, nie jest w stanie tego inaczej powiedzieć. Nie potrafi tego opisać, nie potrafi tego podać innym językiem, niż język tych symboli. Więc:

i na każdym z nich spoczął jeden. I wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym, i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić.

Darem Ducha staje się dar języków. Ten dar języków z języka greckiego nazywa się [glossolalia]. Znów musimy postawić tutaj pewne tamy, pewne granice naszej wyobraźni. Nie potrafimy powiedzieć, nie wiemy dokładnie, czy Apostołowie przemawiają wszystkimi możliwymi językami, czy przemawiają językami zrozumiałymi dla ich sąsiadów. Otóż okazuje się, że Zesłanie Ducha Świętego daje im łatwość wyrażania siebie, wypowiedzania siebie. Jak wiemy także wśród nas są tacy,

którzy są bardzo wymowni, elokwentni. Ale są tacy, którzy są zdecydowanie bardziej milczący, i którym zabieranie głosu, zwłaszcza publiczne, przychodzi trudno.

Apostołów było dwunastu, każdy z nich był inny. Byli wśród nich zapewne tacy, którzy byli zaprawieni do głoszenia. Ale byli wśród nich na pewno i tacy, którzy byli bardziej milczący. I oto teraz Zesłanie Ducha Świętego uzdalnia ich wszystkich do mówienia, do głoszenia. Jeżeli Chrystus i to, czego On dokonał, ma być światu znane, musi być przedmiotem głoszenia. Pierwszym obowiązkiem wierzących i pierwszym obowiązkiem Kościoła jest świadectwo o Chrystusie. To świadectwo ma dwa poziomy: przykład życia, ale pierwszy poziom to jest wierność Chrystusowi, która znajduje wyraz w tym, że się o Nim mówi, że się o Nim opowiada. Apostołowie zostają właśnie do tego uzdolnieni. Mówią językami, stają się wymowni zdecydowanie bardziej niż do tej pory, aby o Jezusie mówić. Nie tylko myśleć, nie tylko medytować na jego temat, ale także Go głosić. Głoszenie Jezusa, głoszenie jego zmartwychwstania, przynależy do samego sedna misji Kościoła. Kościół, który by nie głosił Jezusa, traci swoją rację bytu. Ale można by to powiedzieć głębiej. Także chrześcijanin, który nie głosiłby Jezusa, znaczy, że ma w sobie zbyt mało tej duchowej mocy, która każdemu i każdej z nas jest potrzebna. Istnieje potrzeba mówienia o Jezusie, dawania świadectwa o Jezusie. Może to jest tak, że każde pokolenie potrzebuje swoich głosicieli i swoich świadków. Tak było u Apostołami, którzy byli u początków.

Przebywali wtedy w Jerozolimie pobożni Żydzi ze wszystkich narodów pod słońcem.

Przebywali w Jerozolimie, ponieważ przybyli na święto. Już wtedy obok judaizmu palestyńskiego istniał tzw. judaizm diaspory. I na te święta pielgrzymie Żydzi z różnych stron świata przybywali do Jerozolimy. Zwróćmy uwagę, że byli przygotowani na orędzie o Jezusie poprzez wszczęcie w Stary Testament, w to Pierwsze Przymierze. Dla nich było to przygotowanie. Powinni być podatni na to, co się wydarzy.

Kiedy więc powstał ów szum, zbiegli się tłumnie i zdumieli, bo każdy słyszał, jak przemawiali w jego własnym języku.

Żydzi mieszkali w różnych rejonach starożytnego świata — od Indii po Gibraltar. A więc od Mezopotamii i dalej, aż po dzisiejsze Maroko i Hiszpanię. Mówili różnymi językami i różnymi dialektami. Kiedy przybywali do Jerozolimy, mieli czasami problemy żeby porozmawiać, dogadać się między sobą. Tym razem słyszą słowa o Jezusie w języku, który jest językiem każdego z nich. Znowu nasza wyobraźnia musi się tutaj zatrzymać. Jak to jest możliwe — nie możemy na ten temat powiedzieć nic pewnego, możemy tylko próbować zgadywać.

«Czyż ci wszyscy, którzy przemawiają, nie są Galilejczykami?» - mówili pełni zdumienia i podziwu. «Jakżeż więc każdy z nas słyszy swój własny język ojczysty?»

Apostołowie byli Galilejczykami, pochodzili z Galilei, z północnej części Palestyny. Zatem mówili jednym tylko językiem, i jedną odmianą tego języka – dialektem galilejskim, którym tam mówiono. Tymczasem oni słyszą, wszyscy zebrani, każdy we własnym języku. Ewangelia stale musi być tłumaczona, podawana, objaśniana, komentowana w różnych językach. Niezależnie od tego, gdzie ludzie żyją, tam musi być podawana. Ewangelia ma wymiar powszechny, uniwersalny — i to jest druga cecha Kościoła. Życie żydowskie na etapie Pierwszego Przymierza, na etapie Starego Testamentu, miało charakter zdecydowanie bardziej etniczny. Ten judaizm biblijny był religią Żydów. Tak po dzień dzisiejszy jest z religią żydowską. To jest religia Żydów. Między religią a narodem następuje utożsamienie. Chrześcijaństwo znowu te granice przekracza, wyrasta ponad nie, można by powiedzieć — je rozrywa. Chrześcijaństwo ma to do siebie, że obejmuje każdego człowieka i wszystkie ludy. Kiedy wejdziemy do synagogi, to możemy słusznie domniemywać, że modlący się człowiek jest Żydem, a w rzadkich wypadkach — że chce nim się stać. A gdy wchodzimy do kościoła, do świątyni naszej, to modlący się człowiek może być człowiekiem każdej rasy, każdej kultury, każdego języka, każdej narodowości — i coraz bardziej widzimy ten uniwersalny wymiar Kościoła, bo on był widoczny, dla nas Polaków zwłaszcza, za pontyfikatu Jana Pawła II, i teraz za pontyfikatu Benedykta XVI również. Papież udaje się do różnych ludów i narodów. I nie może być między nami

zazdrości typu np. że papież Polak traktował w wielką miłością, serdecznością ludy Afryki, Ameryki Południowej czy Australii, czy gdzieś na wyspie Fidzi. Benedykt XVI przybył do nas w ubiegłym roku, był dla nas dobry, serdeczny, starał się nas zrozumieć, i co niedziela stara się powiedzieć kilka zdań po polsku. Ale jednocześnie pojechał do Brazylii i całym sercem otwiera się na tamtych ludzi, którzy też mówią, że on jest „nasz”.

I takie jest chrześcijaństwo. Chrześcijaństwo i Kościół nie jest ograniczony do żadnej kultury, do żadnego języka. Widzimy obok siebie różnych ludzi, i dla każdego człowieka jest miejsce przy Chrystusie. To jest jeden z największych wyróżników Kościoła, do którego tak się przyzwyczailiśmy, że nie zwracamy na niego zbytnej uwagi. A niesłusznie! Bo nie ma w świecie drugiej religii, która byłaby tak uniwersalna, tak powszechna, tak otwarta na każdego człowieka, jak chrześcijaństwo. Kiedy ktoś przychodzi i pragnie przyjąć chrzest, to nie interesuje nas czy on jest Polakiem, Irlandczykiem, Kanadyjczykiem, czy Ugandyjczykiem. Interesuje nas co wie o Jezusie, czy ma świadomość tego, kim jest Jezus, i czy chce Go wyznać, uznać i wyznawać. Wszystko inne schodzi na dalszy plan. I to również jest owoc Zesłania Ducha Świętego — tego, które wydarzyło się na samym początku. Mianowicie powszechność naszej wiary. Komu z państwa dane było gdzieś być daleko od Polski, nieraz w egzotycznym kontekście czy środowisku, to mógł tego doświadczyć. Wchodzi do świątyni, do kościoła, i czuje się u siebie. Bo w kościele każdy powinien czuć się u siebie. Konsekwentnie w (K)kościół — tym przez duże „K”, i tym przez małe „k”, pojmowanym jako budowla — nie ma miejsca na żadne podziały, na żadną dyskryminację. Jeżeli to się kiedykolwiek działo — a niestety działo się, bo raz jeszcze okazuje się, że jesteśmy ułomni i nawet na poziom naszej wiary przenosimy nasze przyzwyczajenia i stereotypy, które odkrywają kim naprawdę jesteśmy. Więc jeżeli dzieje się tak, że w Kościele są jakieś podziały, to jest to gorszące, i zawsze w Piśmie Świętym Nowego Testamentu mieliśmy ich potępienie. Bo do Kościoła należymy wszyscy równi. Można by powiedzieć — ta godność, którą uzyskujemy w Kościele, jest jakby odzwierciedleniem godności, którą mamy z samego aktu stworzenia. Kiedy człowiek się rodzi, to każdy przychodzący na świat jest taki sam. Przychodzi w takich samych warunkach, i przychodzi na zasadzie równości. Kiedy człowiek umiera, to poza zewnętrznymi okolicznościami jego przejście na drugą stronę dokonuje się też, użyjmy tego języka, demokratycznie czyli jednakowo. I Kościół odzwierciedla tę tajemnicę życia i tajemnicę śmierci. Odzwierciedla ją przez to i w tym, że oto w Kościele wszyscy jesteśmy równi. Bo jesteśmy równi przed Bogiem, i Kościół jest otwarty dla każdego człowieka. Zdarza się także i u nas coraz częściej, że widzimy ludzi przyjeżdżających z innych kultur, widzimy przyjeżdżających z innych krajów, a czasami z innych kontynentów. I warto o tym wtedy pomyśleć, że obowiązkiem każdego i każdej z nas jest otwarcie się na tego drugiego człowieka, który jest wyznawcą Jezusa Chrystusa, i wyjątkowa z nim solidarność.

I teraz mamy wyliczenie, które państwo dobrze znają:

Partowie i Medowie, i Elamici, i mieszkańcy Mezopotamii, Judei oraz Kapadocji, Pontu i Azji, Frygii oraz Pamfilii, Egiptu i tych części Libii, które leżą blisko Cyreny, i przybysze z Rzymu, Żydzi oraz prozelici, Kreteńcy i Arabowie - słyszymy ich głoszących w naszych językach wielkie dzieła Boże».

Samo to wyliczenie jest tak barwne, że należałoby wziąć rzutnik, zrobić mapę starożytnego świata i ukazać państwu coś, co jest geografią teologiczną. Mianowicie geografiją, która ma ogromne znaczenie z perspektywy zbawczej. Łukasz prawie 2000 lat temu wylicza rozmaite narody mieszkające w starożytnym świecie i mówi o Żydach, którzy z tych krajów przybyli do Jerozolimy i stali się uczestnikami i świadkami Zesłania Ducha Świętego. I mówi tak. Kto z państwa ma duży zmysł geograficzny, może to sobie odtworzyć. Mówi: „Partowie i Medowie”. Partowie i Medowie zamieszkali na terenie dzisiejszego Iranu, a więc na wschód od Mezopotamii. „I Elamici” – dodaje. To był naród mieszkający w obecnym północnym Iraku. Jesteśmy więc daleko na wschodzie starożytnego świata. Dalej: „mieszkańcy Mezopotamii” — a więc jesteśmy w środkowym i południowym Iraku. Dalej: „Judei oraz Kapadocji”. Judea jest na terenie Palestyny, a Kapadocja – na terenie dzisiejszej Turcji, w środkowej Turcji. Więc posuwamy się coraz bardziej na zachód. Dalej: „Pontu i Azji”. Pont — to jest w pobliżu dzisiejszego Stambułu, nad Morzem Czarnym. A „Azja” to jest nazwa terytorium, które otrzymało nazwę Azji Mniejszej, są to znaczne połacie dzisiejszej Turcji. A więc jesteśmy na północy. Zwróćmy uwagę — nigdzie na tym etapie nie wyszła wiara dalej, niż

Morze Czarne. Ale to już stosunkowo niedaleko od nas, od naszych przodków. Dalej: „Frygii oraz Pamfilii”. Frygia – to jest środkowa Turcja, Pamfilia – to są wybrzeża Morza Czarnego w kierunku dzisiejszej granicy z Rosją. „Egiptu” — przenosimy się na południe, „i tych części Libii” — wiemy gdzie leży Libia, „które leżą blisko Cyreny” — Cyrena to jest dzisiejsza Cyrenajka. Dotarł tam w początkach ewangelizacji św. Marek. „I przybysze z Rzymu” — o Rzymie to już mamy dobre pojęcie. „Żydzi oraz prozelici” — a więc Żydzi oraz ci, którzy z pogaństwa nawrócili się na judaizm.

Oto ramy geografii teologicznej — od wschodu poprzez Azję, czyli Azję Mniejszą, przez Syropalestynę, po Egipt, aż po Libię. Ci wszyscy Żydzi oraz prozelici przybyli, aby doświadczyć działania Ducha Świętego. I w komentarzach pojawia się od razu myśl — a przecież są rejony świata, które nie zostały wymienione! Rejony starożytnego świata, które odegrały ogromną rolę, jeżeli chodzi o początki chrześcijaństwa, a o których nie ma tutaj wzmianki. Jakie? Np. Syria, okolice Damaszku, Antiochii, Cypr. Następnie dzisiejsza południowa Turcja, Grecja, Macedonia — o nich tu wzmianki nie ma. A państwa pamiętają, że przecież to właśnie te rejony, o których tutaj się nie mówi, stały się miejscem nauczania św. Pawła Apostoła. Tam, w te rejony, z których nie było przybyszów w dzień Zesłania Ducha Świętego, albo być może nie odegrali oni większej roli, tam udawał się św. Paweł. I tam miał pozyskiwać wierzących. Dzięki temu 20 - 30 lat po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa wieść o Nim obiegła już cały starożytny świat. Słyszano o Jezusie od Mezopotamii aż po północną Afrykę, po Italię, i po Grecję. To, czego — można by powiedzieć — zabrakło w tym Bożym działaniu, dopełnił człowiek, który miał w sobie iskrę bożą.

Kościół to jest zawsze spotkanie dwóch rzeczywistości: Boga, który się objawia i działa, i człowieka, który odpowiada na to Boże objawienie i działanie. Można by powiedzieć, że ręką Bożą w świecie jest człowiek. Kto z państwa był w Turcji albo być może słyszał o tym, wie, że w pobliżu starożytnego Efezu jest przepiękne miejsce, które nazywa się Wzgórze Słowików. Wjeżdża się tam, bo miejsce jest strome, może trochę podobne do Monte Cassino, więc wjeżdża się autokarem, wejść byłoby bardzo trudno. Widoki są przepiękne, zielono, również miejscami widok na morze. A na samej górze jest dom czczony jako dom Najświętszej Maryi Panny, która miała tam ze św. Janem przebywać, i miała tam dopełnić swojego ziemskiego życia. I w tym domku Najświętszej Marii Panny, odwiedzionym przez Pawła VI, Jana Pawła II i Benedykta XVI, jest figura Najświętszej Marii Panny. I ta figura jest o tyle niezwykła, że nie ma obydwu rąk — kończą się mniej więcej w okolicach łokcia. I Maryja jest z tymi dwoma fragmentami rąk. I natychmiast dodaje się tam objaśnienie — że jest to jedyne takie miejsce na świecie, i nikt nie próbuje tej figury uzupełniać ani naprawiać. Dlatego, że wg. miejscowej tradycji, przyjmowanej także przez muzułmanów, nie tylko przez chrześcijan, to ci, którzy tam przybywają, pielgrzymi i pątnicy, mają być rękoma Maryi w świecie. To, co jest do zrobienia za pośrednictwem Maryi, mają zrobić ci, którzy tam przebywają. Mają zrobić Jej wyznawcy.

Myślę, że ten piękny obraz doskonale przystaje do atmosfery Zesłania Ducha Świętego i do natury Kościoła. Mianowicie Pan Bóg, i Chrystus Zmartwychwstały obecny w świecie jak gdyby pozbawił się rąk w tym znaczeniu, że pragnie żeby to ci, którzy w Niego wierzą, stali się narzędziami Jego działalności, Jego miłosierdzia, Jego łaski. Więc pod tym względem mamy do czynienia ze współdziałaniem między Bogiem, który się objawia, i człowiekiem, który na to Objawienie odpowiada, i który jest potrzebny. Kościół więc jest połączeniem tych dwóch wymiarów: Boga i człowieka. Wielka musi być nasza godność, jeżeli patrzymy na nas, na siebie nawzajem, i na siebie w ogóle, w takim właśnie świetle. Wielka musi być potrzeba wierzących, jeżeli nasze zadania, nasze posłannictwo są tak bardzo wzniosłe.

Zdumiewali się wszyscy i nie wiedzieli, co myśleć: «Co ma znaczyć?» - mówili jeden do drugiego. «Upili się młodym winem» - drwili inni.

Ta końcówka tego pierwszego fragmentu wprowadza bardzo silny dysonans. Ona bowiem pokazuje, że w świecie mogą dziać się rzeczy przedziwne. Że można doświadczać wielkich i wzniosłych spraw i rzeczywistości, i że nawet to, co najbardziej wzniosłe, może być przedmiotem zwątpienia a nawet kpiny i ironii. Otóż w świecie jest zawsze przedziwny podział. Chociaż Pan Bóg objawia się, i objawia swoją moc i siłę, to zawsze są tacy, którzy przyjmują to z dystansem. Nie potrafimy powiedzieć dlaczego tak się dzieje. Z dalszego toku tego nowo-testamentowego opowiadania wynika, że św. Piotr powiada do nich: „Jakże oni mogą się upić młodym winem, skoro jest dopiero trzecia

godzina dnia”, tzn. skoro to jest 9 rano. Bo całe to zgromadzenie miało miejsce właśnie o 9 rano. Na Bliskim Wschodzie nigdy nie było zwyczaju, i po dzień dzisiejszy nie ma zwyczaju, aby ktokolwiek rano pił wino. Więc to nie jest tak, że upili się młodym winem! Ale Kościół będzie stawał od tej pory zawsze wobec zadania jak gdyby uwiarygodniania siebie. Zawsze musimy być gotowi na to, że trzeba nam zdać świadectwo z naszej wiary, które spotka się z rezerwą, z niechęcią, a czasami z drwiną, czy czasami z kpiną. Na to trzeba reagować tak, jak wiemy z tego opisu, reagować stanowczo ale spokojnie. To przedziwna rzecz, że w naturze człowieka jest takie rozdwojenie. I musimy być zawsze przygotowani do tego, żeby zaświadczyć o naszej wierze ze stanowczością, ale jednocześnie ze świadomością że to, co mówimy, to, co robimy, nie dla wszystkich jest przekonujące. Nie dla wszystkich jest przekonujące dzisiaj — może jutro to się zmieni. Potrzebna jest cierpliwość, potrzebna jest cierpliwa wytrwałość. A nigdy załamywanie rąk! A więc dawanie świadectwa nie może być obliczone, i głoszenie Chrystusa nie może być obliczone, na doraźną skuteczność. Czasami trzeba się przyzwyczaić do tego, że jak gdyby przegrywamy. Co się z tym stanie w dłuższym przedziale czasowym — na to nigdy nie mamy wpływu, tego nie wiemy, czy zazwyczaj tego nie wiemy. Potrzeba zatem cierpliwości. Może jest tak dlatego, że satysfakcję z tego działania, owoce z tego działania musi mieć Pan Bóg, nie człowiek. Te owoce są potrzebne Bogu. Człowiek musi mieć świadomość, że nawet w tym, co dobre, powinien wyzbywać się egoizmu, powinien wyzbywać się swoistej pychy, powinien wyzbywać się poczucia zadowolenia. Bo ten egoizm, pycha czy samozadowolenie, one psują owocność jego świadectwa.

Taki więc był Kościół u samych początków. Rodził się bardzo powoli, bardzo nieśmiało. I także pośród, jak widzieliśmy, rozmaitych napięć.

Kiedy Apostołowie doświadczyli daru Zesłania Ducha Świętego, wtedy wystąpił Piotr i wygłosił pierwsze w swoim życiu kazanie. Nigdy przedtem nie głosił takiego kazania. A kazanie to — już tylko króciuteńko, bo będą je państwo słyszeli w dzień Zesłania Ducha Świętego — ma następujący schemat. Najpierw Piotr mówi: „To, co się stało, to jest spełnienie oczekiwań Starego Testamentu”. Po drugie mówi: „Zwróćcie więc baczenie uwagę na to, co się dzieje”. Po trzecie mówi: „Istotą, w centrum tego wszystkiego, jest zmarły, umęczony i zmartwychwstały Chrystus”. I po czwarte powiada: „Skoro doświadczacie czegoś tak niezwykłego, weźcie to sobie do serca i starajcie się żyć zgodnie z zasadami Chrystusa”. I te cztery okoliczności w gruncie rzeczy po dzień dzisiejszy wyznaczają schemat dobrego kazania. Wyjście naprzeciw oczekiwaniom i naprzeciw temu, czego Bóg już dokonał. Uważne przyjrzenie się temu, co się dzisiaj dzieje. Wyeksponowanie Jezusa Chrystusa, który jest w samym centrum naszej wiary. I wzięcie Go sobie pod uwagę tak, aby stosownie do jego wymogów odmieniać własne życie.

Taka jest, można by powiedzieć, duszpasterska, pastoralna funkcja Kościoła. Świętemu Piotrowi, który przemawiał, bardzo się udało to przemówienie — nie dlatego, że był wymowny, ale dlatego, że Bóg zadziałał. Tego dnia w odpowiedzi na jego wystąpienie, w odpowiedzi na to, co się działo, nawróciło się pięć tysięcy osób. Tak w Jerozolimie narodził się Kościół. Takie są nasze początki.

Pointa jest jedna. Kiedy przyglądamy się temu wszystkiemu, kiedy rozważamy te początki Kościoła, to powinniśmy pamiętać o pewnej prostej prawdzie. A prawdy proste są zawsze najważniejsze. Tej mianowicie, że my nie tylko jesteśmy w Kościele, lecz my jesteśmy Kościołem! Bo to wszystko, co sprawiło narodziny i działalność Kościoła, czyli Boża moc, moc Ducha Świętego, jego światło, jego blask, to wszystko również karmi i podtrzymuje Kościół dzisiejszy. A więc karmi i podtrzymuje nas. Zatem dojrzałość chrześcijańska na tym polega, by pośród rozmaitych uwarunkowań zobaczyć te same przejawy Bożej obecności, i te same przejawy Bożej opatrności, które były obecne i które przesądziły o owocności zaistnienia Kościoła w samych początkach. Pan Bóg nadal jest i działa. Trzeba tylko starać się jeszcze głębiej tę Jego obecność odczytywać.

Takie więc były początki. Mam nadzieję, że kiedy przyjdzie niedziela Zesłania Ducha Świętego, nie najbliższa lecz następna, to może myśli te wróćą. A spośród nich zwłaszcza ta, którą przypomina nam wiele razy Benedykt XVI — że jesteśmy Kościołem, który został założony na tak solidnym, mocnym, trwałym fundamencie.

Jeszcze jedna w tym roku konferencja na temat Kościoła, i na temat naszego w nim powołania i roli — zapraszam państwa bardzo serdecznie w drugi poniedziałek czerwca, to będzie 11 VI. Dzisiaj bardzo dziękuję. Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

9 Za kogo Kościół — i my sami — uważamy Jezusa? (11 czerwca 2007)

Pochwalony Jezus Chrystus . . . Dobry wieczór państwu! W Imię Ojca, i Syna . . . Ojciec nasz . . . Stolicę Mądrości . . .

Raz jeszcze rozpoczęliśmy od modlitwy, i to nie tylko zwyczajowo ale dlatego, że to właśnie modlitwa, która otwiera refleksję nad Słowem Bożym, otwiera nas jednocześnie na to, żebyśmy to Słowo Boże przyjęli jak najgłębiej, a nie tylko powierzchownie. Żebyśmy sięgnęli do tego, co w Słowie Bożym jest najważniejsze.

I dzisiaj znów kolejny raz, tym razem ostatni przed wakacjami, bardzo serdecznie państwa witam. Dni w odróżnieniu od jesieni, od zimy, od wczesnej wiosny, są najdłuższe w roku. Rozpoczynamy więc za dnia, i skończymy za dnia. I w ten piękny czerwcowy wieczór jednocześnie zakończymy nasze tegoroczne konferencje, naszą refleksję, która została poświęcona w tym roku naturze i charakterowi Kościoła tak, jak widzi to Pismo Święte. A więc zajmowaliśmy się w naszej refleksji biblijną eklezjologią. Okazało się, że ta refleksja stała się niezwykle aktualna, zwłaszcza mniej więcej pół roku temu, kiedy to Warszawa przeżywała swoje bardzo dramatyczne dni. I kiedy to z tej próby raz jeszcze Kościół w naszej stolicy, Kościół w naszej ojczyźnie wychodził obroną ręką prosząc Pana Boga, by nami wszystkimi opiekował się i nas strzegł szczególnie na takich bardzo dużych zakrętach dziejów, które przyszło i nam również przeżyć.

Dzisiaj kończymy ten cykl i chciałbym, abyśmy raz jeszcze w tej refleksji nad naturą, powinnościami i charakterem Kościoła cofnęli się do Pisma Świętego. I przejrzymy epizod, który państwo bardzo dobrze znają. Ale zastanowimy się nad tym epizodem jeszcze od innej strony. A przewodnikami w dzisiejszej refleksji będzie nam egzegeza, czyli objaśnianie, komentowanie Pisma Świętego dokonane przez dwóch wielkich ludzi naszych czasów, dwóch kolejnych papieży. Jeden to Ojciec Święty Jan Paweł II, i sięgniemy na chwilę po jego książkę „Przekroczyć próg nadziei”, która od 13 lat już kształtuje naszą wiarę. A także sięgniemy po inną książkę, po inne rozważania, które ukazały się kilka miesięcy temu. Jest to książka Ojca Świętego Benedykta XVI, opatrzona tytułem „Jezus z Nazaretu”. Jedna i druga książka nie są do łatwego czytania. Jedna i druga książka to są książki trudne. Dlatego że nie sposób, żeby o rzeczach, które są trudne, i o sprawach, które są trudne, mówić tak, żeby to nie wymagało żadnego intelektualnego czy duchowego wysiłku. Otóż wystarczy popatrzeć na tę książkę, a zwłaszcza na jej środek, by widzieć, że przeczytałem ją bardzo wiele razy. Kilkanaście to chyba za mało, może nawet kilkadziesiąt razy. Jest to jedna z tych książek, po które najchętniej sięgałem w rozmaitych okolicznościach, ta książka Ojca Świętego Jana Pawła II „Przekroczyć próg nadziei”. I zachęcam — może zwłaszcza kiedy skończy się lato, wczesną jesienią — żeby ci z państwa, którzy jeszcze po nią nie sięgali, z flamastrem w rękę spróbowali przez myśl Jana Pawła II się przedostać.

Ta druga książka pod wieloma względami jest jeszcze głębsza, Ojca Świętego Benedykta XVI, niż książka Jana Pawła II. Benedykt XVI jest niedoścignionym teologiem, czyli rozważa o Panu Bogu i o Jego sprawach używając języka w sposób mistrzowski. Jest to książka którą, jeżeli znamy trochę teologię, to czyta się naprawdę jak powieść, jak fascynujące rozważania w których papież jest niesłychanie odważny i niesłychanie konsekwentny. Ukończył tę książkę zaledwie kilka miesięcy temu. Została przetłumaczona na wiele języków, także na język polski, i do niej też dzisiaj sięgniemy. Bo ta książka, zatytułowana „Jezus z Nazaretu”, jest zarazem książką o Kościele. A papież mówi w tej książce, że dzieląc się swoimi rozważaniami chce odsłonić swoją osobistą drogę do Boga, i swoją osobistą drogę do Chrystusa.

Otóż w tym stwierdzeniu papieża, w tym wyznaniu papieża, można dopatrzeć się w gruncie rzeczy tego, co stanowi o istocie Kościoła. Kościół to jest rzeczywistość, która łączy, gromadzi, zbiera, karmi tych wszystkich, którzy odnaleźli i wciąż odnajdują swoją osobistą drogę do Boga, prowadzącą przez Jezusa Chrystusa. Tak również jest z nami. Powiedzieliśmy kilka razy podczas tegorocznej naszej refleksji, że od XIX wieku, od czasów, kiedy w myśli współczesnej pojawiły się rozmaite prądy liberalne, pojawiła się także tendencja, którą można by streścić w słowach: „Bóg tak! Kościół nie!”, albo: „Chrystus tak! Kościół nie!”. I ta tendencja, wyrażana w XIX wieku zwłaszcza w Niemczech i w zachodniej Europie, w kościołach protestanckich głównie wtedy, ta tendencja została przeniesiona na nasz grunt. I nie ma już tych szat naukowości, i nie jest pod

maską liberalnej teologii, nie ma szat akademickości. Stała się zwyczajna, można by powiedzieć – szara. I bardzo wielu ludzi przekuło ją na życie codzienne mówiąc: „W Boga wierzę, ale Kościoła nie potrzebuję. Chrystusa uznaję, ale Kościół omijam. Układam sobie życie z Bogiem i z Chrystusem bez pomocy, i przynależności do Kościoła”. I dzisiaj, raz jeszcze, kiedy zbliżają się wakacje i kiedy tak czy inaczej na pewno z takimi postawami się zetkniemy, to raz jeszcze musimy sobie postawić pytanie: „Dlaczego Kościół?” W XIX wieku był nawet niemiecki myśliciel, który powiedział mniej więcej tak: „Jezus głosił królestwo Boże, czyli panowanie i rządy Boga, ale zamiast tego, zamiast królestwa Bożego, powstał Kościół”. I w ten sposób przeprowadzono taką antytezę, takie napięcie, taki brak jednoznaczności pomiędzy Chrystusem i tym, czego On dokonał, a Kościołem, do którego należymy. W ten sposób sugeruje się, że Kościół jest rzeczywistością zewnętrzną, niepotrzebną, tak czy inaczej zbyteczną. I że można ułożyć sobie życie bez Kościoła, orientując się ku Panu Bogu i ku Chrystusowi tak, jak gdyby Kościół był całkowicie zbyteczny. Ponieważ taka sugestia wydaje się nawet atrakcyjna, i ponieważ ma ona nawet cechy, można by powiedzieć, takiej swoistej mody, która wydaje się nam zasadna — bo rzeczywiście człowiekowi może przyjść do głowy, że Pan Bóg – tak, Chrystus – tak, Kościół – nie albo niekoniecznie — że człowiek może znaleźć albo może szukać swojej osobistej, indywidualnej i wyłącznie swojej drogi do Pana Boga, to trzeba nam się z tą sugestią, z tym podszeptem jak gdyby zmierzyć, na niego odpowiedzieć.

Szukamy odpowiedzi w Ewangelii. I znajdziemy tą odpowiedź, jak mówią również obaj papieże, Jan Paweł II i Benedykt XVI, przede wszystkim w słynnym epizodzie rozmowy Piotra z Jezusem, ale nie tylko Piotra, bo i pozostałych Apostołów, pod Cezareą Filipową. Otóż zwróćmy uwagę, że ten epizod — co bardzo mocno podkreśla Benedykt XVI — ma miejsce za życia Jezusa. To nie jest epizod, który pochodzi z okresu po zmartwychwstaniu, tylko dotyczy historycznego Jezusa. Tego Jezusa, który chodził po palestyńskiej ziemi, tego Jezusa, który nauczał, który głosił, i który to Jezus w pewnym momencie swojego życia zakłada Kościół. Ale nie tyle zakłada Kościół, bo ten Kościół powstanie tak na dobre — mówiliśmy o tym — w dzień Zesłania Ducha Świętego, ile stawia, jeżeli tak można powiedzieć, umieszcza kamień węgielny pod ten Kościół, t tym kamieniem węgielnym czyni Piotra. Można by powiedzieć, że Piotr staje się tym ogniwem, które będzie łączyło ziemskie życie Jezusa z tą rzeczywistością życia Zbawiciela po zmartwychwstaniu i po wniebowstąpieniu.

Epizod jest tak ogólnie znany, że wydaje nam się, że nic specjalnie nowego z niego się nie dowiemy. Dzisiaj powiemy sobie jednak kilka myśli, które nie są nowe, ale z drugiej strony kilka takich myśli, które też nie są bardzo powszechne, nie są codzienne, i które powinny nam otworzyć oczy na nowe aspekty tej rzeczywistości, której ten epizod dotyczy. Czytamy w Piśmie Świętym, w Ewangelii św. Mateusza tak:

Gdy Jezus przyszedł w okolice Cezarei Filipowej, pytał swych uczniów:

Najpierw trzeba zwrócić uwagę na miejsce, bo to jest bardzo ważne — Cezarea Filipowa. Otóż jest to miejsce, które znajduje się najbardziej na północ całej Ziemi Świętej. Ono jest wspomniane w Nowym Testamencie tylko raz jeden, tutaj. Jest to punkt położony na północnym-wschodzie Ziemi Świętej, u stóp góry Hermon, tam, gdzie rozpoczyna się rzeka Jordan. Stosunkowo wysoko. Dobrze widoczne z całej Ziemi Świętej o tyle, ponieważ góra Hermon, która ma prawie 3000 m wysokości, przez większą część roku jest pokryta śniegiem. Tylko późnym latem i wczesną jesienią tego śniegu nie ma, albo prawie nie ma. Natomiast jest to ewenement na całym Bliskim Wschodzie, że w takim klimacie subtropikalnym mamy górę, która jest ośnieżona.

Jezus udał się tam tylko raz jeden. I kiedy się udał? Udał się tam wtedy, kiedy dokończył swojego nauczania, zakończył swoje nauczanie w zasadzie, i zakończył swoją działalność. Upłynęły trzy lata. Przez te trzy lata nauczał o Bogu. Mówił kim jest Pan Bóg, jak trzeba żyć, odsłaniał rozmaite aspekty tajemnicy Pana Boga. Mówił przypowieści, dokonywał rzeczy wielkich, dokonywał cudów, poruszał ludzkie serca, uzdrawiał. Na wszelkie sposoby ludzi próbował zainteresować i pozyskać. I oto teraz dokonuje się coś nowego. Mianowicie Jezus kieruje się do Jerozolimy. Ale z Galilei — bo w Galilei cały czas nauczał, na północy Ziemi Świętej — idzie jeszcze bardziej na północ. To tak, jak gdyby ktoś u nas nauczał na Pomorzu, a zmierzając do Warszawy zawędrował najpierw na Hel. I z tego Helu próbował ogarnąć niejako w symboliczny sposób całą Polskę. Oczywiście z Helu Polski nie widać. I spod Hermonu też całej Ziemi Świętej nie widać, ale widać znaczne jej połacie. A przede wszystkim człowiek, który tam jest, ma świadomość, że znajduje się u jakiejś

granicy. I Jezus ma świadomość, że znajduje się na granicy, i oto teraz rozpocznie swoją podróż w kierunku Jerozolimy. Ale można by powiedzieć po ludzku, że tę podróż chce jak gdyby przedłużyć. Tak jak gdyby przeczuwał, nie tylko przeczuwał — wiedział, że to, co Go spotka w Jerozolimie, będzie trudne, będzie krwawe, będzie kosztowało Go mękę i śmierć. A więc chce, żeby ta droga trwała dłużej. I chce jednocześnie, żeby w tej drodze do Jerozolimy towarzyszyli mu ci, którzy są najbliżsi.

Do tej pory był dla nich Nauczycielem, a oni starali się jego nauki zapamiętać i według nich postępować. Od tej pory dokonuje się coś nowego. Mianowicie z uczniów mają stać się Jego naśladowcami. Nie wystarczy już tylko, że przyjmują nauki Jezusa, ale mają się uczyć tego, jak żyć z Jezusem po to, żeby umieć żyć z Jezusem wówczas, kiedy Go zabraknie, kiedy Go nie będzie. Udają się więc tam do Cezarei Filipowej. I trzeba nam jeszcze wiedzieć, że w starożytności znajdowało się tam sanktuarium pogańskie ku czci pogańskiego bożka greckiego pochodzenia, który nazywał się Pan. I owemu bożkowi oddawano tam cześć. Okolice Cezarei Filipowej są przepiękne dlatego, że jest zielono. Źródła Jordanu, tej rzeki, która toczy swoje wody do Morza Martwego. Jest zawsze świeże powietrze, są dookoła góry, które tworzą niezwykłą atmosferę. Jest to jeden z najpiękniejszych zakątków Ziemi Świętej, a zarazem trudno dostępny. Bo o ile dzisiaj jedzie się tam oczywiście autokarem, o tyle w starożytności trzeba było piąć się do góry, bo jest położony bardzo wysoko, i to kosztowało bardzo wiele wysiłku. Jezus tam z Apostołami wchodzi. Szuka osobności, szuka oddalenia, szuka — można by powiedzieć — bardzo osobistego kontaktu z nimi. Bo rozmowa, która za chwilę będzie, będzie niesłychanie ważna. Otóż są takie momenty w naszym życiu, każdy je ma, kiedy trzeba sobie postawić pytania najbardziej zasadnicze. I często zdarza się tak, że pomagają nam w tym geografia. Tzn. pomagają nam w tym ukształtowanie, pomagają nam w tym ziemia, którą widzimy, to, co podziwiamy, to, co porusza nasze serce. Ja myślę, że każdy i każda z nas gdzieś tam w zakamarkach swojego sumienia ma takie miejsca, które są nie tylko miejscami na mapie, ale które w równym albo nawet w większym stopniu są miejscami w sercu, we wnętrzu. Takim miejscem miała stać się Cezarea Filipowa. Tak właśnie położona na krańcu, na krańcu Ziemi Świętej, miała odsłonić najgłębszy sens obecności Jezusa razem z uczniami, i na świecie.

Gdy Jezus przyszedł w okolice Cezarei Filipowej, pytał swych uczniów:

Pytał nie dlatego, że nie wiedział, ale pytał po to, żeby się upewnić. Pytał po to, aby skłonić do refleksji. Pytał ich tak, jak nauczyciel pyta studentów, jak nauczyciel pyta uczniów — nie dlatego, że chce się dowiedzieć czegoś, czego sam nie wie, aczkolwiek można się czasami bardzo wiele nowego dowiedzieć — ile raczej chce się dowiedzieć co student, co uczeń na dany temat wie, jak to traktuje, jak na to patrzy, jak to odbiera i jak to przeżywa. I Jezus też chce zobaczyć kim są Apostołowie po trzech latach jego publicznej działalności. Do tej pory byli w jego szkole. Chce z nich uczynić ludzi nowych. Ale chce też zobaczyć, czym oni różnią się od innych ludzi, zwłaszcza od tych, którzy z Jezusem bezpośrednio i blisko do czynienia nie mieli. I tu dotykamy pierwszego wymiaru natury Kościoła. Należymy do Kościoła, jesteśmy chrześcijanami, związaliśmy swoje życie z Jezusem, i teraz ważne jest pytanie: Czym różnimy się od innych ludzi? Czy rzeczywiście pomiędzy życiem chrześcijan, postępowaniem chrześcijan, logiką naszą, istnieje jakaś różnica w stosunku do tych, którzy za chrześcijan się nie podają, i którzy do Kościoła nie należą?

Oto jest pierwsza, można by powiedzieć, bardzo ważna podstawa, na której buduje się chrześcijańska tożsamość. Każdy i każda z nas musi od czasu do czasu zadawać sobie pytanie czym nasze życie różni się od życia tych, którzy żyją tak, jak gdyby Chrystusa nie znali. A skoro my Go znamy, i skoro my Go uznaliśmy i przyjęliśmy, to powinny być w naszym życiu czytelne znaki Jego obecności. Ale nie chodzi tylko o pewne formuły, o pewne zachowania, które są rozpoznawalne. Chodzi przede wszystkim o odpowiedź na najgłębsze spośród pytań, która nas odróżnia od innych ludzi. Mianowicie pytania o naszą relację, o nasz stosunek wobec Jezusa. To pytanie pojawia się tutaj. Jezus zwracając się do swoich najbliższych, uczniów, przebywając z nimi na osobności, przebywając w tym pięknym miejscu, na krańcu Ziemi Świętej, skąd można ogarnąć wszystko, Jezus pyta ich tak:

«Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?»

Syn Człowieczy to oczywiście jego tytuł, odnoszący się do Niego, którego – jak widać z tego fragmentu – często używał w spotkaniu ze swoimi najbliższymi. Jest to jednocześnie tytuł, który jest zakorzeniony w Starym Testamencie, przede wszystkim w Księdze Daniela. On wskazuje na niezwykłość Jezusowej tożsamości — do tego wątku wrócimy za chwilę. «Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?» — mówiąc prościej: „Za kogo ludzie Mnie uważają?, Co ludzie o Mnie mówią?” Apostołowie musieli to wszystko słyszeć. Apostołowie byli tak jak kapelan przy biskupie, jak kapelan przy papieżu. Dobry kapelan słyszy nie tylko to, co mówi biskup, ale słyszy to, co dzieje się dookoła. Musi mieć dobre rozeznanie o otoczeniu choćby po to, żeby zabezpieczyć tego, przy którym jest, przed jakąś łatwowiernością, albo przed popadaniem w pychę, czy przed jakąś czołobitnością itd. Jezus pyta: „Co ludzie o Mnie mówią?” I Apostołowie odpowiadają:

«Jedni za Jana Chrzciciela,

To przedziwne na pierwszy rzut oka. Dlatego, że Jan Chrzciciel nieco wcześniej, kilkanaście miesięcy wcześniej został ścięty przez Heroda. Jan Chrzciciel nie żyje. Pamiętamy, że w starożytności było telewizji, i radia nie było, i gazet nie było. To, co ludzie wiedzieli, było ze słuchu. Wiedzieli z opowiadania. Wiedzano na terenie Palestyny, że Jan Chrzciciel nie żyje. Ale jednocześnie byli tacy, którzy nie dopuszczali do siebie możliwości, żeby człowiek, który tak głosił Boga, żeby ten człowiek został całkowicie unicestwiony. W świecie semickim powszechna była wiara w to, że ludzie dobrzy wraz ze swoją śmiercią wracają do tego świata, i są w nim obecni. Może to jakaś odmiana wiary w reinkarnację? Ale pewniej jest to sposób na obronę Pana Boga. Dlaczego Pan Bóg miałby dopuszczać, aby życie sprawiedliwych odeszło bezpowrotnie, aby bezpowrotnie zostało przerwane? Zatem byli ludzie, którzy mówili o Jezusie, że to jest Jan Chrzciciel, który zmartwychwstał. Ponieważ Jana Chrzciciela nigdy na oczy nie widzieli, znali tylko z opowiadań, to takie utożsamienie między ludźmi było możliwe. Pamiętajmy, że chodziło o ludzi zupełnie prostych, a tego rodzaju pogłoski rozchodziły się na zasadzie plotki. Tu nie o to chodzi, czy to jest wiarygodne, prawdopodobne, czy nie — tylko ludzie tak sobie mówili: „Niemożliwe, żeby Jan Chrzciciel odszedł na zawsze! Herod rozprawił się z nim, ale Bóg spowodował, że Jan Chrzciciel wrócił. I właśnie mówili o Jezusie: „Jan Chrzciciel”. Dalej:

inni za Eliasza,

Tu już przenosimy się w rzeczywistość zupełnie inną. Eliasz żył w IX wieku przed Chrystusem, ok. r. 850 przed Chrystusem. Podstawa do tych domniemań jest taka sama, jak w przypadku Jana Chrzciciela. Ale Jan Chrzciciel żył niedawno, Eliasz — bardzo dawno. Zatem, ponieważ Eliasz był znany z gorliwości, a Jezus działając w Galilei działał w bliskości góry Karmel, gdzie w dawnej przeszłości nauczał Eliasz, wobec tego wśród ludzi pojawiło się takie przekonanie, że to Eliasz, dawny prorok, powstał do nowego życia i że to on naucza i on dokonuje rozmaitych znaków. Kolejna opinia to:

jeszcze inni za Jeremiasza

A to już jest bardzo ciekawe. Jest to opinia, która musiała mieć związek z Jerozolimą. Dlatego, że Jeremiasz był prorokiem niezwykłym. Żył w VII i VI wieku przed Chrystusem, zatem znacznie później niż Eliasz. Pochodził z Anatot, to są przedmieścia dzisiejszej Jerozolimy, i przebywał w sąsiedztwie świątyni jerozolimskiej. Ale przebywając w sąsiedztwie tej świątyni głosił rzeczy, które innych oburzały. Jeremiasz bowiem wskazywał na świątynię jerozolimską i mówił tak: „Przypatrzcie się, jak żyjecie! Kraść, zabijać, uprawiać haniebne rzeczy! A potem przychodzicie do Domu Pańskiego” — mówił do swoich rodaków — „i mówicie: «Tu jesteśmy bezpieczni»”. I Jeremiasz dodawał: „Nie! To nie może być tak, że żyjecie jak wam się podoba, natomiast tutaj czujecie się bezpieczni. Przyjdzie dzień, że ta świątynia zostanie zburzona. Że to miejsce zostanie zaorane. Jeremiasz został schwyty, pojmany i wrzucony do wyschniętej cysterny po to, żeby tam z głodu i pragnienia umarł. Na szczęście został stamtąd wyratowany. Natomiast wkrótce potem świątynia jerozolimska spłonęła od żagwi podrzuconej przez Babilończyków. Był rok 587 przed Chrystusem. Słowa Jeremiasza spełniły się co do jednego. Zatem ci, którzy mówią o Jezusie, myślą sobie: „Istnieje podobieństwo między Jezusem, który bardzo surowo odnosił się do świątyni jerozolimskiej, i

do sprawowanego w niej kultu, a Jeremiaszem. Zatem Jezus to Jeremiasz, który wrócił do życia. Ktoś taki, jak Jeremiasz, albo nawet sam prorok. I wreszcie czwarta opinia:

albo za jednego z proroków»”

A więc za Jana Chrzciciela, za Eliasza, za Jeremiasza, albo za jednego z proroków. Jezus przez swoich współczesnych, przez ludzi, którzy nie pozostawali z Nim na co dzień, jest traktowany jako prorok. My często mówiliśmy o tym, że w naszych skojarzeniach prorok to jest ktoś, kto zapowiada przyszłość. Prorokuje — czyli tak, jak zapowiadacz pogody, jak meteorolog czy jakiś futurolog. Otóż nic bardziej błędnego! Bo w biblijnym tego słowa znaczeniu prorok to człowiek, który dokonuje religijnej oceny rzeczywistości, czyli teraźniejszości i przeszłości, po to, by na tej podstawie kształtować przyszłość. Nie zapowiadać przyszłość, ale kształtować przyszłość. Ci prorocy, których tutaj mamy: Jan Chrzciciel, Eliasz, Jeremiasz, inni prorocy, bardzo surowo odnosili się do rzeczywistości, jaka istniała w ich czasach. Napominali, wskazywali wady swoich rodaków. Czasami czynili to w języku bardzo mocnym, dosadnym. Wzywali do nawrócenia. Dokonywali czynności symbolicznych. Gотовi byli cierpieć. Ludzie wiedzieli, że prorok ma rację. Ale tak robili po swojemu. Prorocy cierpieli, umierali. Pozostawała po nich pamięć. I właśnie ta pamięć pozwalała ludziom przetrwać. Ludzie nie zawsze są w stanie, potrafią, żyć zgodnie z ideałem, który znają. Ale potrzebni są zawsze prorocy po to, żeby człowiek, i w ogóle ludzie, mieli świadomość, że coś było nie w porządku, że można było inaczej, że można było lepiej, że trzeba inaczej. Że nawet jeżeli człowiek nie jest w stanie żyć tak, jak powinien, to powinno być inaczej. Właśnie po to jest potrzebny prorok. Skuteczność nauczania prorockiego nie odbywa się wyłącznie za życia proroka. Bardzo wielu proroków w konfrontacji z rzeczywistością ponosi porażkę. Ta porażka bywa bardzo dotkliwa. Dlatego, że ludzie odnoszą się do nich niechętnie, nieufnie i wrogo. Ale z czasowej perspektywy to właśnie prorok odnosi sukces bo ci, którzy żyją, przeżyją proroków i przychodzą później, stwierdzają że: „wielki prorok był wśród nas”.

Tak dochodzimy do drugiej warstwy, która rzuca nam światło na to, czym jest Kościół i jaka jest jego misja. Mianowicie niezbywalną funkcją Kościoła, niezbywalnym przeznaczeniem Kościoła, jest jego posłannictwo prorockie, profetyczne, czyli religijna ocena rzeczywistości. Zarówno rzeczywistości w wymiarze osobistym i indywidualnym, jak i rzeczywistości w wymiarze społecznym, zbiorowym i narodowym. Prorok, a więc i Kościół, który tę prorocką funkcję pełni, musi niejako iść pod prąd. Widzimy to bardzo dobrze w naszych czasach, kiedy trzeba przypominać najbardziej podstawowe przykazania. Trzeba przypominać najbardziej podstawowe normy etyczne. I kiedy ci, którzy to robią, narażają się na to, że są ośmieszani, poniewierani, stawiani poza nawiasem, pokazywani publicznie, wyszydzani, rozmaite etykiety się im przyklepia itd. Ale prorok nie może od tego odejść, i Kościół nie może tego zaniechać. Wydaje mi się — i pewnie to jest również sposobność do refleksji dla państwa — że w ostatnim czasie ta profetyczna funkcja Kościoła w Polsce jakby przygasła. Dlatego, że ona wymaga odwagi, wymaga męstwa. Wymaga tego, że trzeba nieraz swoim życiem, albo swoim miejscem w Kościele, nazwijmy w cudzysłowie: „karierą”, zapłacić za to, co się głosi. Zapłacić za poglądy, które stanowią nieodłączną część tej profetycznej funkcji. Zwróćmy uwagę, że w tzw. czasach PRL-u obecność Kościoła w życiu publicznym była wyraźniejsza, bardziej przejrzysta, bardziej słyszalna — i więcej kosztowała. Przecież to tamte lata przyniosły wielu męczenników, znanych i nieznanym, którzy oddawali swoje życie albo byli w jakikolwiek inny sposób usuwani, bądź stawiani na margines za to, co głosili.

Dzisiaj wydawać by się mogło, że ta profetyczna funkcja jest osłabiona. Myślę, że to jest rzecz do refleksji dla nas. Jest wiele zjawisk życia społecznego, życia narodowego, które umykają takiej profetycznej ocenie. Umykają takiej właśnie odważnej ocenie — czy to będzie sytuacja wewnątrz kraju: sprawa bezrobocia, bieda, nędzy, rozwarstwienia społecznego, które przecież istnieje, sprawa korupcji, krzywdy, nadmiernego bogacenia się, żądzy zysku za wszelką cenę. Czy to będzie sytuacja międzynarodowa: wywoływanie rozmaitych wojen, wchodzenie w te wojny, wysyłanie żołnierzy tysiące kilometrów od własnej Ojczyzny — głos Kościoła jest słabo słyszalny. Czasami można odnieść wrażenie, że chodzi o drobiazgi. Ale te drobiazgi też mówią coś o współczesnym świecie. Kilka dni temu amerykański prezydent, który u nas był 3 albo 4 godziny, został przyjęty przez Ojca Świętego Benedykta XVI. I w spotkaniu z Benedyktem XVI prezydent największego imperium odpowiada papieżowi: „Yes, sir!” — „Tak, proszę pana!” Mówią, że to gafa. Jeżeli gafa, to jak taki

człowiek może być prezydent imperium? Jak jest możliwe, żeby mógł decydować o losach milionów i miliardów ludzi? A jeżeli to jest przemyślane? — To, to samo pytanie! Jak jest możliwe, żeby w spotkaniu dwóch ludzi, dwóch takich ludzi, nie zachować proporcji w tym, co dotyczy języka? Ale nie tylko jest to ważne, co wydarzyło się w Watykanie. Ważne jest to, że dowiadujemy się o takich rzeczach gdzieś tam późno, pod koniec audycji czy programu, jako taki kwiatek do kożucha. I nikt nie ma odwagi, żeby zabrać wobec tego głos mocno, i żeby powiedzieć, że coś tu jest głęboko nie w porządku. Otóż ta profetyczna funkcja Kościoła, powtarzam raz jeszcze, zawsze wymaga odwagi. Kiedy jej brakuje, to oczywiście ona schodzi na plan dalszy. A Kościół, zamiast tworzyć rzeczywistość, która przynależy do Pana Boga, tylko odzwierciedla to, co się w świecie dzieje. Jest tak, jak zwietrzała sól, która oczywiście nie specjalnie jest potrzebna.

Ktoś mógłby pomyśleć, że ten profetyczny wymiar przynależy tylko do biskupów, do kapłanów, do zakonników. Otóż rzecz cała polega na tym, że ten profetyczny wymiar jest wymagany od wszystkich — od ludzi świeckich też, wszędzie tam, gdzie jesteśmy.

Ludzie uważają Go za Jana Chrzciciela, za Eliasza, za Jeremiasza, albo za jednego z proroków — bo Jezus mówił z mocą, mówił odważnie, nie lękał się. Stawał wobec faryzeuszy, wobec sadyceuszy, wobec możnych tego świata, wobec Heroda, potem miał stanąć wobec Sanhedrynu. Stawał również wobec prostych ludzi i pokazywał im wady, i pokazywał ich problemy i kłopoty. Mówiono: „To jest prorok. Nikt nie mówił tak” — czytamy w Ewangelii — „jeżeli by nie został posłany od Boga. Ten człowiek mówi w imię Boga.”

Czy to, co mówili ludzie o Jezusie, czy było prawdą? Tak, było prawdą! Jezus był prorokiem. Na wzór Jana Chrzciciela, na wzór Jeremiasza, Eliasza, czy jednego z proroków, pełnił tę prorocką funkcję. Ale jednocześnie czujemy, że w tym, co ludzie mówią o Jezusie, nie jest cała prawda. Jest to prawdziwe, ale nie oddaje pełni tego, kim Jezus był. I znów to napięcie mamy po dzień dzisiejszy. Mianowicie ludzie mówią o Jezusie wiele prawdziwych rzeczy. Mówią, że był dobrym człowiekiem, nauczycielem sprawiedliwości, mistrzem, rabinem z Galilei, że dokonywał niezwykłych znaków, że głosił piękną naukę. Pojawiają się uczone prace, w których Jezus stawiany jest obok Sokratesa, obok Konfucjusza, a w naszych czasach mówi się: był taki, jak Mahatma Gandhi. Jezus pojmowany jest i objaśniany w kategoriach ludzkich. Tak ludzie Go rozumieli i postrzegali — jako człowieka posłanego przez Boga. Jako dobrego człowieka, świętobliwego męża — ale ta perspektywa nie wychodziła poza perspektywę ludzką. Musiała istnieć perspektywa inna, która była właściwa uczniom Jezusa, i która również właściwa jest Kościołowi. Nie wystarczy powiedzieć, że Jezus był dobrym człowiekiem, wspaniałym Mistrzem, nauczycielem, wychowawcą, autorem pięknych, poruszających serce przypowieści, lekarzem ludzkich dusz, i tym podobnie, itd. Otóż takich dobrych, wspaniałych, pięknych ludzi, którzy potrafią innych porwać i unieść za sobą, jest w każdym pokoleniu mniej albo więcej, ale oni są. Każde pokolenie ma takich idoli, których stara się naśladować. Naśladować w ich dobroci, w ich bohaterstwie, w ich poświęceniu, w ich ofierze. My w naszych czasach też mamy takich. Albert Schweizer — wszechstronnie uzdolniony, który udał się do Afryki i poświęcił tam swoje życie Bogu. Mahatma Gandhi — który powiedział, że z całą pewnością stałby się wyznawcą albo uczniem Jezusa, tylko że przeszkadzają w tym chrześcijaństwo, bo w chrześcijanach nie może się dopatrzeć cnót jesusowych. Mamy piękne życie Matki Teresy z Kalkuty, i tylu, tylu innych ludzi. Czym więc różni się opinia ze strony uczniów od opinii ze strony zwyczajnych ludzi?

Tu dochodzimy do sedna tego dzisiejszego epizodu.

Jezus zapytał ich: «A wy za kogo Mnie uważacie?»

To pytanie stanowi taki zawias, na którym opiera się cała Ewangelia. Gdybyśmy mieli postawić najważniejsze z pytań, które nam, jako chrześcijanom postawić można, to byłoby to właśnie pytanie. Co ludzie mówią o Jezusie? Mówią to, to, to ... „A wy za kogo Mnie uważacie?” Co dało, co przyniosło te trzy lata bliskości uczniów z Jezusem? Co przyniosło całe nasze dotychczasowe życie? Za kogo my Go uważamy? Nie tylko wspólnie razem, ale za kogo uważamy Go indywidualnie i osobiście? Czym nasza opinia o Jezusie różni się od opinii innych? Musi się różnić, skoro należymy do grona Jego wyznawców, skoro należymy do grona Jego uczniów. Tu mamy taką odpowiedź, którą doskonale znamy:

Odpowiedział Szymon Piotr: «Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego».

Uczniów było dwunastu, ale odpowiada jeden. Ci do tej pory referowali opinie o Jezusie. Ale tym, który reprezentuje, jest jeden. W Kościele potrzebne jest zwierzchnictwo, hierarchia, której fundamentem jest autorytet. Piotr odpowiada, ponieważ cieszy się autorytetem w gronie Dwunastu. Nie ma teraz dyskusji pomiędzy uczniami: Słuchajcie, to który z nas powie? Który z nas powie, za kogo my uważamy Jezusa? Nie ma narady, nie ma obrad. Bardzo często chce się wprowadzić do Kościoła taki właśnie element rozdyktowania. Tymczasem o ile dyskusje są bardzo potrzebne i twórcze, to są też takie dziedziny, w których dyskusja nie wnosi nic nowego. Bo co da np. dyskusja na temat zasadności przykazania „Czcij ojca swego i matkę swoją”? Nawet jeżeli się znajdą tacy, którzy powiedzą, że to przykazanie nie ma sensu, i czeć ojca i matki nie należy w jakikolwiek sposób propagować ani nakładać, to przecież cała ta dyskusja nie ma sensu, bo niszczy sam porządek społeczny. Niszczy sam porządek moralny, niszczy prawo wypisane w naszych sercach, sumieniach, wnętrzach, niszczy więzi międzypokoleniowe. Niszczy to, co nas łączy, co pozwala nam zbudować zaufanie itd. To samo dotyczy innych przykazań z tym, że mniej to czujemy. Często przeprowadzane są rozmaite sondaże. I wyniki tych sondaży mają kształtować moralność! Nie! Ani moralność, ani wiara w Boga nie są kształtowane przez statystyki! Statystyki tylko odzwierciedlają stan ludzi. Odzwierciedlają to, co ludzie myślą, to, jak ludzie żyją. I jeżeli te statystyki są alarmujące, to nie jest znak, że trzeba zmieniać przykazania, tylko to jest znak, że trzeba wychować ludzi.

Więc tu, między Apostołami, nie ma dyskusji. Piotr, można by powiedzieć — spontanicznie, na zasadzie autorytetu, wypowiada się. I w Kościele fundamentalna jest rola Piotra. Wszyscy ci, którzy tę rolę w dawnej i bliższej przeszłości negowali, kończyli tym, że Kościół się dzielił, słabł, rozpadał, i w końcu — że te podziały były bardzo dotkliwe i stały się bardzo bolesne. Otóż dzisiejszy Kościół jest bardzo podzielony głównie dlatego, że osłabiona jest w nim rola Piotra. Dopiero w naszych czasach, w wieku XX, ta rola Piotra poprzez kolejnych papieży zaczęła być odbudowywana. Tutaj szczególnie trzeba zwrócić uwagę na Jana XXIII, na Pawła VI, na Jana Pawła II, teraz na Benedykta XVI. Odbudowują ten autorytet nie przez siłę, nie przez potęgę, nie przez państwo kościelne, ale przez moc własnego świadectwa danego Chrystusowi, i przez niezłomność swojego nauczania w zakresie doktryny i moralności. Czy państwo nie zauważyli tego, że wiele wspólnot chrześcijańskich, albo znajdujących się na obrzeżach chrześcijaństwa, odeszło bardzo daleko od Ewangelii dlatego, że odeszło bardzo daleko od Piotra. Jeżeli zastanowimy się tak w sposób uczciwy, rzetelny, to jak możliwe są np. w Kościele jakieś pozytywne nastawienia — dam jeden tylko przykład — do związków homoseksualnych, traktowanych jako małżeństwa? Jak z Pisma Świętego i z tradycji Kościoła można wyprowadzić, uzasadnić tego rodzaju związki? A jednak są wspólnoty, są kościoły, które to czynią. Dzieje się tak dlatego, że tam, gdzie brakuje autorytetu, to tam narzucane są, czy pojawiają się fałszywe autorytety. Podobnie jak tam, gdzie brakuje religii, to pojawia się nie ateizm, ale zabobon. Tam, gdzie brakuje prawdziwej wiary, to pojawia się nie brak wiary, lecz przesady. Proszę zwrócić uwagę na to — i dalej od nas, i u nas — jak ten mechanizm się sprawdza. Gdzie wiara słabnie i gdzie słabnie prawdziwa religijność, to ludzie, którzy nie wierzą w Boga, są w stanie uwierzyć we wszystko. To nie jest tak, że oni nie wierzą w nic. Można im podawać do wierzenia coś, co wydaje się zupełnie karkołomne — i przyjmą to bezkrytycznie. Wiara bowiem ma to do siebie, że ratuje rozum, ocala rozum. Prawdziwie dobrze pojmowana wiara pozwala nam przeżywać Pana Boga używając rozumu. Tam, gdzie wiary nie ma, tam rozum śpi. I tam pojawiają się właśnie przesady, zabobony, i to wszystko, co towarzyszy również nowoczesnemu światu. Dochodzi do takich parodii, że kiedy włączamy sieci internetowe to zobaczymy w nich, albo na pewnych programach telewizyjnych, osoby, które wróżą z kart, osoby, które stawiają kabałę. Zobaczymy rozmaitych przepowiadaczy przyszłości, tych, którzy chcą za nas rozwiązywać nasze życiowe problemy. I tam, gdzie zanika głębokie, rzetelne życie wewnętrzne, tam pojawiają się wypaczenia. A miejsce spowiedników zajmują wróżki i psychoanalicy. Otóż ten wątek, ta rola Piotra we wspólnocie Dwunastu, po dzień dzisiejszy pozostaje niesłuchanie ważna. To nie był kaprys ani przypadek, że właśnie Piotr się wypowiedział. Dlatego i dziś, jeżeli słyszymy to, co dotyczy wiary i moralności, to nie jest czymś niezwykłym, że wsłuchujemy się w głos Piotra naszych czasów. Bo to on ma obowiązek udzielić odpowiedzi, która jest normatywna i wiążąca. Piotr odpowiedział:

«Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego».

Te słowa są dokładnym przekładem z hebrajskiego: **Atta Mashijah Ben Adonai haj** — tak by to brzmiało po hebrajsku. Otóż są to słowa głęboko zakorzenione w tradycji biblijnego Izraela, w jego oczekiwaniach mesjańskich, i głęboko zakorzenione w mentalności żydowskiej. Piotr wypowiada to, na co cały Izrael czekał przez całe swoje dzieje. **Atta** — to, **Atta Mashijah** — Mesjasz, **Ben** — Syn, **Adonai** — Pan, **Ben Adonai haj** — Syn Pana, Syn Boga. Nie ma bardziej hebrajskiego, semickiego, żydowskiego sposobu wyrażania się, niż tutaj. W języku Starego Testamentu Piotr opisuje rzeczywistość Jezusa. Czuje, że stoi przed Tajemnicą. Czuje, że stoi przed Człowiekiem, w którym Bóg jest w szczególny sposób obecny. Kiedy próbujemy ustalić to, co jest specyficznie chrześcijańskie, i co stanowi o Kościele, to powiedzieć nam trzeba, że właśnie to wyznanie „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego”, które złożył Piotr u samych początków, rozwinięte przez kolejnych Apostołów i rozwinięte przez teologię chrześcijańską, ono stanowi sam trzon naszej wiary. Bóg, w którego wierzymy, to jest Ojciec, Syn i Duch Święty. Piotr wyznaje tę niezwykłą obecność Boga w Jezusie. Wiemy, że Bóg jest jedyny — ileż to razy mówiliśmy — ale nie jest sam. Nie potrafimy tego inaczej opisać, nasz język zawodzi. Bo w tym, co dotyczy tego, co najważniejsze, nasz język zawsze jest ułomny. Zatem używamy języka filozofii greckiej, używamy języka wiary biblijnego Izraela, próbujemy te pojęcia wykuwać, przetwarzać, starać się zrozumieć. Niedawno mieliśmy uroczystość Trójcy Przenajświętszej. Mówimy, że są trzy Osoby Boskie, ale jedna Natura. Próbujemy, żeby nasz język opisywał coś, czego nie jesteśmy w stanie pojąć. Tutaj szczególnie Azja Mniejsza, Turcja z jej miejscami, w których odbywały się sobory: nicejski, konstantynopolitański, chalcedoński, efeski. Te wszystkie miejsca to były miejsca, w których formowała się nasza wiara. Przetwarzała się w języku. Kim jest Jezus? Jak to wyrazić? Jest Bogiem, to prawda. Ale jak jest możliwe, żeby w człowieku był obecny Bóg? Tak kształtowała się teologia, tak kształtowały się ogromne podręczniki. I my jesteśmy spadkobiercami tego dziedzictwa. Nie potrafimy tego powiedzieć do końca jasno, przejrzyście, bo nie może człowiek niewidomy opisać piękna ogrodu. Może sobie tylko ten ogród wyobrażać. Może go sobie przypominać, jeżeli kiedykolwiek widział. Dlatego najpiękniej opisują Boga, przedstawiają Boga święci. Nie ci, którzy mają błyskotliwy rozum, ale ci, którzy potrafią Nim żyć.

Piotr składa wyznanie. Inni opowiadali o Jezusie. Piotr Jezusa wyznaje. Oto jest różnica między nie-chrześcijanami a chrześcijanami. Między tymi, którzy do Jezusa nie przynależą albo Go nie znają, a tymi, którzy są Jego uczniami. My wyznajemy Jezusa. To jest coś więcej, niż wiedzieć o Nim, nauczyć się, usłyszeć, czy nawet przyjąć. My wyznajemy bo uznajemy w Nim to, czego do końca rozumem zgłębić nie możemy. A mianowicie uznajemy i wyznajemy w Nim wielką, niezwykłą, niespotykaną, jedyną w swoim rodzaju obecność Boga. A wtedy:

Na to Jezus mu rzekł: «Błogosławiony jesteś, Szymonie, synu Jony. Albowiem nie objawiły ci tego ciało i krew, lecz Ojciec mój, który jest w niebie.

Wyznanie Jezusa nie jest tylko owocem naszego namysłu, rozsądku, intelektu czy dobrej woli. W wyznaniu obecny jest Pan Bóg. Oddajemy Panu Bogu coś z tej łaski, którą nas obdarza. Być może są inni ludzie, którzy tej łaski tak nie doświadczają. I musimy być wobec nich również wyrozumiali. Ale skoro my wyznajemy Jezusa, to zobowiązani jesteśmy do tego, by pamiętać, że to jest łaska, która przychodzi do nas z zewnątrz. Bo Bóg nas pierwszy umiłował.

Moglibyśmy ten wątek kontynuować, ale na koniec zwrócę uwagę tylko na jeden szczegół. Na kontrast przeogromny między tym, co do tej pory powiedzieliśmy, a tym, co za chwilę się wydarzyło. I ten kontrast zilustrujemy słowami Ojca Świętego. Mianowicie ledwo Piotr Jezusa wyznał, a natychmiast został przez Niego napomniany. Okazało się, że powiedział prawdę, ale prawdę, którą rozumiał po swojemu. Wyobrażał sobie los Mistrza pozbawiony cierpienia, męki, śmierci. Wyobrażał sobie Mesjasza, który przyjdzie w chwale, który powali swoich przeciwników, który zaprowadzi porządek i pozwoli Apostołom zażywać radości tego świata. Znamy ten epizod.

Odtąd zaczął Jezus wskazywać swoim uczniom na to, że musi iść do Jerozolimy i wiele cierpieć od starszych i arcykapłanów, i uczonych w Piśmie; że będzie zabity i trzeciego dnia zmartwychwstać. A Piotr wziął Go na bok i począł robić Mu wyrzuty: «Panie, niech Cię Bóg broni! Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie». Lecz On odwrócił się i rzekł do Piotra: «Zejdź Mi z oczu, szatanie! Jesteś Mi zawadą, bo myślisz nie na sposób Boży, lecz na ludzki».

Przed chwilą pochwalony, teraz został nazwany szatanem! Bo okazało się, że wyobraża sobie Jezusa po swojemu. Nie brakuje chrześcijan, i wśród nas, i w nas samych, tendencji, byśmy wyobrażali sobie Jezusa po swojemu. Gotowiśmy złożyć wyznanie wiary, ale jednocześnie mamy swój własny obraz Zbawiciela. Posłuchajmy, jak ten fragment skomentował Jan Paweł II. Mówił tak (str. 28, wyd. 1994):

Tak więc Piotr nie lękał się Boga, który stał się człowiekiem. *Natomiast lękał się o Syna Bożego, jako człowieka.* Nie mógł bowiem przyjąć, iż będzie On bicowany i cierniem ukoronowany, i w końcu ukrzyżowany. Tego Piotr nie mógł przyjąć.

Nie mógł przyjąć losu Jezusa takim, jaki ten los miał być. Chciał go przyjąć takim, jakim go sobie wyobrażał. To również dotyczy perspektywy naszego życia. Chcemy pójść za Jezusem, chcemy Go naśladować, ale po swojemu. A zwłaszcza stronimy od tego, co trudne. Papież zakończył tak ten wątek, ten fragment:

Tego się lękał. I Chrystus za to Piotra surowo *skarcił.* Ale go *nie odrzucił.*

Nie odrzucił tego człowieka, który miał dobrą wolę i gorące serce.

Właśnie wielu chrześcijan, nawet jeżeli nie potrafi żyć tak, jak Chrystus tego chce, to ma zapewne dobrą wolę i gorące serce. I chociaż nie zawsze rozeznanie o Chrystusie jest właściwe, to Chrystus potrafi nas skarcić, ale nas nie odrzuca tak, jak nie odrzucił Piotra.

I do tego samego fragmentu jeszcze jeden komentarz, tym razem Ojca Świętego Benedykta XVI. Papież medytował tak (str. 250, wyd. 2007):

Wiemy przecież, że przez całe wieki, także dzisiaj, chrześcijanie posiadający właściwe wyznanie wiary ciągle muszą być pouczani przez Pana, że we wszystkich pokoleniach Jego droga nie jest drogą jego ziemskiej władzy i chwały, lecz jest drogą krzyża. Wiemy i widzimy, że również dzisiaj chrześcijanie – my sami – bierzemy Pana na stronę, by Mu powiedzieć: „Panie, niech Cię Bóg broni! Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie!” (Mt 16,22). A ponieważ wątpimy, czy Bóg będzie bronił, próbujemy wszelkimi sztuczkami sami temu przeszkodzić. Dlatego i nam Pan musi od czasu do czasu powtarzać: „Zejdź Mi z oczu, szatanie!” (Mt 8,33). I w ten sposób cała ta scena nie przestaje być niepokojąco aktualna. Bo u podstaw naszego myślenia ciągle pojawia się nie Objawienie, które powinniśmy przyjąć wiarą, lecz „ciało i krew”.

Kościół, którego fundamentem stał się Piotr, zawsze staje wobec tej samej pokusy, która znalazła swój wyraz pod Cezareą Filipową. Nawet jeżeli uznajemy Chrystusa i wyznajemy Go inaczej, niż inni ludzie, to chcielibyśmy zachować w sobie taki obraz Jego i jego działania, jaki nam odpowiada, jaki nam pasuje, jakim chcielibyśmy Go widzieć — a nie taki, jakim On jest. I dlatego w każdym pokoleniu chrześcijanie są napominani tak, jak napominany był Piotr. Napominani — ale nie odrzucani! Bo Chrystus cierpliwie prostuje nasz wizerunek. Kościół zawsze staje wobec pokusy tego, żeby był w nim przepych, bogactwo, chwała, potęga, wpływy, widowiskowość, splendor, pycha, i wszystkie przywary tego świata. Gdyby Kościół został pozostawiony sobie, gdyby polegał wyłącznie na ludziach, gdyby za Kościołem nie stał Bóg, który jest jego spoiwem, to już dawno by Kościoła nie było. Bo ci wszyscy, którzy go tworzą, zrobili bardzo wiele ku temu, by go podmyć, zniszczyć, zburzyć, nadwyrężyć, osłabić. Ale mocą Kościoła jest Pan Bóg, który każdego z nas i wszystkich, którzy są w Kościele, od czasu do czasu bierze na stronę i też upomina. My próbujemy brać Boga na stronę i wyobrażać sobie Kościół takim, jakim chcielibyśmy go widzieć. Ale w decydujących momentach Bóg mówi: „Zejdź Mi z oczu, szatanie!”. W decydujących momentach widzimy, że w Kościele dzieje się coś złego, coś, co nie powinno mieć miejsca. I że Kościół wymaga naprawy, powrotu, pojednania, że wymaga zwrócenia się do Chrystusa.

A więc ta eklezjologia, te nasze myślenie o Kościele, jest w gruncie rzeczy zakorzenione w tym, co przeżywał Jezus ze swoimi uczniami. Tamte prapoczątki Kościoła są obrazem Kościoła wszystkich czasów, i także obrazem Kościoła dzisiejszego. Nie ma innego Kościoła niż ten, w którym my

jesteśmy. I w tym Kościele świętość i słabość istnieją nie tylko obok siebie, ale ze sobą, a nawet wzajemnie się przeplatają. Jednak tam, gdzie udręczony i zwodzony rozmaitymi pokusami człowiek nie może, to tam Pan Bóg zaczyna czynić cuda. I dlatego Kościół istnieje. I dlatego bramy piekielne go nie przemogą. I dlatego w Kościele zawsze są potrzebni wiarygodni świadkowie Boga. A są nimi ci, którzy potrafią pójść za Chrystusem, i nie tylko Go słuchać, ale Go naśladować. I to na nich Kościół się opiera, i na nich Kościół się wznosi. I nawet jeżeli doraźnie muszą cierpieć, przegrywać, znosić ośmieszenie czy rozmaite udręki, to w dalszej perspektywie, i w każdej perspektywie racja jest po ich stronie. Dlatego że tam jest racja, gdzie jest Pan Bóg i jego obecność.

Taka byłaby pointa rozważań na temat Kościoła. Myślę, że powinniśmy uświadomić bardzo ważną rzecz — że losy Kościoła zależą od każdego człowieka, który ten Kościół tworzy. Że stale pojawia się pokusa, żeby żyć inaczej, brać Boga na stronę i napominać Go. I stale pojawia się ta rzeczywistość nawrócenia, w której Pan Bóg nam ciągle przypomina jak powinniśmy żyć nawet, jeżeli dzisiaj tak żyć nie jesteśmy w stania.

Bardzo, bardzo serdecznie państwu dziękuję.

oklaski, podziękowania ks. Profesorowi i ks. proboszczowi . . .

Dziękujemy bardzo państwu, naprawdę bardzo państwu dziękujemy. Są państwo naszą siłą, i moją też. Nieraz obaj jesteśmy zmęczeni, ja też, bo mnóstwo rozmaitych zajęć. Ale kiedy przychodzimy i patrzymy na państwa od wielu, wielu lat, to jest ogromna radość. Na tym polega również ta siła i ta moc Kościoła, która wciąż przyciąga tych, którzy szukają Pana Boga i Jego prawdy.

Mam nadzieję, że po wakacjach znów w październiku wznowimy nasze konferencje. Mam już w głowie pewien projekt. Mam nadzieję, że będzie dostatecznie ciekawy, dostatecznie interesujący. I w ten sposób byśmy zaczęli w październiku dwudziesty pierwszy rok naszej wspólnej pracy. Pewnie są tacy, którzy zaczynali, są tacy, którzy dochodzili. Tak czy inaczej jest to takie dobre, w sensie uczestnictwa państwa, podyplomowe studium biblijne.

Bardzo dziękuję za ofiary. Tak się złożyło, że ta część pójdzie na Ukrainę, a część — za dwa tygodnie kilkanaścioro naszych studentów, takich studiujących Pismo Święte, ma taki promocyjny wyjazd do Ziemi Świętej. Więc też postaramy się, żeby tą życzliwość państwa odczuli.

Bardzo dziękuję! Dobrych, radosnych, spokojnych wakacji, i do zobaczenia — jeśli Bóg da. Pod Twoją obronę . . . Pochwalony Jezus Chrystus! Do zobaczenia!